

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2022 | NR 3 (51)

REPORTAŻ

Czy na pustyni
można żyć?

Stocznia Gdańska:
co zostało z mitu?

ROZMOWA

Fotografowałam
prezydentów
Polski

ESEJ

Francja wstaje
z kolan

LITERATURA

Papuzanka
Pustkowiak

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

03 >

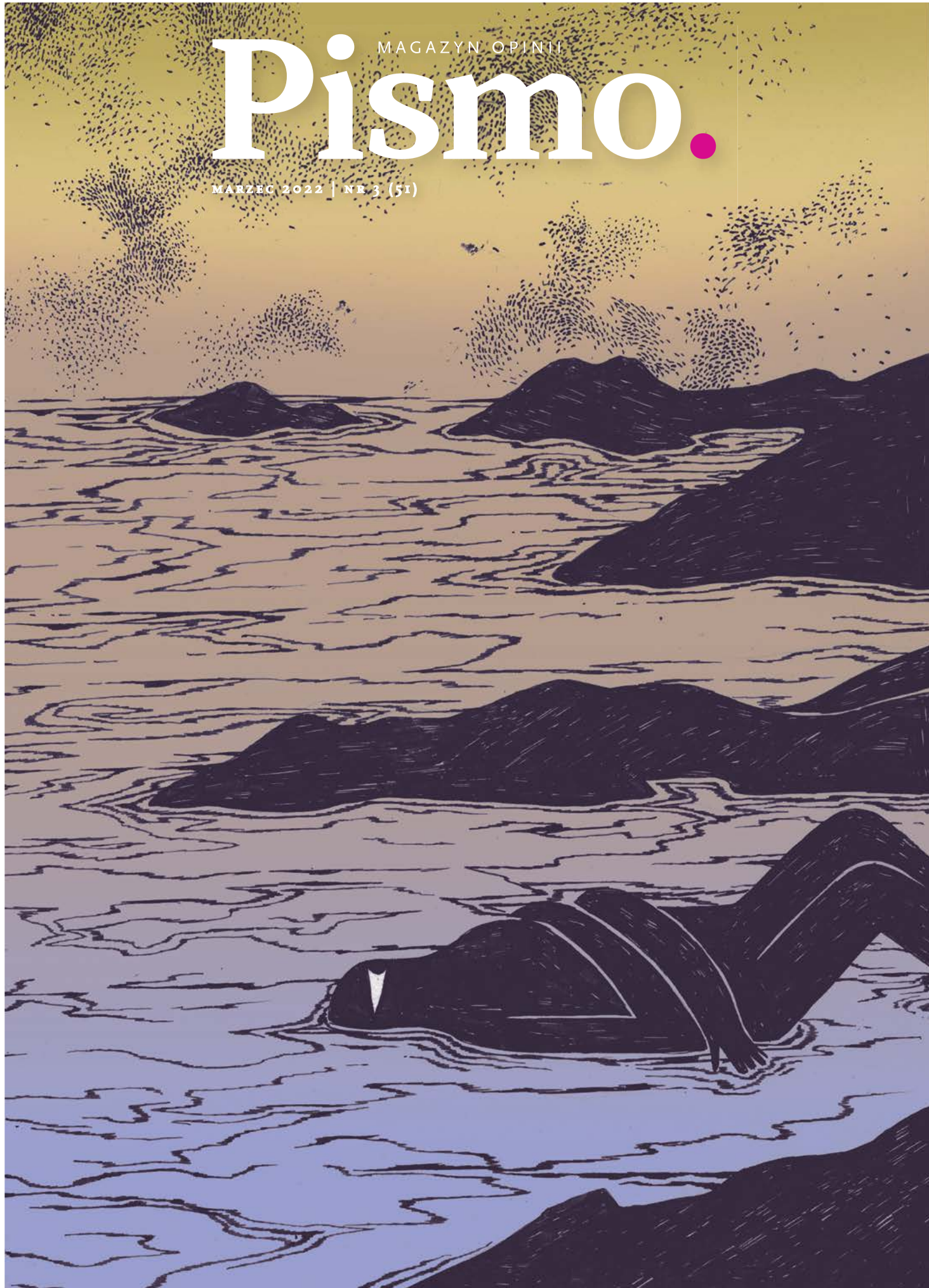


9 772544 502203

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2022 | NR 3 (51)



**Kup prenumeratę
i odbierz dostęp online
w prezencie.**

MAGAZYN OPINII
Pismo.



Prenumerata z dostępem online to:

- co miesiąc drukowany numer „Pisma”
- bezpłatna wysyłka przed premierą
- dostęp do wszystkich treści na magazynpismo.pl
- wydania na czytniki (pliki: PDF, epub i mobi)
- numer miesięcznika w lektorskiej wersji audio
- dodatkowe treści dostępne tylko online
- możliwość słuchania wszystkich sezonów „Śledztwa Pisma”
- pełne cyfrowe archiwum tekstów i nagrań
- ikoniczne okładki w wersji do druku
- zaproszenie do zamkniętej grupy „Czytamy Pismo”

już od
14,99 zł
za miesiąc

magazynpismo.pl/prenumerata

Pismo.

MARZEC 2022

PROZA

Słowa na wiatr | 6
ZOŚKA PAPUŻANKA

Lady Potwór | 92
PATRYCJA PUSTKOWIAK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w marcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 89
JAN MOŻDŻYŃSKI

POEZJA

NIC | 37
BRUNO JASIEŃSKI

Irena | 45
RENATE SCHMIDGALL

Warunek pamięci | 67
LULJETA LLESHANAKU

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Nowy rozdział** | 4
RAV.A STORIES

W RAMACH PISMA | 90
Bałwan cytatów OSKAR DAWICKI

KOMIKS | 76
Siunjata beskidzka HENRYK

OKŁADKA **Mimikra**
KAROLINA LUBASZKO

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Kim jestem?**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | PRZYPISY **À propos niczego**
ZUZANNA KOWALCZYK

ROZMOWA

10 | **Jedyna fotografka prezydentów**
Z ELIZĄ RADZIKOWSKĄ-BIAŁOBRZEWSKĄ rozmawia MONIKA SZEWCZYK-WITTEK

PODRÓŻ

22 | **Kapsuła**
IZA KLEMENTOWSKA zastanawia się, czy na pustyni można dobrze żyć

FOTO | REPORTAŻ

30 | **W poszukiwaniu domu i pokoju**
JULIA SZABŁOWSKA z wizytą u Białorusinów żyjących w Polsce

REPORTAŻ

46 | **Stocznia niemożliwa**
FILIP SPRINGER mierzy się z mitem miejsca, w którym walczone o lepsze jutro

84 | **Dzikość**
ELIZABETH KOLBERT zagląda do jaskini skrywającej prehistorię

STUDIUM

38 | **Wiatr zmian w energetyce**
MAGDALENA SKŁODOWSKA sprawdza, czy wiatraki obniżą ceny prądu

PORTRET

58 | **Nieodparty urok Omara Sy**
LAUREN COLLINS o tym, jak aktor z paryskich przedmieść trafił do Hollywood

ESEJ

68 | **Francuzi wstają z kolan**
SZYMON ŁUCYK analizuje przedwyborczą sytuację we Francji

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazimierowska,
Felieton: Marcin Wicha, **Ideje:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, **Promocja:** Ewa Salamon, **Fundraising:** Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, **Reklama:** reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Kim jestem?

Kim jest Julia?

Pytanie należy do kategorii trudne, zwłaszcza jeśli nie możemy dokonać bezpośrednich oględzin rzeczonoj. Mimo to spróbujmy.

Julia: przedstawicielka gatunku *homo sapiens*, który pojawił się na Ziemi dwieście lub trzysta tysięcy lat temu i zastąpił starsze gatunki człowieka, takie jak *homo habilis*, *homo rudolfensis* czy *homo erectus*. Należy do gatunku, który zwyciężył. Gratulacje, Julio.

Julia: potomkini neandertalczyków, bo dziś już wiemy, że nasi przodkowie parzyli się z neandertalczykami, tak, tak, w Julii płynie krew tych dawnych barbarzyńców. No cóż.

Julia: należy do gatunku, który zwyciężył, ale i gatunku, który najprawdopodobniej przegra. Przegra swój ekosystem, jest bowiem gatunkiem szkodniczym, który potrafi z każdego pełnego życia lasu zrobić kukurydziano-zbożową monokulturę, zabijając w ten sposób inne gatunki. Biada Julii.

Julia: stworzenie wybrane. Potomkini Ewy i Adama, którzy usłyszeli od Boga: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, bo lubię na to patrzeć, abyście zaludnili Ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po Ziemi”. Jeśli ktoś chce znać moją opinię, wtedy właśnie zaczęły się wszystkie nasze problemy. Także kłopoty Julii.

Julia: dziewczyna o włosach nieokreślonego koloru. Dbą o higienę jamy ustnej, nawet gdy trapią ją głębokie problemy. To na pewno godne pochwały.

Julia: cudowna i niemożliwa chmura atomów, trzymających się w stadzie tajemniczą energią kosmosu. Jeśli to nie jest cud, to nie wiem, co nim jest. Jesteś cudem, Julio.

Julia: to, co zostałyby z Julii, gdyby odebrać jej ciało, jest bowiem duszą.

Julia: ciało, w którym zachodzi naraz kwadrylion procesów; mitochondria produkują energię, serce kurczy się i wypływa z siebie krew we wszystkich kierunkach przez małe rurki zwane tętnicami; małe cząsteczki kopiuje materiał genetyczny w jądrach niezliczonych komórek i powracają do cytoplazmy, by tam tworzyć jeszcze więcej Julii.

Julia: kropka na mapie społecznej, połączona z innymi kropkami modelu sieci ogromnej liczby relacji reprezentowanych przez podobne do dendrytów linie. Jedną z tych relacji została niedawno przecięta i kropka Julia nie może sobie znaleźć miejsca; kropka Julia boi się, że spadnie gdzieś w niebyt, poza mapę. Trzymaj się, kochana kropko Julio.

Julia: abstrakcyjne centrum praw własności, łączących podmioty prawne z różnymi przedmiotami. Są to na przykład ubrania i książki; Julia dotyka grzbietów tych książek i nie rozpoznaje ich, a mimo to prawo własności wciąż jest w mocy. „Czemu nas nie pamiętasz?” – pytają szeptem zasmucone książki. – Wciąż jesteśmy twoje. To niesprawiedliwe, myśmy się nie zmieniły, a ty dotykasz nas zupełnie inaczej, jest nam z tym nieswojo”. Nie martwcie się, książki; Julia do was wróci, wiem to.

Julia: przedstawicielka jednego z tych gatunków, które posiadają samoświadomość (rozumienie, że są odrębnym bytem) badaną przez naukowców przy pomocy testu lustra. Podobnie jak szympansy i delfiny, a także słonie, Julia zdaje test lustra, bowiem bezbłędnie dotyka się w miejsce, w którym eksperymentator narysował jej na czole czerwony znak. A jednak Julia nie wie, kim jest. Co to nam mówi o teście lustra?

Julia: pasażerka. Klientka. Pracownica. Uczennica. Petentka. Powódka. Pacjentka. Obywatelka. Ładna. Brzydka. Niska, wysoka. Dawczyni o rzadkiej (częstej?) grupie krwi.

Julia: jest tym wszystkim i żadną z tych rzeczy, bo klasyfikacja musi zblednąć w obliczu samej Julii.

Nigdy nie nauczysz się siebie, Julio. Jest w tobie cały kosmos i tysiąc wymiarów, nigdy nie przejdiesz ich wszystkich. Ale to nic; i tak przyjdzie taki dzień, że obudzisz się i pójdziesz pewnym krokiem, bez wahań, bez poczucia, że idziesz jak we śnie. Zobaczysz się w lustrze i uśmiechniesz się do tej tajemniczej istoty, którą jesteś – i będziesz się cieszyć tą piękną, straszną, cudowną, niezgłębiałą tajemnicą.

Droga K,

piszę do ciebie, bo intensywnie zastanawiam się ostatnio nad tym, kim jestem. (...) Patrzę w lustro rano: nawet włosy mam nieokreślonego koloru. (...) Codziennie kiedy myję zęby, patrzę na swoją twarz i zastanawiam się, kim jest ta dziewczyna. Znam ją tak długo, a nagle nie mam pojęcia. (...) Zostawił mnie chłopak po wielu wspólnych latach, bo zeszliśmy się już w liceum, i bez niego jakbym straciła kawałek siebie, ten potrzebny, kiedy nie wąpisz w siebie i rozumiesz, kim jesteś. Nie o to chodzi, że za nim tęsknię. Owszem, trochę tęsknię, ale bardziej jeszcze tęsknię za sobą. Otwieram szafę: czy to w ogóle moje ubrania? Czy to moje rzeczy? Moje książki? Proszę, tylko nie mów, że mam iść na terapię. Kiedyś tam trafię, ale jeszcze nie teraz. Chciałabym najpierw znów rozpoznać się w lustrze i nauczyć się siebie (...).

Julia

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **marcu**

obraz BEATA STANKIEWICZ



W dziesiątą rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej w MOCAK-u

W Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie od 1 lutego trwa wystawa *W dziesiątą rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej*. Możemy na niej zobaczyć przegląd kolaży poetki wraz z polskimi wydawnictwami jej wierszy, wyborem tłumaczeń i poświęconych jej monografi, plakaty Ryszarda Krynickiego, prywatne pamiątki oraz portrety Szymborskiej autorstwa Beaty Stankiewicz, Leszka Sobockiego i Krzysztofa M. Bednarskiego. Wystawa powstała w ramach cyklu literackiego prezentującego mistrzów literatury jako artystów wizualnych.

WIĘCEJ: mocak.pl



Zderzenia epistemiczne. Sztuka, nauka i antropocen w CSW Łaźnia w Gdańsku

Od 4 lutego w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia w Gdańsku trwa wystawa *Zderzenia epistemiczne. Sztuka, nauka i antropocen*, będąca zwieńczeniem trzynastu artystyczno-naukowych rezydencji w ramach projektu *Studiopia: Art meets Science in the Anthropocene*. Jej kuratorzy podejmują temat wyzwań ekologicznych i społecznych, styku człowieka z technologią oraz celów zrównoważonego rozwoju wyznaczonych przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Wystawę można oglądać do 3 kwietnia.

WIĘCEJ: laznia.pl

5

Marzec 2022

31



Wystawa Antoniego Gaudiego w CK Zamek w Poznaniu

Piątego marca w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu otwiera się pierwsza w Polsce wystawa poświęcona twórczości jednego z najwybitniejszych światowych artystów i wizjonerów, katalońskiego architekta Antoniego Gaudiego. Na wystawie zaprezentowanych zostanie ponad sto pięćdziesiąt eksponatów pochodzących z kolekcji hiszpańskich instytucji publicznych oraz prywatnych. Oglądać ją można do 3 lipca.

WIĘCEJ: ckzamek.pl



Wystawa *Materia(ł)nie* w Galerii Studio w Warszawie

Do 17 kwietnia w warszawskiej Galerii Studio można oglądać wystawę *Materia(ł)nie*, podczas której artystka Alicja Bielawska wchodzi w dialog z serią rzeźb Barbary Falender *Poduszki erotyczne* z 1973 roku. Głównym tematem wystawionych prac jest kobieca rozkosz i przyjemność płynąca z seksualności. Wystawa jest częścią roku jubileuszowego i obchodów pięćdziesięciolecia Teatru i Galerii Studio.

WIĘCEJ: teatrstudio.pl

Festiwal World Wide Warsaw

World Wide Warsaw to pierwszy festiwal *multi-venue*, czyli wydarzenie, podczas którego koncerty odbywać się będą naraz w kilkunastu klubach i nietypowych przestrzeniach Warszawy. W szóstej już edycji festiwalu weźmie udział ponad czterdziestu artystów, prezentujących różnorodne gatunki muzyczne. Organizatorzy zapraszają do stolicy w dniach 31 marca – 2 kwietnia.

WIĘCEJ: worldwidewarsaw.com



Nowy rozdział

zdjęcie KATARZYNA HECZKO BODORA
tekst KAROLINA WYBRANIEC

Może to być początek roku. Szaruga. Dający się we znaki bezruch. Zastygłe ciało, czekające na ciepło lata. I przemęczona głowa, marząca o powiewie świeżości wraz z wiosną.

Lecz na to przyjdzie jeszcze czas.

Zaszywamy się w naszych domach, przyzwyczajeni dotąd do wiecznego działania. Czujemy, jak nas roznosi od poczucia wewnętrznej niemocy. Chcemy coś zrobić, ale bezskutecznie. Ciągłe coś nie gra.

Gdzieś jest w nas ta isierka, ale tylko się tli. Nie na tyle, by dać nam siłę, więc wciąż trwamy w stagnacji. A stagnacja to niepozorna bestia. Trzeba wiedzieć, jak ją okiełznać, żeby nie odebrała nam naszej własnej sprawczości. Najczęściej pierwszym rozwiązaniem, jakie przychodzi nam do głowy, jest podróż – potrzeba nagłej zmiany perspektywy, w dużym kontraście do tego, co nam dobrze znane.

Odkrywanie świata to jeden z najlepszych sposobów na poznanie umysłu. Łatwiej wtedy dostrzec to, co dotąd umykało naszej uwadze. Ale pamiętajmy, że nawet wyjeżdżając z jednym małym plecakiem, tak naprawdę będziemy tam z całym naszym dobytkiem – tym, który mieści się w nas samych.

Inicjując podróż, rozpoczynamy ruch. Coś zaczyna się zmieniać, coś przepływa. Ale w ujarzmianiu stagnacji nie chodzi tylko o to, by nagle poczuć ten przepływ. Trzeba z nim płynąć, a wtedy łatwiej jest swobodnie się z niej wygrzebać, krok po kroku.

Bo mimo że nasza historia jest zakopana, my ciągle pozostajemy jej podmiotem. I mamy wybór. Możemy na nowo stać się narratorem tej opowieści i swoim działaniem dopisać jej dalszy bieg.





Słowa na wiatr

tekst ZOŚKA PAPUŻANKA

Tylko woda, dziękuję.
Umowa albo teraz, albo po spotkaniu, jak wygodniej.

Oczywiście, może być teraz.

Nie, bankiet nie, może na chwilkę, ale planowałam od razu wrócić do hotelu, mam jeszcze trochę pracy, a jutro z samego rana pociąg.

I znowu to samo.

Kilka osób już siedzi, kilka kręci się po sali, oglądając ze ślepym zainteresowaniem gołe ściany, jakby nie potrafiły zdecydować, czy przyszedł na spotkanie, czy nie, czy koniecznie muszą obnosić swoje non-szalanckie ajakmisię spodoba tozostanę. Wielu stoi na zewnątrz, palą, chociaż przed chwilą palili, zapalą zaraz znowu, wejda w ostatnim momencie, tak jest najwygodniej; wcale nie czekałem, ja tylko tak, wśród codziennych obowiązków, spotkanie literackie to takie samo zajęcie jak kupowanie pomidorów czy przejazd autobusem. Po drodze. Pośród innych spraw. Pomiedzy innymi ludźmi, wśród innych rozmów. Niby intymne, a publiczne przecież.

Najtrudniej jest wejść. Im i mnie. Nigdy nie wiem kiedy. Czy gdy sala jest pusta, czy gdy część siedzi, część się rozgląda, czy też należy się rozglądać, jakby się przyszło z zamiarem wykonania zupełnie innej czynności, jakby się było zwiedzającym, nie zwiędzanym, a na tych kilka pytań odpowiedziało

się zupełnie przypadkiem, jak podczas spaceru brzegiem morza, odgarniamy włosy z czoła, a fale zgarniają nas na piasek, co tam u ciebie. Czy też może wejść dopiero wtedy, gdy już wszyscy siedzą na swoich miejscach, pozwolić się zapowiedzieć, trochę jak w cyrku, no i całe to siadanie, przypinanie mikrofonu, nalewanie wody do szklanki, cała ta moja zwykłość na ich oczach. Można też przyjść dużo wcześniej i patrzeć, jak wchodzi, rozpinają kurtki i płaszcze, wyłączają telefony, wyjmują gumę do żucia z ust i ważą jej miętowe przekleństwo między palcami. Można pooglądać ich zwykłość, to fascynujące, ale niemoralne.

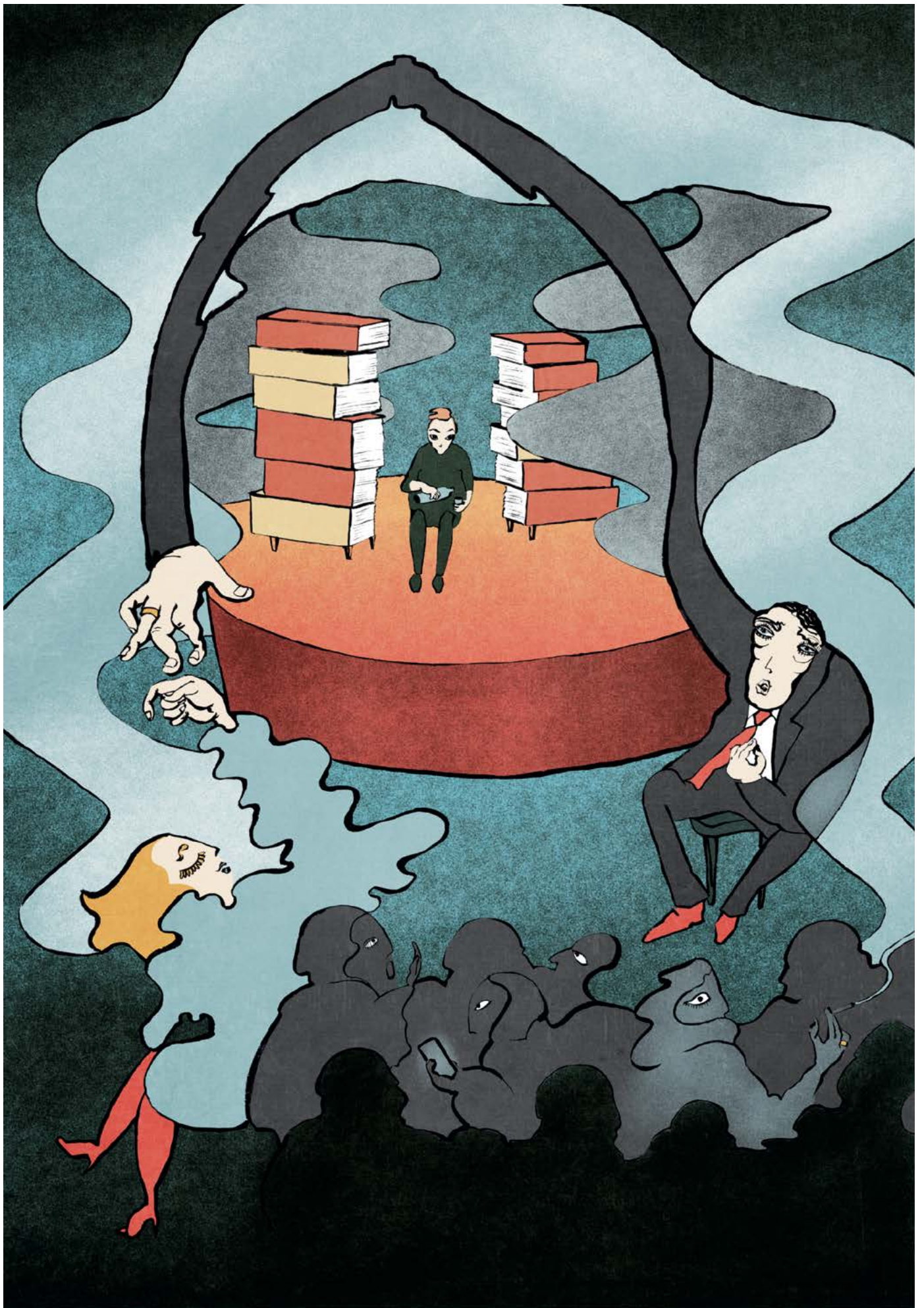
Z czego pani czerpie natchnienie i co panią inspiruje. Otóż ta zwykłość wasza, powinienam odpowiedzieć. Te guziki wołające o przyszycie, w pół drogi między płaszczem a podłogą, ta pani ze swoim halonie mogą teraz rozmawiać odgrzeje sobie nie wiem kiedy wrócę bo jestem na spotkaniu autorskim, miętowa guma do żucia między kciukiem a palcem wskazującym tamtej dziewczyny, guma, która wybiera sobie właśnie miejsce ostatecznego przylepienia. Powinnam tak odpowiedzieć. Ale się obrażą. Trzeba powiedzieć, że natura, ulubieni pisarze, nie pisarze, mistrzowie słowa, przeżycia estetyczne rozmiarów gargantuicznych. Jeśli już, to nie mówić wy, tylko codzienny wyrafinowany kontakt z ludzkością, czyli że chciałabym

pogrzebać w waszych szafkach na detergenty i podsłuchiwać, jak wrzeszczycie na dzieci, ale tak nie można mówić do czytelników.

Z czego pani czerpie natchnienie. Jakie są źródła pani inspiracji. Dlaczego pani napisała tę książkę. Tę. Nad czym pani obecnie pracuje. Ile w pani książce jest pani, a ile nie pani, ile pani jakiejś innej, proszę bezwzględnie podać w liczbach bezwzględnych lub w punktach procentowych. Pani jest bardzo wnikliwą obserwatorką świata, no to jak pani obserwuje ten świat, że aż tak wnikliwie.

Imię i nazwisko. I czym się zajmuję. I co napisałam. I co piszę. I co napiszę. Nalewam wody do szklanki.

Za panem mówiącym o mnie rzeczy, których sama o sobie nie wiem, na scenie siedzi jeszcze jedna osoba, młoda dziewczyna w niebieskiej bluzce. Nie patrzy ani na mnie, ani na zadającego pytania, wzrok ma raczej nieruchomy, zatrzymany gdzieś wysoko, na lampie pod sufitem. Nie musi patrzeć, tylko jej uszy i ręce są w pracy. Dotyka swoich ramion, czoła, składa w powietrzu origami, niewidzialne żurawie z niewidzialnego papieru. Chwilę dziwię się jej tańczącym palcom, zanim przypomnę sobie, że wszystkie spotkania na festiwalu są tłumaczone na język migowy i że jeśli będę patrzeć na słowa jej palców, do głowy nie przyjdą mi moje własne. Ona łapie uchem moje słowa i przekłada je na język rąk. Ciekawe, ilu ludzi, jeden



na dziesięciu, piętnastu, ci, którzy przyszedli jako pierwsi, czy ci, którzy wemknęli się pięć minut po rozpoczęciu, kto z nich umie czytać w powietrzu moją odpowiedź na pytanie, skąd się bierze pomysł na książkę. Skąd się bierze pomysł na książkę. Nie wiem, pewnie z powietrza.

Ruchy palców w powietrzu są ładniejsze niż dźwięki. Dziewczyna wygląda, jakby szyla coś z tego, co mówię. Jakby pestkowała owoce i odkładała do dużej misy te, które nadają się na dżem. Nie wiem, zapewne z powietrza. Ciekawe, czy ładne w powietrzu są te same słowa, które ładnie wyglądają na papierze. Fajka, lutnia, winorośl, zawiść. Powietrze. A może te, które brzmią ładnie, te, które pieszczą ucho, może te właśnie są jak krem rumiankowy dla rąk, które je wypowiadają. Strumień, skrzynia, kosodrzewina, zawiść. Powietrze. Ciekawe, które moje słowa wyglądają ładnie w powietrzu, które to są te upuszczane szybko i ze wstrętem, jak stonoga, a które wymagają podtrzymania jak srebrna nić, miękkie włosy dziecka, długa suknia.

Ja piszę, oddaję do druku, znowu piszę, znowu robię wszystko, żeby słowa pozbierać. Tłumaczka języka migowego odwrotnie, ona słowa odpycha, odkłada, rzuca na wiatr. Naprawdę odchodzą z wiatrem i nic po nich. Nic po nich nie zostaje, tak jest najlepiej.

Ile w twojej ostatniej książce jest ciebie, a ile ciebie jest w twoich słowach rzucanych na wiatr.

Mówię dużo i gęsto, brnę przez banalne pytanie albo okrążam je, zmieniam temat; po dwóch minutach odpowiedzi i tak niewielu ludzi pamięta, co było na początku. Skończę, podpiszę książki i wszyscy pójdą, gdzieś pójdą. Ciekawe, ile osób na sali potrzebuje rąk dziewczyny, ilu ludzi nie słyszy moich słów, wyciąga je tylko spomiędzy palców tłumaczki jak rozerwany sznur koralu, które posypały się pod łóżko. Komu dziewczyna w niebieskiej bluzce jest bardziej potrzebna niż ja. Ile osób patrzy nie na mnie, lecz na nią. Tamta starsza pani. Nie, raczej nie. Chłopak w drugim rzędzie. Nie, szepcze coś na ucho siedzącej obok kobiecie.

Wszystkie festiwalowe spotkania tłumaczone są na język migowy, ale kto słucha tych słów. Ile osób słucha słów, które widać. Może wszyscy, a może nikt.

Mniej więcej w połowie spotkania moja tłumaczka w niebieskiej bluzce podnosi się z krzesła, skleja coś jeszcze w palcach i szybko zamienia się miejscami z siedzącym w pierwszym rzędzie mężczyzną, na którego do tej pory nie zwróciłam uwagi, być może dlatego, że przesłaniała go kamera. Mężczyzna siada na krześle dla tłumacza i natychmiast podejmuje wątek, który przerwały palce dziewczyny, zupełnie jakby czytali jedną książkę, którą ona przed chwilą założyła zakładką w miejscu, w którym on teraz czyta, czyta i pisze niewidzialnymi literami moje słowa, które tak naprawdę piszę i które mówię ja. I co mnie najbardziej inspiruje, oczywiście, pada pytanie od publiczności, bo teraz jest chwila na pytania od publiczności i publiczność zadaje pytania, które już wcześniej zadał prowadzący spotkanie, te same pytania, na które powinnam odpowiedzieć inaczej niż za pierwszym razem.

Nalewam wodę do szklanki, piję powoli, rozważam słowa, nie przychodzi mi to z łatwością. Milczę. Milczę, a palce nowego tłumacza rysują nowe słowa. Powinien już chyba skończyć tłumaczyć pytanie, było przecież krótkie i proste, ja nie zaczęłam udzielać odpowiedzi, a jego ręce składają się i składają w coraz to nowe konfiguracje. Tłumacz przerywa. Patrzy na mnie. Oczy ma niebieskie jak bluzka dziewczyny, która siedziała tu przed nim. Upijam jeszcze jeden łyk wody i kątem oka widzę, jak odpoczywające przed chwilą dłonie tłumaczki, dłonie w niebieskich rękawach, dłonie zapracowane w czasie pierwszej połowy spotkania, podnoszą się z kolan dziewczyny, na których leżały grzecznie jak dwa zmęczone lotem liście kasztanowca, podnoszą się tylko do nadgarstków i kreślą symbol, który miał pozostać niewidoczny, znak wyglądający jak nieśmiała odpowiedź na zadane wprost pytanie.

Powoli odstawiam szklankę. Nie trzeba mojego gestu przekładać na język migowy,

a jednak palce mężczyzny cały czas coś mówią, tłumaczą cierpliwie słowa, których nie było.

Układałam w dźwięki głupią odpowiedź na głupie pytanie, krótką, spokojną, banalną odpowiedź, wyrazi bez charakteru, ubrane w beżowy płaszcz z sieciowego sklepu jak wszystkie wyrazy, które codziennie jadą przed ósmą rano tramwajem do pracy, wyrazy żadne. I czekam. Palce tłumacza wykonują kilka nieskomplikowanych układów, a potem zaczynają dokąś bieć, szukają miejsca na ciebie mężczyzny, komunikują się z czołem, z sercem, jakby uznały moją odpowiedź za zbyt trywialną i podjęły decyzję o uzupełnieniu jej pięknym porównaniem. Dziewczyna, która tłumaczyła pierwszą część spotkania, teraz wbija wzrok w swojego następcę, a jej palce wypowiadają coś stanowczego, wykrzykują to nisko, tuż ponad jej kolanami, jakby dłonie nie chciały, żeby zobaczyła, co mają do powiedzenia, jakby działały autonomicznie, w oderwaniu od jej woli.

Moja ciotka pracowała kiedyś w szkole dla dzieci głuchoniemych. Pałała cienkie papierosy, była cienka i dystygowana jak one; uważała, że nadmierne okazywanie emocji po prostu nie przystoi przedstawicielom gatunku ludzkiego, dlatego gdy się zdenerwowała, kłęta gestem; stukała dwoma złożonymi palcami prawej ręki w przedramię, co oznaczało brzydkie słowo. Uwalniała się w ten sposób od złości, dając upust palcom, nie słowom. Oprócz pięknego znaku przekleństwa nauczyła mnie jeszcze kilku przypadkowych rzeczowników, które nigdy wcześniej nie były mi przydatne. Cytryna na przykład. Umieć powiedzieć cytryna, cytrynę ściska się trzema palcami, zupełnie jakby się trzymało między nimi niewielką gumową piłkę. Zdarzają się takie dziwne pytania, ostre jak brzytwa, kwaśne jak plasterek cytryny, mówię na głos i czekam na znak ręki tłumacza, ale on się nie pojawia.

Dom, jeszcze pamiętam dom. Dom to ręce składające się palcami w daszek, schronienie dla słów. Dom to takie schronienie dla słów, mówię. Patrzę na palce mojego

tłumacza, ale nie szukają schronienia dla słów, nie układają się w daszek, przeciwnie, szukają sobie jakiejś napowietrznej wolności, jakby błędziły po ciele, którego pragną, a które jest daleko, zbyt daleko, w rzędzie naprzeciwko. Nie rozumiem, co mówią palce, ale gdybym rozumiała, mówiłyby: chodźmy stąd, wszyscy na nas patrzą, a ja chcę szeptać ci słowa, które wymagają ust, bo ręce dla nich to za mało.

Dzień. Umieję pokazać dzień. Dzień w języku migowym jest rozkładającym się wachlarzem dłoni, rozsuwanymi zastonami, słońcem podnoszącym się zza morza. Taki dzień, mówię, dzień za dniem, sprawdzam, patrzę tłumaczowi na ręce. Ale jego ręce wcale nie rysują dnia i zamiast się otwierać, zaciskają pięści, krzyżują się na piersiach, a potem jedna z nich wyciąga się w stronę niebieskiej bluzki z drobnym, prawie niezauważalnym gestem, jakby dając jej publicznie to, co miało być intymne. Wydaje mi się, że dziewczyna kręci głowę, ale uśmiecha się, a jej palce, które naprawdę mówią to, co myślą, pokazują nieśmiało, czego chcą, a co jest takie trudne do znalezienia w słowach. A może nie. Może ja to właśnie powiedziałam, co mężczyzna tłumaczy, może mówię coś innego, niż słyszę. Może nie wolno mi tak na nich patrzeć, kiedy wszyscy na nich patrzą, może nie wolno mi doszukiwać się znaczenia w znakach, których nie rozumiem, a które stają się wspólne.

Patrzę. Patrzę i nie wiem, co mówią. Ani co mówią oni, ani czy ktoś ich słyszy.

Może na sali nie ma nikogo, komu potrzebne są słowa sklejane między palcami, może wystarczy mój głos, a ta para tłumaczy nie tłumaczy niczego, tylko swobodnie plotkuje, przekręcając moje odpowiedzi, z czego pani czerpie inspirację, z pana palców mogłabym zaczerpnąć. Albo się kłóć. On jest jej mentorem i poucza ją, jak nie należy mówić. Nigdy więcej tak nie pokazuj, to niedopuszczalne. Jak mogłaś. Jak twoje dłonie mogły, jak w ogóle na to wpadły.

Pewnie najpierw wplatają jakieś pojedyncze słowa bez związku, a gdy się orientują, że nikt na nich nie patrzy, mają w nosie to, co mnie inspiruje, i czy piszę ręcznie, czy na komputerze, i rozmawiają w najlepsze o jakichś swoich sprawach, czy ty wiesz, jaki ostatnio zrobiłam błąd, co mi się pomyliło,

źle przeliterowałam, tyle było tych nazw własnych, palce mi się poplątały, ludzie się śmiali, co za wpadka. Mogłaby już kończyć, prawie półtorej godziny gada o niczym, ręce opadają.

Patrzę na ich dłonie i ciała, nie mogę odebrać wzroku od niewidzialnych pajęczyn, które wokół siebie płaczą, i czuję, jak moje słowa, jedyna rzecz, z której jestem naprawdę dumna, moje słowa, które ludzie kupują i czytają, których chcą słuchać, moje słowa uciekają z moich ust zbyt szybko, bez stylu i zastanowienia. Wydają mi się nagie i głupie, jakby rzeczywiście jedyną ich ambicją stało się nagle odpowiedzieć na pytanie, co je inspiruje albo nad czym obecnie pracują.

Są kochankami. Umawiają się na później, kiedy ja już przestanę gadać, a ich palce w jakimś hotelowym pokoju albo pod stolikiem w restauracji będą mogły robić, co do nich należy. On zaznacza palcem na swoim ciele te miejsca, gdzie planuje jej dotykać. Ona trochę się opiera, przecież tu jest tylu ludzi, ktoś nas może zobaczyć. Wszyscy nas mogą zobaczyć, wszyscy nas widzą, ale nas nie rozumieją, mówi on, nic się nie bój, powiesz, że po spotkaniu był bankiet i nie wypadało ci odmówić. A ja narysuję na twoim brzuchu takie słowa, o których nawet nie pomyślałaś, które żadnemu pisarzowi nie przyjdą pod pióro ani pod klawiaturę. A twoja żona, pyta dziewczyna. Nie przejmuj się żoną, już jej powiedziałem, że zostaję na bankiecie. Jego

żona pewnie siedzi w drugim rzędzie, patrzy spokojnie przed siebie i się uśmiecha.

I jeszcze ostatnie pytanie. Nad czym pani obecnie pracuje.

Ktoś klaszcze, ktoś wstaje i ostantacyjnie wychodzi, ktoś przynosi mały stolik, przystawia mi krzesło. Nalewam wodę, wyciągam z torebki pióro, udaję, że jeszcze rozmawiam z organizatorami festiwalu, żeby zabić trzy puste minuty, które muszą upłynąć, zanim ustawi się kolejka osób ściskających moje książki. Poszukiwanie straconego czasu jest takie proste, przecież to właśnie tych dziesięć minut przed i trzy minuty po każdym spotkaniu autorskim, trzynaście minut z każdego spotkania, można by zebrać z łatwością ze trzy godziny straconego czasu na każdym festiwalu literackim, tylko co z tym czasem potem zrobić. Po co się go szuka właściwie.

To dla mamy na imieniny. Dla Agnieszki, to ja jestem Agnieszka. Dla Kasi i Wojtka. Sam podpis, bez dedykacji. A ja jeszcze nie czytałem żadnej pani książki, ale przeczytałem, obiecuję, tak ładnie pani mówiła, obrazowo.

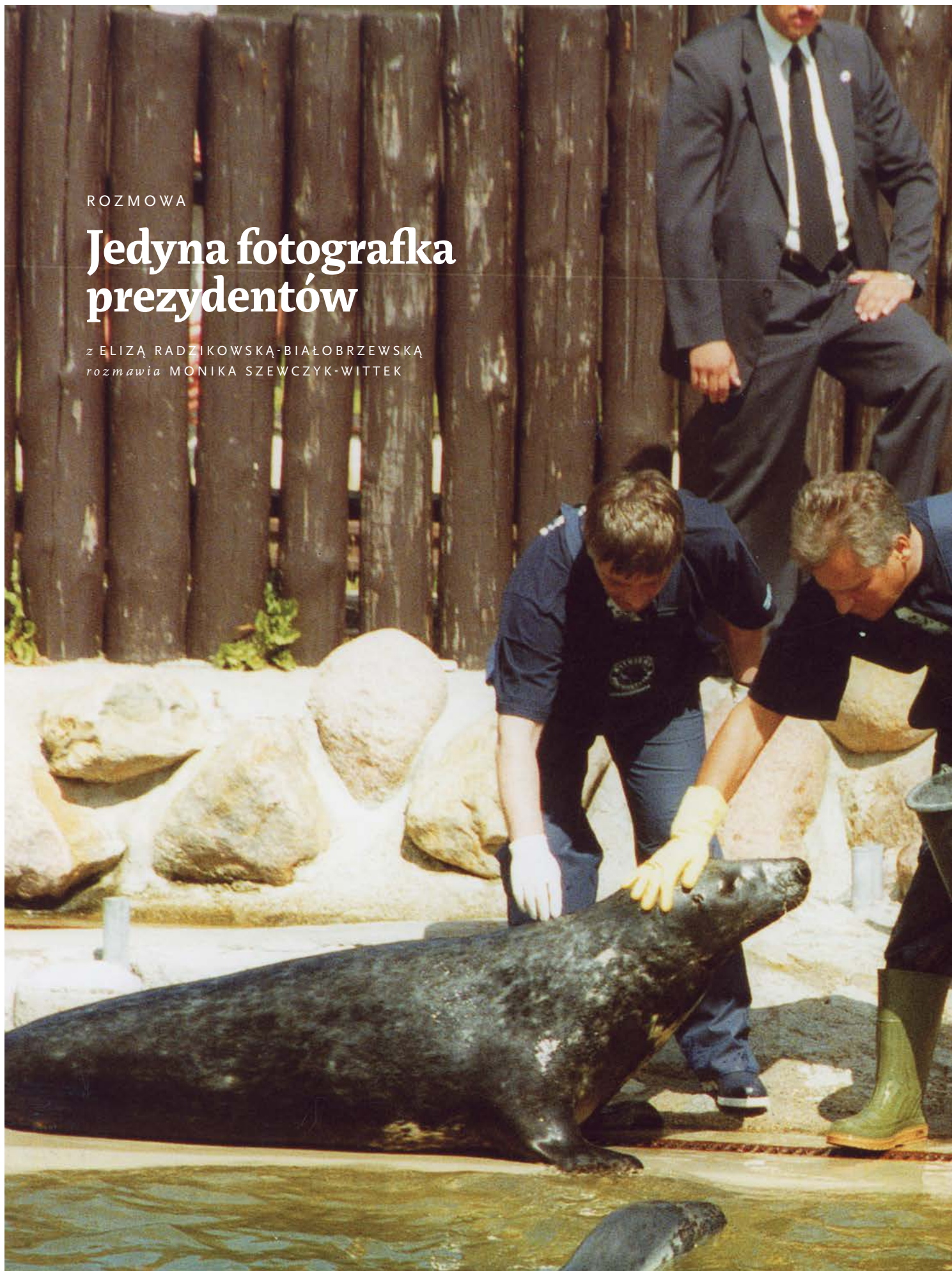
Zakręcam pióro, wkładam ręce głęboko do kieszeni płaszcza. Są gotowe. Temat jest w palcach, trzeba tylko odnaleźć czas stracony i zasiąść do tkania. Ktoś zatrzymuje mnie jeszcze w drzwiach. Tak, jestem bardzo zadowolona ze spotkania. Bankiet, ach tak, ale raczej daruję sobie bankiet, jestem już ze sobą umówiona.



ROZMOWA

Jedyna fotografka prezydentów

z ELIZĄ RADZIKOWSKĄ-BIAŁOBRZEWSKĄ
rozmawia MONIKA SZEWCZYK-WITTEK





Prezydent Aleksander Kwaśniewski karmi foki na Helu.

DO KANCELARII PREZYDENTA RP trafiła pod koniec lat 90., jako maturzystka. Jak fotografować głowę państwa uczył ją Damazy Kwiatkowski – wieloletni fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej i główny fotograf prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Potem przez krótki czas dokumentowała pracę Lecha Kaczyńskiego, następnie Bronisława Komorowskiego, a obecnie prezydenta Andrzeja Dudy.

Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy wzięłaś aparat do ręki?

Miałam naście lat. Pierwszy, który dostałam, nie był doskonały, bo ciągle się złościłam, że zdjęcia wychodzą nieostre, a mama – Małgorzata Radzikowska – cierpliwie tłumaczyła, że to ja muszę tę ostrość ustawić. Aparat towarzyszył mi na obozach harcerskich, gdzie robiłam dokumentację ze wszystkich wydarzeń. Ale wtedy mówiłam, że fotografia to przyjemność, a nie przyszły zawód. Długo się buntowałam, a wyszło inaczej. Może tak miało być, bo fotografia zawsze była obecna w moim życiu – moja mama od 1980 roku prowadziła punkt fotograficzny w Domu Handlowym Smyk w Warszawie, gdzie robiła zdjęcia dzieciom.

A jak to się stało, że mama otworzyła taką działalność?

Najpierw w Polskiej Akademii Nauk (PAN) fotografowała różne obiekty przez mikroskop elektronowy. W dzieciństwie dużo chorowałam, więc mama zrezygnowała z pracy, żeby być ze mną. I wymyśliła sobie ten biznes. Rodzice zabierali dzieci do fryzjera, potem na galaretkę do Horteksu i do fotografa, czyli do mojej mamy. To ją pochłonęło jeszcze bardziej niż wcześniejsza praca w PAN, a ja siłą rzeczy często towarzyszyłam jej w pracy. Dobrze poznałam Smyk, od podziemi przez ostatnie piętro, gdzie nikt postronny nie wchodził.

Jakie zdjęcia robiła twoja mama?

Wykonywała tak zwane zdjęcia okolicznościowe w czasach, gdy używanie aparatu w domu nie było tak powszechne. Czasem się śmiała, że miała tyle zamówień, że zdjęcia z Bożego Narodzenia kończyła kopiować koło Wielkanocy. Fotografowała dzieci na kolorowych tłach, z misiem czy Świętym Mikołajem, za którego przebiegał się albo mój wujek, albo tata. To był prawdziwy rodzinny biznes.

Mama współpracowała też z wytwórnią Polfilm, dla której robiła fotosy do filmów, między innymi do *Europy, Europy* czy *Kingsajzu*. Ciemnia mieściła się na drugim

końcu miasta, na Jelonkach. Często po pracy i zdjęciach zabierała mnie tam, pokazywała, jak wywołać film czarno-biały, jak robić kolorowe odbitki. Co prawda nie byłam zbyt chętna, by chłonać wiedzę, ale sporo w głowie mi zostało.

Mama była samoukiem?

Nie. Skończyła tę słynną szkołę przy ulicy Spokojnej.

Znam ją z opowieści innych fotografek – Technikum Fototechniczne w Warszawie. Kończyły je między innymi Anna Pietuszek czy Iwona Burdzanowska, wspaniałe polskie fotoreporterki. Jak długo mama prowadziła zakład fotograficzny?

Dopiero niedawno go zamknęła. Miała w Smyku drugi w Warszawie minilab, czyli szybkie laboratorium fotograficzne, i zajmowała się wywoływaniem nie tylko zdjęć prywatnych, ale też tych dostarczanych przez zawodowców. W tej chwili prowadzi moje archiwum domowe. Mówi, że ma dość tych naszych zdjęć w telefonie, więc przesyłam jej fotografie, które robię swoim córkom, i mama mi je drukuje. Dzięki temu moje dzieci mają albumy rodzinne.

Kto przychodził do laboratorium?

Między innymi Damazy Kwiatkowski, wieloletni fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej, a potem Polskiej Agencji Prasowej, który przynosił fotografie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Wówczas w Pałacu Prezydenckim nie było miejsca, gdzie można by robić odbitki. Ufał mojej mamie i wiedział, że żadne zdjęcia nie wypłyną. Kiedyś rzucił hasło, że szuka kogoś do pracy w archiwum, więc rodzice zaproponowali mnie, bo po skończeniu szkoły średniej nie miałam na siebie pomysłu. Przyszłam w 1997 roku i zostałam do dziś.

Czyli ponad ćwierć wieku?

Miałam czteroletnią przerwę za kadencji prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wtedy się ze mną pożegnano. Wróciłam w 2010 roku, na początku kadencji Bronisława Komorowskiego. Miałam też krótkie przerwy, gdy byłam w ciąży, ale wracałam potem do pracy.

Zatrzymajmy się, proszę, na pierwszych tygodniach twojej pracy w kancelarii. Kto tworzył zespół fotograficzny?

Alicja Niziołek – fotografowała pierwszą damę i prezydenta, Damazy – główny fotograf, i ja – miałam się zajmować archiwum. Po moim zatrudnieniu pożegnano się z Alicją, a Damazy zaczął wprowadzać mnie w pracę fotografa. Przedstawił mnie prezydentowi Kwaśniewskiemu i tak zostałam częścią zespołu dokumentującego jego pracę.

ELIZA RADZIKOWSKA-BIAŁOBRZEWSKA (ur. 1977), fotografa. Pracuje w Kancelarii Prezydenta RP od 1997 roku. Zajmuje się dokumentowaniem pracy prezydenta oraz pierwszej damy.

Jak wspominasz to spotkanie?

O to samo spytał Damazy, gdy wróciłam z gabinetu prezydenta. Ale wiesz, miałam dwadzieścia lat. Chyba nie byłam do końca świadoma znaczenia tego spotkania.

Jak wyglądała twoja nauka zawodu?

Sporo o pracy w kancelarii i wymaganiach dotyczących zdjęć nauczyłam się, przeglądając i porządkując archiwum. Oglądając zdjęcia, zapamiętywałam ciekawe kadry. Na pierwsze tematy chodziłam z Damazym, który mówił mi, gdzie stanąć, żeby zrobić dobre zdjęcie, ale też nie wchodzić komuś w kadr. Uczyłam się w biegu i jakoś to szło. Z czasem zyskiwałam na samodzielności.

Przed wami nie było w kancelarii zespołu fotograficznego? Prezydent Lech Wałęsa nie miał swojego fotografa?

Nie miał osobistego, do tej pracy oddelegowano kogoś z Polskiej Agencji Prasowej. Gdy obsługiwał wydarzenia, dostawał do dyspozycji jeden z pokoi, numer 110. Gdy Damazy zaczął pracę z prezydentem Kwaśniewskim, to też zajął ten pokój. Jest to nadal przestrzeń pracy fotografów i jednocześnie najlepsze miejsce w pałacu, wszędzie można z niego dobiec w kilka minut.

Koniec lat 90. to praca na analogowym sprzęcie, tymczasem świat powoli zaczynał się zmieniać, to czasy zachłystnięcia się internetem. Radziliście sobie tylko we dwójkę?

Pracowałam tylko z Damazym. Mimo że wydarzeń z udziałem prezydenta kiedyś było bardzo dużo, a zdjęcia robiliśmy aparatami analogowymi, to dawaliśmy sobie radę. Dopiero po paru latach mojej pracy powstała strona internetowa Prezydenta RP, zdjęcia wpadały na nią z tygodniowym opóźnieniem. To były trochę inne czasy i dla nikogo wówczas to nie było dziwne. Dzisiaj świat funkcjonuje w innym rytmie i dwie osoby do obsługi fotograficznej urzędu to byłoby zdecydowanie za mało. Aparaty cyfrowe pojawiły się pod koniec drugiej kadencji prezydenta Kwaśniewskiego.

Jaki aparat kupiliście?

Damazy wywalczył pierwszy aparat cyfrowy, który kosztował ze 150 tysięcy złotych. Za te pieniądze wtedy można było kupić mieszkanie na Dolnym Mokotowie. To był twór Kodaka z przystawką Canona. Można było za jednym zamachem zrobić cztery czy pięć zdjęć. Damazy tym fotografował, ale się wściekał, że technicznie to jest bardzo niedoskonały sprzęt.

Eliza Radzikowska-Białobrzewska oraz prezydenci: George W. Bush i Aleksander Kwaśniewski, Biały Dom, 17 lipca 2002 roku.



Dużo mu zawdzięczasz?

Bardzo dużo. Niestety, zmarł dwa lata przed końcem drugiej kadencji prezydenta Kwaśniewskiego. Później fotografowałam już sama, ale było bardzo trudno. Prezydent zapytał, czy dam radę obsłużyć sama wszystkie wydarzenia. Dostałam wsparcie logistyczne w przemieszczaniu się – podróżowałam z prezydentem i dzięki temu poradziłam sobie.

Mam przed sobą zdjęcie prezydenta Kwaśniewskiego ze swoim psem. Prywatna sytuacja. Miałas poczucie, że było ci dużo wolno?

Z prezydentem Kwaśniewskim pracowaliśmy długo. Mieliśmy czas na poznanie się i wypracowanie kontaktu, co niestety nie zawsze było możliwe z jego następcami. Byłam w miejscach, w których przeciętny człowiek nie ma szans być. Byłam świadkiem rozmów, których może nie powinnam słyszeć. Ale mieli do mnie zaufanie, na które sobie wcześniej zapracowałam.

Jak opisałybyś relację z tamtą parą prezydencką?

Miałam z nimi dobry kontakt. Chyba z żadnym kolejnym szefem nie miałam takiej relacji. Do tej pory, gdy

spotykam ich na jakichś uroczystościach, pytają mnie o rodziców i babcię. Taki mają stosunek do ludzi, z którymi pracowali. Bardzo ciepły, rodzinny. Zawsze z sentymentem będę wspominać fotografowanie dla prezydenta Kwaśniewskiego. Na pewno także dlatego, że była to moja pierwsza praca.

A czy były takie sytuacje, w których nie mogłaś fotografować? Czy postawiono ci jakieś granice?

Wręcz przeciwnie, gdy były bardziej prywatne wydarzenia, prezydent Kwaśniewski pytał, czy przyjdę zrobić parę zdjęć na pamiątkę. Pamiętam, jak byliśmy w rezydencji prezydenckiej w Wiśle i wieczorem miałam stamtąd wracać. Przyszłam się pożegnać. A prezydent Aleksander Kwaśniewski zapytał, czy nie zostanę z nimi na część nieoficjalną i spacer w górach, który miał się odbyć kolejnego dnia. Powiedziałam, że jestem nieprzygotowana. Prezydent zarządził, żeby mi pomóc, i znalazły się dla mnie buty, skarpety, a nawet kosmetyki.

Miałas dwadzieścia lat, gdy zaczęłaś pracę dla kancelarii prezydenckiej. Przyznaj się, w którym momencie poczułaś, że woda sodowa uderza ci do głowy?

Pierwsza dama Jolanta Kwaśniewska i Książę Filip, Londyn, 4 maja 2004 roku.



W tamtym czasie praca w Kancelarii Prezydenta RP wzbudzała respekt. To było coś. Rzeczywiście, w pewnym momencie uderzyła mi woda sodowa do głowy. Chyba byłam niesympatyczna, według niektórych osób, z którymi pracowałam, byłam bufonem. Teraz, po latach pracy wiem, że większość osób przechodzi przez ten etap.

Koncentrowałaś się głównie na pracy?

Byłam wtedy młoda i sama. Znajomych miałam w biurze. Nasze życie towarzyskie i zawodowe mieszało się ze sobą. Zdarzało nam się wyjeżdżać nawet na wspólne urlopy. Urodziny, imieniny, wieczorne wyjścia na kawę czy drinka – to był standard.

Z perspektywy czasu zrozumiałam, że byłam świadkiem wielu ważnych wydarzeń i spotkałam niezwykłych ludzi. W Warszawie dokumentowałam wizytę cesarza Akihito i cesarzowej Michiko. Fotografowałam między innymi w Białym Domu czy w Pałacu Królewskim w Belgii. Długo można wymieniać. To była przygoda życia.

A czy z byciem fotografką prezydenta wiązały się jakieś specjalne zasady, ograniczenia?

Musimy się zachowywać godnie, jak przystało na urzędnika państwowego. Obowiązują nas proste zasady, czyli kultura osobista, odpowiedni do sytuacji strój, dbanie o rozsądne zachowanie. I to właściwie tyle i aż tyle.

Byliście sprawdzani na potrzeby pracy w kancelarii?

Tak. Miałam certyfikaty bezpieczeństwa, także te specjalne wystawiane przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, dzięki którym mogłam towarzyszyć prezydentowi podczas szczytu NATO. Ale powtórzę – na zaufanie pracowałam latami.

Dokumentowałaś moment wejścia Polski do NATO, potem do Unii Europejskiej. Obserwowałaś niezwykle ważne wydarzenia w historii Polski i świata, jak konflikt w Ukrainie i pomarańczową rewolucję. Wielokrotnie byłaś też w Stanach Zjednoczonych.

Odbyliśmy wiele podróży zagranicznych. Pamiętam wizytę państwową w Stanach Zjednoczonych w lipcu 2002 roku. Prezydentem był wtedy George W. Bush. Pojechałam tam jeszcze razem z Damazym. Zazdrościłam mu wtedy, bo poleciał Air Force One z obydwojema prezydentami. Ja poleciałam z pierwszą damą innym samolotem. Pamiętam pompę, przemówienia, flagi, wojsko. Wieczorem był oficjalny obiad i osoby towarzyszące musiały założyć smoking lub długą suknię. Nawet dziennikarze.

Ty też?

Z aparatami przewieszonymi przez ramię i w ciągłym ruchu nie dało się nosić sukni. Poza tym trampki by

do niej nie pasowały. Kupiłam smoking, który przerobiłam na tę okazję. Do tego pas i muchę. Wieczorem, gdy pojawiłam się na kolacji, prezydent Kwaśniewski powiedział: „Wow. Nie wpadłbym na to”. Potem używałam tego smokingu podczas oficjalnych wydarzeń w Polsce.

Podpatrywaliście pracę zagranicznych fotografów prezydentów?

Pewnie. Musieliśmy się wszystkiego nauczyć i wprowadzać pewne standardy także w naszej kancelarii. Z czasem nawet ochrona musiała zacząć zakładać smokingi na wieczorne kolacje. Bywało, że z zazdrością patrzyliśmy, jak funkcjonowały kancelarie zagraniczne, jaki miały sprzęt. Nie było wtedy możliwości finansowych, żeby wszyscy pracownicy mieli służbowe telefony, więc korzystaliśmy z własnych. Z drugiej strony, panowały bardziej przyjacielskie relacje.

A sytuacje niespodziewane, przypadkowe? Dużo ich było w twojej pracy?

Jedną z wizyt, podczas której niewiele mogłam zrobić, była ta w Moskwie, w Dniu Zwycięstwa 9 maja 2005 roku, w sześćdziesiątą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. Miałam wyznaczone dwa punkty, z których mogłam fotografować. Stałam tam, gdzie media, nie mogłam nigdzie wejść za prezydentem Kwaśniewskim, więc z tego wydarzenia nie powstały jakieś wybitne kadry. Pamiętam, że obok mnie stał Wojciech Grzędziński, utytułowany fotoreporter, z którym później pracowałam w kancelarii.

Pełne niespodzianek były wizyty w Ukrainie w trakcie pomarańczowej rewolucji. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy wrócimy. Teraz jest trochę spokojniej. Z reguły każdy rodzaj wizyty ma swój harmonogram: państwowa, oficjalna, nieoficjalna, robocza, prywatna – wszystko jest ustawione i zawsze znam ramy czasowe danego wydarzenia. Różnią się między sobą protokołem i skalą ważności. Najważniejsza jest zawsze wizyta państwowa i do niej muszę się przygotować szczególnie, także pod kątem technicznym.

Ale czasem okazuje się, że nawet najlepiej przygotowany sprzęt trzeba odłożyć, bo mamy całkowity zakaz fotografowania, jak na przykład podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych, w bazie wojskowej wybudowanej w górze Cheyenne.

Udało ci się tam wejść?

Tak. Wiedziałam, że taka okazja już się nie powtórzy.

Rozumiem, że uroczystości z udziałem prezydenta mają wcześniej zaplanowany przebieg?

Gdy mają się odbyć na przykład nominacje sędziowskie,

Zdarzały mi się wpadki: na przykład przewróciłam się przed Gabinetem Ovalnym podczas wizyty roboczej prezydenta Kwaśniewskiego w Białym Domu.

to wiem dokładnie, co się będzie działo. Najpierw zdjęcia z wręczania nominacji, a potem fotografia z białym misiem.

Ciekawe określenie.

Funkcjonuje od czasów Aleksandra Kwaśniewskiego, którym sam tak o sobie powiedział i śmiał się z tego.

Wyjazdy pozwalają uciec od rutyny?

Zdecydowanie. Trzeba się szybko zorientować w miejscu, w którym nigdy wcześniej się nie było. Z jednej strony goście, z drugiej media, tu mogę fotografować. Z czasem zaczęło mi to przychodzić z łatwością. Ale nie zawsze było tak kolorowo. Zdarzały mi się wpadki: na przykład przewróciłam się przed Gabinetem Ovalnym podczas wizyty roboczej prezydenta Kwaśniewskiego w Białym Domu. To było 27 stycznia 2004 roku. Na chodnikach była szadź, a prezydenci przechodzili właśnie z gabinetu na zewnątrz budynku. Biegłam tyłem przed nimi, żeby zrobić im ładne zdjęcie. I w pewnym momencie poślizgnęłam się i upadłam na kolano. Prezydent George W. Bush podniósł mnie, wziął pod rękę i zapytał, czy potrzebuję lekarza. Nalegał wręcz. A prezydent Kwaśniewski trochę się śmiał z tej sytuacji. Mnie z kolei trudno było przyznać, że coś mnie boli, bo przecież prowadzi mnie pod rękę jedna z najważniejszych osób na świecie. Nawet nie zauważyłam, że fotograf prezydenta Stanów Zjednoczonych zrobił nam w tej sytuacji zdjęcie. Zapytał mnie potem, jak mam na imię, i po pewnym czasie dostałam odbitkę, na której widać, jak prowadzi mnie prezydent. Widniała na niej odręcznie napisana dedykacja George'a W. Busha. Potem prezydent Kwaśniewski opowiadał, że Damazy tyle razy wywalił się w różnych miejscach, ale nigdy z takim przytupem jak ja.

I masz pamiątkę na całe życie! A czy podczas wyjazdów obowiązywały jakieś specjalne wytyczne?

Zdecydowanie przed każdą delegacją musimy się przygotować. Zasady są mniej więcej te same. Co nie znaczy, że w trakcie zagranicznych wizyt nic nie może nas zaskoczyć. Podczas wizyty u króla Tajlandii Bhumibola Adulyadeja Ramy IX zobaczyliśmy podwładnych wchodzących na kolana przed oblicze władcy. Przed wyjazdem do Arabii Saudyjskiej poproszono mnie, abym na miejscu miała zakryte włosy. Podczas wizyty w pałacu powiedziano mi jednak, że jestem gościem i nie jest to konieczne. Pamiętam, jak przed wizytą cesarza Japonii w Warszawie zasygnalizowano nam, abyśmy po wykonaniu zdjęć nie odwracali się do niego plecami.

Dlaczego nie ma innych kobiet w zespole fotograficznym?

Nie mam pojęcia. Gdy zaczęłam pracę w kancelarii

i spotykałam się z ludźmi z mediów, sporadycznie widziałam fotoreporterki. Z czasem to się zmieniło.

Jak ci jest w męskim świecie?

Dobrze. Lubię pracować z mężczyznami. Dogadujemy się bez problemu. Zresztą pracując z mężczyznami, nauczyłam się, że oni są zdecydowani i konkretni. Plussem też jest to, że gdy wyjeżdżamy w delegację, to w damskiej toalecie nie ma kolejki.

A zdarzyło ci się spóźnić na ważne zdjęcie?

Na szczęście chyba nie, ale było blisko. Byliśmy w Watykanie na pogrzebie papieża Jana Pawła II. Czekaaliśmy dość długo na rozpoczęcie uroczystości. Skorzystałam z okazji i udałam się w ustronne miejsce. Po chwili słyszę: „Eliza!”. Krzyczę: „Co się stało?” i wybiegam z impetem z toalety. Na szczęście na czas, bo prezydent Kwaśniewski mówi – „No, zrób nam zdjęcie”. I widzę scenę, gdy prezydenci Kwaśniewski i Wałęsa podają sobie ręce, pierwszy raz od dziesięciu lat. To zdjęcie obiergło wszystkie media. Mam je do dziś. A mogło mnie tam w ogóle nie być.

Dlaczego?

Jechałam samochodem z ministrem Adamem Rotfeldem, ale gdy wjeżdżaliśmy na teren Watykanu, ktoś z polskiej ambasady chciał, żebym wysiadła. Minister powiedział, że muszę zostać. Tym sposobem udało mi się wejść na sam plac Świętego Piotra. Byłam w ostatnim rzędzie delegacji siedzących przy ołtarzu. Fotograficznie niewiele wtedy zrobiłam.

Pamiętam obraz tej zamykanej księgi.

Nawet tego dokładnie nie widziałam. Poczułam zimny wiatr, mimo że było wtedy bardzo ciepło. Usłyszałam tylko reakcję innych osób. Przed rozpoczęciem mszy, ale już na placu, fotografowałam moment, kiedy składano kondolencje parze prezydenckiej. Stałam obok słynnego fotografa papieskiego Artura Mariego, który zawsze był bardzo miły, i dlatego nikt mnie nie przegonił. Dzięki temu mam inne zdjęcia niż wszyscy.

Były inne wyjątkowe wydarzenia w prezydenturze Aleksandra Kwaśniewskiego, które szczególnie wspominasz?

Oficjalna wizyta pary prezydenckiej w Londynie, u królowej Elżbiety II. Takiej oprawy, z wojskiem, przejazdem karetami do pałacu Buckingham, ze wszystkimi honorami, nie widziałam do dzisiejszego dnia. Prezydent Aleksander Kwaśniewski jechał z królową, a pani prezydentowa Jolanta Kwaśniewska z księciem Filipem. Choć wiedziałam, że wielu rzeczy i sytuacji podczas tej wizyty nie uwiecznię, bo obowiązywały limity liczby miejsc nawet dla fotografów prezydentów.

Przed każdą delegacją musimy się przygotować. Na przykład przed wizytą cesarza Japonii w Warszawie zasygnalizowano nam, abyśmy po wykonaniu zdjęć nie odwracali się do niego plecami.

Jakie były te obostrzenia?

Nie wpuszczono nas na rozmowy w cztery oczy. Na oficjalny obiad w pałacu Buckingham też nie mogliśmy wejść. Ani na wystąpienie królowej Elżbiety II przed uroczystą kolacją. Podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych, a było to wydarzenie tej samej rangi, mogliśmy dużo więcej.

Gdy przeglądam twoje zdjęcia, wydaje mi się, że sprawnie reagowałaś na sytuacje, które wymykały się regułom. Patrzę na zdjęcie prezydenta Kwaśniewskiego, który karmi foki na Helu. I grono ludzi, którzy stoją i mu się przyglądają. Część z nich jest w garniturach. Zabawna sytuacja.

Bardzo. Teraz rzadziej fotografuję takie sceny. Prezydent Kwaśniewski miał duży dystans do siebie. Poza tym większość tego rodzaju zdjęć powstała w drugiej kadencji, kiedy nie trzeba było już się ubiegać o reelekcję.

W 2005 roku prezydentem został Lech Kaczyński. Jak z twojej perspektywy wyglądała ta zmiana?

Pamiętam słowa prezydenta Kwaśniewskiego, gdy 22 grudnia 2005 roku poszłam do jego gabinetu, żeby podpisał mi się na zdjęciu. Powiedział, że ma dużo pracy i żebym przyszła innego dnia, do biura. Ale uparłam się, że chcę mieć podpis złożony w gabinecie prezydenckim. To był jego ostatni dzień w tym miejscu.

Co to było za zdjęcie?

Z ostatniej wizyty w Stanach Zjednoczonych, w Aspen, z wycieczki w góry. Jestem z nim na tym zdjęciu. Prezydent po złożeniu podpisu zapytał, co robię następnego dnia. Odpowiedziałam, że jadę z nim do Sejmu i wracam do Pałacu Prezydenckiego. Ale nie wiem, co potem.

Zrobiłam zdjęcia podczas zaprzysiężenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wróciłam do pałacu, a w kolejnych punktach ceremonii prezydentowi Kaczyńskiemu towarzyszył już jego fotograf Maciej Chojnowski. Wprowadziłam go do kancelarii. Trzeba dodać, że każdy prezydent przychodzi do kancelarii ze swoim fotografem, który często jest z nim już podczas kampanii.

Na czym polegało to przekazanie obowiązków?

Wprowadziłam go w pracę kancelarii, poznałam z odpowiednimi ludźmi i fotografowaliśmy trochę razem wydarzenia. Potem robiłam też zdjęcia pierwszej damie, Marii Kaczyńskiej. Pracowałam z parą prezydencką około roku.

A jak wspominasz prezydentową?

Jako bardzo ciepłą osobę. Pamiętam, gdy pojawiła się wraz z mężem już po zaprzysiężeniu. To było spotkanie z ludźmi odpowiedzialnymi za protokół dyplomatyczny

w pałacu i Maria Kaczyńska w pewnym momencie podeszła do mnie i zapytała, jak tu właściwie jest w tym Pałacu Prezydenckim. Dowiedziała się, że długo tu pracuję, i chciała porozmawiać. Niestety, nie miałam możliwości jej długo fotografować.

Zostałaś odsunięta od pracy?

Tak. Dawano mi odczuć, że nie jestem od nich, że mam inne poglądy. Nie byłam informowana o wszystkich wydarzeniach, spotkaniach, sprawach dotyczących bieżącej pracy.

Co wtedy czułaś?

Wiesz, zawsze byłam „od nich”, czyli od poprzedniej ekipy. Myślałam: czy to dobrze, czy źle? Jestem lepsza czy

Para prezydencka, sierpień 2005 roku



gorsza? Osoba, która ma słabą psychikę, może tego nie udźwignąć. A jednak miałam świadomość, że za mną stoją wiedza, doświadczenie, kontakty.

Ktoś cię pytał o poglądy polityczne?

Nikt, do dziś nie pytają. Ja też nigdy tych tematów nie poruszam. Znałam osoby, które z powodu poglądów politycznych odchodziły z pracy. Ja wychodzę z założenia, że pracuję dla głowy państwa – prezydenta, który został wybrany w demokratycznych wyborach. Mimo to tamta ekipa dała mi odczuć, że nie pasuję.

Pamiętasz pierwsze wpadki podczas wystąpień prezydenta Lecha Kaczyńskiego? A to flaga źle postawiona, a to źle wywieszona. Odsunięto ludzi, którzy się na tym znali, specjalistów od protokołu czy spraw organizacyjnych w kancelarii. Oczywiście prezydent musi mieć swoich zaufanych ludzi, ale trzeba zrobić okres przejściowy. Ja też za każdym razem musiałam zdobywać zaufanie nowych ludzi. Wprowadzałam Maćka Chojnowskiego, bo uważałam, że tak należy zrobić, dla dobra urzędu. Z czasem przeniesiono mnie do innego biura administracyjnego przy ulicy Wiejskiej. Potem w ogóle podziękowano mi za pracę w Pałacu

Prezydenckim. Ale życie jest przewrotne, bo przecież tam wróciłam.

Co robiłaś w czasie, w którym nie byłaś fotografką prezydentów?

Miałam epizod gastronomiczny. Otworzyłam z mężem kawiarnio-galerię. To było coś zupełnie nowego na rynku. Ale mój brak doświadczenia spowodował, że niezbyt dobrze się to skończyło. Czasem się śmieję, że pewne rzeczy, tak jak moja mama, robię z wyprzedzeniem, z nim stanie się to modne.

Pamiętam to miejsce. Przesiadaliśmy tam z fotografami z agencji Napo Images. W twojej kawiarni odbieraliśmy zdjęcia z Gruzji od Wojtka Grzędzińskiego, za które później w 2009 roku otrzymał World Press Photo.

Żałuję, że Bracka 18 nie przetrwała.

Czyli 10 kwietnia 2010 roku nie pracowałaś już w Kancelarii Prezydenta RP.

Znałam część osób, które wtedy zginęły. Ale sama świadomość, że ginie głowa państwa, jest przytłaczająca. Do dzisiaj brakuję mi słów.

Prezydent Bronisław Komorowski i pierwsza dama Anna Komorowska w towarzystwie harcerzy, 22 sierpnia 2012 roku.



Pamiętasz, gdzie byłaś, gdy się o tym dowiedziałaś?

To była sobota i mieliśmy zamówioną salę na szkolenie w naszej kawiarni. W telewizorze leciały wiadomości. Poszłam do kuchni coś zrobić. Nagle usłyszałam, jak mąż krzyczy do mnie, że spadł jak – samolot prezydencki. Ale prezydent nie latał już jakim. Wiedziałam, że to niemożliwe. Coś się nie zgadzało. Zadzwoiłam do znajomych z kancelarii. Szukałam informacji. Potem pojawiła się lista pasażerów i już było wiadomo.

Latałaś z prezydentami?

Tak.

Nigdy się nie bałaś?

Zawsze czułam się bezpiecznie. Mówiłam, że traktuję z sentymentem prezydencki samolot, tupolewa. Jak wracaliśmy na lotnisko po wizycie zagranicznej, to gdy widziałam na płycie nasz samolot, czułam, jakbym była w domu.

Wróciłaś do kancelarii i stałaś się częścią zespołu budowanego przez Łukasza Kamińskiego, który fotografował prezydenta Komorowskiego w trakcie kampanii prezydenckiej w 2010 roku.

Łukasza znałam prywatnie, a właściwie dobrze znali się nasi rodzice. Mama i tata Łukasza także prowadzili laboratorium fotograficzne. Zadzwoił do mnie w 2010 roku i wróciłam do pracy.

Początkowo Łukasz był głównym fotografem prezydenta. To było uhonorowanie jego pracy podczas kampanii. Ja fotografowałam pierwszą damę, a Łukasz prezydenta. Cały czas wprowadzałam go do pracy w kancelarii. Wiedział, że znam ludzi i jestem w stanie wiele rzeczy załatwić od ręki. Potem zespół się powiększył. Dołączyli do nas Piotr Mołęcki i Wojtek Grzędziński, który z czasem przejął obowiązki głównego fotografa.

Wasza praca jest bardziej relacjonowaniem wydarzeń czy budowaniem wizerunku głowy państwa?

Pomiędzy. Z jednej strony dokumentujemy wydarzenia, które trafiają do archiwum i są częścią dokumentacji i relacji z kadencji, a z drugiej – nasze zdjęcia są częścią wizerunku Prezydenta RP.

A emocje? Udać się złapać to, co najcenniejsze w fotografii?

Mam w pamięci wizytę grupy dzieci, pacjentów onkologicznych, u papieża Jana Pawła II. To był 2002 rok. Pani prezydentowa Jolanta Kwaśniewska zorganizowała to spotkanie w Watykanie. Dla tych dzieci to często był pierwszy raz, kiedy opuściły szpital i gdzieś wyjechały. To było też moje pierwsze spotkanie z papieżem. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Emocje były bardzo silne.

Pamiętam łzy w oczach pani prezydentowej. Wiem też, że dla części z tych dzieci to był w ogóle ich ostatni wyjazd w życiu.

Jak radzisz sobie w takich sytuacjach?

Często, gdy towarzyszyłam pierwszej damie Jolancie Kwaśniewskiej, spotykałam chore dzieci i musiałam się chować za aparatem. Moja wrażliwość i poziom empatii są zbyt wysokie. Cieszę się, że teraz, gdy jestem mamą, nie biorę udziału w tego rodzaju wizytach. Byłam raz, gdy prezydent Andrzej Duda objął urząd i pojechaliśmy do Kliniki Onkologii Centrum Zdrowia Dziecka, w grudniu 2015 roku. Zanim zaczęłam fotografować, przeszłam się po szpitalu, żeby zobaczyć oddział i zapytać pacjentów oraz rodziców, czy mogą robić zdjęcia. Chciałam mieć pewność, że nie będę im przeszkadzać. Pamiętam, że chwilę po tym wyszłam na korytarz i się popłakałam. Wiedziałam, że muszę się zebrać do kupy, bo jestem tam służbowo. Skupiłam się na wykonaniu zadania i musiałam wyłączyć emocje.

A czy możesz fotografować emocje pierwszej pary?

Czasami są takie sytuacje, w których może nie powinniśmy fotografować, ale robimy to, bo nigdy nie wiemy, co i kiedy może się przydać. W przypadku Jolanty Kwaśniewskiej powstało dużo takich zdjęć: i tych, kiedy ocierała łzę z policzka, i takich, gdy śmiała się wspólnie z osobami, które spotykała. Pary prezydenckie bardzo się różnią, więc trudno to porównywać, nie jest to nawet wskazane. Każdy wykonuje swoje zadania na swój sposób i pokazuje światu innego siebie.

I za to, jak są pokazywani, odpowiadają między innymi fotografowie prezydentów. Mielście jasny podział obowiązków w zespole za czasów prezydenta Bronisława Komorowskiego?

Tak. Piotr Mołęcki odpowiadał za zdjęcia pierwszej damy, Wojciech Grzędziński był odpowiedzialny za fotografie prezydenta. Drugi fotograf obsługiwał wydarzenia z udziałem pierwszej pary. Byliśmy bardzo zgranym zespołem, wiedzieliśmy, że możemy na sobie polegać. Do dziś zresztą utrzymujemy kontakt i cieszymy się na swój widok.

A jakie były wyzwania w tym czasie?

Przeszliśmy na inny system komputerowy. Ale to są kwestie techniczne. Wojtek miał trochę inne spojrzenie na pracę w kancelarii. Chciał inaczej niż dotychczas pokazywać parę prezydencką. Zależało mu na mniej standardowych ujęciach, na dobrych zdjęciach, które będą doceniane przez odbiorców. Nie wszyscy, zwłaszcza ci starszej daty, rozumieli – nazwijmy to w ten sposób – mniej klasyczne podejście do zdjęć pary prezydenckiej.

Prezydent Komorowski powiedział: „To może ja wam wszystkim zrobię zdjęcie z panem prezydentem?”. Złapał za aparat i zrobił nam świetne zdjęcie z Obamą.

Patrzę na zdjęcie pary prezydenckiej w otoczeniu harcerzy. Szeroki kadr, młodość, ognisko. Szukaliście też mniej oficjalnych kadrów?

Pan prezydent Komorowski bardzo lubił kontakt z ludźmi, więc nie trzeba było specjalnie szukać. Zawsze gdy go ludzie wołali, to szedł się przywitać, porozmawiać. Miał świetny kontakt z młodymi ludźmi, na przykład właśnie z harcerzami, ale też z osobami starszymi, weteranami. Była taka tradycja, że 15 sierpnia, po oficjalnych uroczystościach z okazji Święta Wojska Polskiego, prezydent organizował bardziej prywatne spotkanie, między innymi z powstańcami. Wtedy był czas na rozmowę, nawiązanie relacji.

Lubiłaś fotografować te spotkania?

Oczywiście. Mają inny charakter niż te oficjalne i dla fotografa to okazja do uwiecznienia emocji.

A najciekawsze dla ciebie wydarzenie prezydentury Bronisława Komorowskiego?

Wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych Baracka Obamy i przemówienie na placu Zamkowym. Ważne i wyjątkowe wydarzenie. To była rocznica wolnych wyborów. Rzadko się zdarza, żeby prezydent USA przemawiał w Polsce. Każda osoba z naszego zespołu miała swoje odpowiedzialne zadania. Wojtek Grzędziński był blisko i fotografował ramię w ramię ze słynnym Pete'em Souza, czyli fotografem prezydenta Obamy. Ja robiłam zdjęcia z szerszej perspektywy, długim obiektywem. Stałam na zwyczaj z dziennikarzami.

Presja czasu jest ogromna. Większość sytuacji, które widzimy i dokumentujemy, już się nie powtórzy.

Musiałaś walczyć o dobre miejsce?

Musiałam sobie znaleźć miejsce. Ale ja lubię pracę z dziennikarzami. To czas, kiedy możemy ze sobą po- być, porozmawiać. Mam też fajne wspomnienie z tej wizyty i kolejne zdjęcie z amerykańskim prezydentem na pamiątkę.

Jak do tego doszło?

Anna Godzwon, która pracowała wtedy w kancelarii, poprosiła o zdjęcie z prezydentem Obamą. I potem kolejne osoby zwróciły się z taką samą prośbą. W końcu prezydent Komorowski powiedział: „To może ja wam wszystkim zrobię zdjęcie z panem prezydentem?”. Złapał za aparat Łukasza Kamińskiego i zrobił nam świetne zdjęcie. A ja telefonem sfotografowałam prezydenta Komorowskiego, jak to robi.

Przeprana prezydenta Komorowskiego w wyborach była dla ciebie zaskoczeniem?

Jak dla wszystkich, ale pamiętam moje słowa do Łukasza Kamińskiego, gdy obserwowałam, jak wyglądała kampania prezydencka dwóch kandydatów i jakie były reakcje

ludzi. Powiedziałam wtedy, że jak tak dalej pójdzie, to nie będzie drugiej kadencji. Koledzy się śmieją do tej pory, że Eliza patrzy w kryształową kulę i wróży.

To kto wygra kolejne wybory parlamentarne?

Nie mam pojęcia...

A jak wspominasz dzień zaprzysiężenia Andrzeja Dudy na prezydenta?

Wojtek Grzędziński, który wówczas kierował naszym zespołem, podzielił nas na osoby odpowiedzialne za dokumentowanie poszczególnych części uroczystości: obsługę wydarzenia w Sejmie, przejęcie zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi, mszę i tak dalej. Wszystkie te tematy równolegle robił już także fotograf prezydenta, czyli Andrzej Hrechorowicz. Ale on bliżej, a my z pewnego dystansu.

Potem Wojtek wprowadził go do kancelarii. Wiedzieliśmy, że przyszedł sam, bez wsparcia innych fotografów, więc nie było szans, żeby ze wszystkim sobie poradził. Wprowadziłam go do Kancelarii Prezydenta RP i wytłumaczyłam, jaka jest specyfika tego miejsca i naszych obowiązków. W tym czasie z pracy zrezygnowali Wojciech Grzędziński i Łukasz Kamiński. Piotr Molęcki i Wojciech Olkuśnik zostali. Na początku sporo fotografowałam. Andrzej Hrechorowicz zajmował się głównie obsługą delegacji zagranicznych. Piotrek Molęcki, który miał już doświadczenie w fotografowaniu pani Komorowskiej, przeszedł do pierwszej damy. Po jakimś czasie zaszłam w ciążę i miałam przerwę w pracy.

Nie zdecydowałaś się jednak na rezygnację, mimo że część zespołu fotografów odeszła. Dlaczego?

Wydaje mi się, że te pierwsze tygodnie nie są łatwe dla osoby, która przychodzi do urzędu. Wiedziłam, że mogę pomóc. A czy mi przyszło do głowy, żeby odejść? Nie pamiętam.

A teraz, czy są takie tematy, które mogłyby być dla ciebie wyzwaniem? Czy czekasz na jakieś konkretne wydarzenie?

Jasne, że chciałabym raz na jakiś czas przewietrzyć głowę. Po odejściu Andrzeja Hrechorowicza głównym fotografem prezydenta Andrzeja Dudy został Kuba Szymczuk, który robił zresztą pierwszą oficjalną sesję parze prezydenckiej. Ja zrobiłam krok w tył. Tak po prostu czasem jest. Dziś fotografuję, ale w mniejszym wymiarze niż kiedyś, zajmuję się też wyborem zdjęć. Tę część pracy bardzo lubię.

Nie miałaś nigdy ambicji, żeby spisać wspomnienia, kulis wydarzeń i spotkań, a z czasem może podzielić się nimi z szerszą publicznością?

Są tacy, którzy mnie do tego namawiają. Ale jestem oporna. Na razie mam dobrą pamięć. Wiesz, nasza rozmowa uświadomiła mi pewne rzeczy.

Jakie?

Wzięłam udział w tak wielu wydarzeniach, miałam kontakt z tak wieloma ludźmi, że wspomnieniami mogłabym obdzielić kilka osób. Jestem bliska tego, żeby powiedzieć, że jestem spełniona. Przed trzydziestką zostałam osobistą fotografką prezydenta. Dla niektórych to zwieńczenie kariery. Jeden z pracowników kancelarii za czasów Bronisława Komorowskiego powiedział, że do tego miejsca trzeba przyjść już z pewną wiedzą. U mnie było trochę inaczej. Praktycznie wszystkiego nauczyłam się tutaj.

Swój czas już miałam, pracując dla prezydenta Kwaśniewskiego. I cieszę się, że to było w takim momencie mojego życia, ale też w przełomowym dla Polski okresie. Teraz chętnie podzielę się swoim doświadczeniem, kontaktami. Niech inni się wykażą.

Co jest takiego w byciu fotografką prezydentów, że jednak wciąż trwasz na posterunku?

Nie wiem. Na pewno ludzie. Na pewno trzyma mnie w tej pracy adrenalina, co może nie wydawać się oczywiste. Chociaż ma to swoją cenę, bo kłopoty ze snem po długim dniu pracy, przeżywanie tego, co się wydarzyło, szybko się pojawiają. Może też ciekawość tego, co się wydarzy. Dam radę dalej czy nie.

Stres jest w tej pracy obecny?

Jasne, że jest. Presja czasu jest ogromna. Większość sytuacji, które widzimy i dokumentujemy, już się nie powtórzy. Czasem ktoś używa takiego określenia, że fotograf pójdzie i pstryknie zdjęcia. My wiemy, że dla ludzi, którzy biorą udział w różnych uroczystościach, zdjęcia mają ogromne znaczenie. Nasza praca jest też ważna w kontekście historycznym.

A gdybyś nie była fotografką, to w jakim zawodzie mogłabyś się odnaleźć?

Mam swoje ścieżki, którymi mogłabym pójść. Bardzo lubię projektowanie wnętrz. Znajomi mówią, że z prostej rzeczy potrafię zrobić coś innego, lepszego, ładniejszego. Ale prawda jest taka, że lubię to, co robię w kancelarii, i nigdzie się nie wybieram.

Prezydent Andrzej Duda, 8 marca 2020 roku.





Kapsuła

tekst IZA KLEMENTOWSKA

—

PUSTYNIA ROBI CI Z GŁOWĄ, co chce. Jakby piasek zasypywał miejsca w mózgu odpowiedzialne za racjonalne myślenie. Niby dlaczego tyle tutaj kościołów?

Ciemnobeżowy budynek łatwo przeoczyć. Z daleka, gdy schodzi się z zaspanych piaskiem skalistych gór, wygląda na plamę cienia. Jakby nad kawałkiem pustyni w okolicy Twentynine Palms w Kalifornii zawisł kwadratowy statek kosmiczny. Wydaje się, że go nie ma. Ukryty między jeszcze mniej widocznymi, bo w kolorze piasku, niewielkimi, pustymi domami, staje przed oczami dopiero, gdy podchodzi się bliżej. Wygląda trochę jak bunkier.

Wiatr tego dnia wiał łżej, jakby chciał dać odpocząć sobie i ziemi przeczesanej piachem w każdym możliwym kierunku. Przez ponad dwa tygodnie nieustającej pustynnej burzy nie ruszyłam się z domu nawet na krok. Telewizor przestał działać, radio wychwytywało tylko zawile fale dźwiękowe, których nijak nie mogłam odczytać, jakby nadawali je kosmici. Do najbliższych sąsiadów było jakieś dziesięć minut jazdy samochodem. Jednak ruszać gdziekolwiek było nie do pomyslenia i zupełnie bez sensu. Świat na zewnątrz zamienił się w wirującą kulę piasku, której nie sposób umknąć. Dom lekko trzeszczał przy silniejszych podmuchach

wiatru, dach łopotał jak żagiel, a szyby drżały, wibrując cichutko w tonacji C-dur. Telefony komórkowe na próbę połączenia reagowały pustym, pojedynczym sygnałem, który zanikał w sekundę. Stacjonarny szumiał na wzór radia, aż w końcu ucichł zupełnie na tyle, że można było usłyszeć własne krążenie krwi w uszach. Wyglądałam przez okno w poszukiwaniu jakiegokolwiek kształtu, który nie przypominałby ziarenka piasku. Ale im mocniej wpatrywałam się w widok za szybami, tym bardziej wzmagala się szaro-beżowość przestrzeni i nieba. Ziemia stała się królestwem piasku.

Już po trzech dniach powietrze w domu zaczęło drapać gardło, na którym osadzała się cieniutka warstwa pyłu. Płukałam je co godzinę, aż w końcu dotarło do mnie, że woda pochodzi z ogromnego zbiornika stojącego na dachu i nie wiadomo tak naprawdę, ile jej jeszcze zostało i na jak długo piasek objął świat we władanie. Przecierałam oczy chusteczką higieniczną, którą strzepywałam później na podłogę, aż zrobiła mi się w pokoju niewielka plaża. To samo robiłam z pościelą. Próbowalam spać pod nią, żeby

nie wdychać pyłu przedzierającego się przez szczeliny we framugach okien, ale i tak rano budziłam się z zapchanym nosem.

Piasek w powietrzu zagarnął całe światło, które dochodziło z zewnątrz. Prześwity słoneczne były tak rzadkie i migawkowe, że nie nadążałam cieszyć się ich kilkusekundowym trwaniem. Po tygodniu przyzwyczaiłam się do ciemności, a kiedy w końcu padła elektryczność, brak światła nie przeszkadzał mi zupełnie. Kładłam się spać i wstawałam na wycucie. Zegary stanęły.

Tamtego poranka coś uparcie starało się mnie obudzić. Mrużyłam oczy przez dłuższą chwilę, jeszcze nie do końca przytomnie, i w końcu dotarło do mnie, że nie słyszę ani wiatru, ani piasku rysującego ściany domu, a smużka słońca pada na moje łóżko przez drewniane żaluzje. Podciągnęłam je do góry. W powietrzu wirowały jeszcze pojedyncze ziarenka, migocząc w świetle jak cekiny, ale znowu można było zobaczyć pustynię na przestrzał dobrych kilku, jeśli nie kilkunastu kilometrów. Nie wiem, jak długo stałam w oknie, wsłuchując się w ciszę. Była to cisza z rodzaju tych pustych, nawet niebrzęczących w uchu. Nie wiedziałam, która jest godzina, ale domyśliłam się po słońcu, które jeszcze nie zdążyło zawędrować do połowy znowu – znowu! – błękitnego nieba. Wyszłam z pokoju i usiadłam, zwracając twarz w stronę rozsuwanych drzwi, wychodzących

najpierw na podwórko, później na pustynię, i zaczęłam wpatrywać się w jeden punkt. Zazwyczaj była nim jedyna palma w okolicy, rosnąca strzeliście i prosto, jakby ktoś włożył jej w pień żelazny drut. Teraz, pochylona w lewo, zwiślała swoim liścianym pióropuszem tuż nad drewnianą komórką z narzędziami, jakby chciała do niej zajrzeć. Brak dachu, który zatrzymał się na bambusowym ogrodzeniu kilkanaście metrów dalej, tylko temu sprzyjał.

Wyszłam na zewnątrz. Ratanowe krzesła i stolik zniknęły sprzed domu, musiały przefrunąć przez ogrodzenie. Próbowала ruszyć przesuwając bramę, ale ani drgnęła. Najpierw musiałam odgarnąć zwały piachu, ale im bardziej go wymiatałam, tym więcej przybywało go z drugiej strony. Wspięłam się w końcu na bramę i skoczyłam prosto w wydmy. Utwardzonej drogi nie było widać, dookoła istniał tylko piasek. Nawet nie-liczne uschnięte rośliny wywiału nie wiadomo dokąd. Krajobraz był jednolity, uczesany piachem.

Wiał lekki wiatr, który w pierwszym odruchu wzbudził we mnie lęk, że to jeszcze nie koniec burzy, jednak postanowiłam pójść na spacer. Szkielety paru domów, które wcześniej mijałam od czasu do czasu, teraz leżały złożone jak kartony po rozpakowaniu. Inne budynki trwały, pozbawione tej czy innej zwisającej wcześniej części – okna, drzwi, okien- nic. Poszłam w stronę gór na horyzoncie, bo był to jedyny punkt, do którego mogłam się teraz odnieść. Pustynia stała się mię- kka, pęknięcia w ziemi zasypał piach i szłam jak po plaży, zapadając się lekko. Dotarłam w końcu pod wzgórze, które zazwyczaj były w kolorze szarosinym, a teraz – obsypane ła- chami piachu jak orkiszowe ciasto cieniut- ką kruszonką. Odwróciłam się i spojrzałam na dolinę. Przejrzystość powietrza aż mnie zdumiała. I wtedy w oddali zobaczyłam ciem- niejszą, kwadratową plamę na horyzoncie. Słońce było mniej więcej w zenicie, ale nie czułam gorąca. Przeciwnie, pozwalałam pro- mieniom wnikać w skórę, która wyraźnie stę- skniała się za naturalnym światłem.

KILKA DNI PÓŹNIEJ chwyciłam za klam- kę ciężkich, żelaznych drzwi, przy których na ścianie wisiała ledwo widoczna tabliczka

z prawie nieczytelnym napisem „Centrum Pomocy/Centrum Seniora”. Zdziwił mnie brak zwałów piachu, który parkował przy każdej przeszkodzie, jaką napotykał na swo- jej drodze. Miasto wciąż było zasypane po burzy, a ten budynek wyglądał, jakby po- jawił się tuż po niej lub włączył specjalną przeciwpiaśkową barierę ochronną. Drzwi ustąpiły z cichym dźwiękiem zassania, jak- bym otwierała długo zamkniętą kapsułę ra- tunkową. Na ścianie z ogłoszeniami tuż przy wejściu przeczytałam:

„Stan Kalifornia zabrania:

- świń każdego rodzaju: dużych, małych, wietnamskich;
- węży powyżej sześciu stóp długości;
- zwierząt jadowitych;
- koni, chyba że uzyska się specjalne po- zwolenie”.



Oraz:

„Procedury w przypadku trzęsienia zie- mi:

1. Nie panikuj. Najlepiej schroń się pod stołem i zostań tam, dopóki nie ustanie trzęsienie. Połóż się co najmniej piętna- ście stóp [około 4,5 metra – przyp. red.] od okna.
2. Po ustaniu trzęsienia sprawdź swoje obrażenia. Udziel pierwszej pomocy, jeśli w twoim otoczeniu są ranni. (...)
4. Zadzwoń na 911 tylko w przypadku po- żaru lub konieczności wezwania pomocy medycznej.
5. Opuść budynek. Udać się w bezpieczne miejsce i sprawdź linie energetyczne oraz czy ściany nie są popękane. (...)
7. Uprzątnij zniszczone przedmioty w po- bliżu głównego źródła zasilania. W więk- szości budynków znajduje się na wschod- niej ścianie, w holu pomiędzy pokojami.

8. Woda – usuń ją z przejścia przed do- mem. Gaz – wyłącz główny zawór.

9. Ponowne wejście do domu nie jest wskazane, dopóki straż pożarna nie udzieli pozwolenia”.

Procedur w przypadku burzy piaskowej nie było.

– Ktoś ty? – spojrzały na mnie bladonie- bieskie oczy mężczyzny, zarośniętego, jak to tylko możliwe. Jego broda i włosy zostawały niewiele miejsca dla skóry twarzy. Nie byłam w stanie zobaczyć jego ust. Przekrzywiona głowa leżała mu na prawym ramieniu, jakby odpoczywając. Miałam wrażenie, że cały jest beżowy – od zakurzonych butów traperów, przez koszulkę i spodnie w jasnobrązowym odcieniu, aż po czubek głowy. Szyja gubiła się pod gęstym zarostem.

– Ktoś ty? – spytała kobieta z węzłem na głowie przypominającym ptasie gniaz- do. Gęste, niegdyś zapewne rude, a teraz niemal zupełnie siwe włosy nie dawały rady utrzymać się same w koku. Błękitne oczy świdrowały mnie, a bezzębny uśmiech, któ- rym mnie obdarzyła, wyglądał na nieco przy- muszony, jakby domalowany.

– Ktoś ty? – kolejne błękitne oczy patrzyły na mnie zza okularów w rogowej oprawce. – Bum, bum, bum – powtarzał mężczyzna ze sporym brzuszkiem rozciągającym ko- szulkę z literą „S” Supermana. Miał na gło- wie aztecką czapkę, a na nogach – kalosze. Kolebał się z jednej stopy na drugą, jakby był wahadłem zegara.

– Ktoś ty? – czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Spod kapelusza przypominające- go konfederacki spoglądały na mnie zno- wu błękitne oczy, zaciągnięte lekką mgieł- ką. Mężczyzna ubrany był w płaszcz o kroju surduta i kowbojki.

– Ktoś ty? – kruczowłosa kobieta sięgają- ca mi niewiele ponad ramię miała na sobie rajstopy kabaretki, skórzaną minispódnic- kę oraz sandały na obcasie. Palce stóp wy- zierały przez oczka rajstop. Bardzo ciemny makijaż oczu jeszcze mocniej wydobywał niebieski kolor tęczy. Uśmiechała się na krwistoczerwono, szminka odznaczała się jej na zębach.

– Ktoś ty?

– Ktoś ty?

– Ktoś ty? – rozlegało się wokół mnie co- raz gęściej i zanim się spostrzegłam, byłam

otoczona przez kilkanaście osób. Poczułam nagły lęk. Odwykłam od tłumów, a ten napierał na mnie swoją ciekawością. Z jednej strony cieszyłam się, że widzę innych. Z drugiej – nie wiedziałam, kim są. Tym bardziej, że wszyscy, ale to wszyscy mieli tu błękitne oczy. Wzbudzało to niepokój.

– Lunch! – usłyszałam głośny krzyk. Na drugim końcu sali potężna kobieta o długich, siwych włosach podpierała się pod boki. – Lunch, kochani, zostawcie ją. Jedzenie wystygnie. – I zniknęła w pokoju znajdującym się za największą salą, w której stało ze trzydzieści stolików.

Otoczający mnie ludzie powoli się rozstąpili i zasiedli na swoich miejscach, zostawiając mnie samą. Mogłam odetchnąć.

—
SKĄD MASZ TAKĄ JASNĄ SKÓRĘ? – ktoś dotknął mojego ramienia, pociągając lekko za włoski na przedramionach. Szyja mężczyzny była zgięta mocno w prawo, jakby któregoś dnia przechylił głowę i świat bardziej spodobał mu się z tej perspektywy. Ogromne błękitne oczy chowały się pod powiekami, których skóra zdawała się być podwójna, jakby jedna warstwa nie wystarczała, by ochronić je przed słońcem i pustynnym kurzem. Powoli zaczynałam podejrzewać, że jedynym wyznacznikiem, który pozwalała przebywać w Centrum, był kolor oczu.

– Jestem Chick, ale czasem wołałam na mnie *chicken* [ang. „kurczak”, ale też „tchórz” – przyp. red.] – wzniósł oba ramiona do góry i zatrzepotał nimi jak kurczak. – Ko-ko-dak! Ko-ko-dak! – Chick wziął mnie za rękę i zaprowadził do stolika. Wyjął z mojej dłoni maskę przeciwgazową, którą wcześniej bezwiednie podniosłam ze stołu obok. Przez chwilę zastanawiałam się, czy ktoś przyszedł tu z nią na twarzy, chroniąc się przed wszechdobrym piaskiem. Chick położył ją na stole, kręcąc głową i cmokając. Krótkowłosa kobieta z niebieskimi oczami od razu wstała i, rzucając mi niechętnie spojrzenie, odsunęła krzesło gwałtownym gestem. – Mówili na mnie *chicken* już w szkole, chociaż nigdy niczego się nie bałam. Byłam po prostu słabą, chucherko. Byłam podmuch i się przewracałam. Mówili też na mnie *chickenshit* [ang. „kurze gówno”, ale i „tchórz” – przyp. red.] i że nie jestem zbyt mądry. Nie rozumiałem,

dlaczego tak o mnie mówili. Byłem, jaki byłem. Ale moja młodsza o dwa lata siostra Lolly broniła mnie przed kolegami. „Dlaczego mu dokuczacie? Mój brat jest najmądrzejszy na świecie. Kocham go!” – tak na nich krzyczała. A nawet nieraz się za mnie biła z chłopakami. Bo mnie wyzywali. Och, jak ją kochałem! Ciągle ją kocham, chociaż od jej śmierci minęło już chyba sześćdziesiąt lat. Miałem też starszą siostrę, Alice, i też ją kochałem, ale to Lolly była moim aniołem.



– Codziennie chodziliśmy razem do szkoły i wygłupialiśmy się – dodał. – Nie ma to jak ponad cztery mile [prawie 6,5 kilometra – przyp. red.] porannych wygłupów na pustyni przed lekcjami. Często się przez to spóźnialiśmy i musieliśmy siedzieć później za karę po zajęciach. Bywały dni, że wracaliśmy do domu już po ciemku. Nie było latarek, nie wolno nam było mieć zapalek, ale mieliśmy siebie. Wiedziałem, że gdy jestem z Lolly, żaden kojot się do nas nie zbliży. I tak było. Widzieliśmy ich oczy jak świecące punkty w ciemności, ale żaden nigdy nie podszedł.

– Kiedy nie było szkoły, chodziliśmy ukryć się przed całym światem i pustką pustyni do oazy Fortynine Palms – kontynuował Chick. – Byłaś tam już? Musisz pójść! To tam jest życie! Dla nas to było czyste szczęście. Mogliśmy być tylko ze sobą i tym życiem dookoła, i nikt nas nie wyzywał. Mogliśmy oddychać tam czystym, niezakurczonym powietrzem i krzyczeć do woli, aż do zakrztuszenia się ze śmiechu. W domu, szkole i miasteczku zawsze mieliśmy być cicho, jakby była to zbrodnia, że jest się dzieckiem, które chce się bawić. Bo zamiast zabawy powinniśmy raczej pracować w ogrodzie, a przynajmniej próbować cokolwiek wyhodować. „Macie dbać o każdą roślinkę,

każdego ziemniaka, każdą marchewkę i cebulkę, jakby to były wasze własne ręce” – mawiała nasza mama, a ojciec świstał nam nad głową batem dla koni, kiedy nie chcieliśmy kopać w spękanej ziemi ogródka. Wtedy tego nie rozumieliśmy, chcieliśmy tylko się bawić i wygłupiać. I chronić siebie nawzajem.

– Mieć siostrę taką jak Lolly było dla mnie błogosławieństwem – podkreślił. – I pewnie dlatego, że była takim dobrym aniołem, Pan Bóg zabrał ją do siebie szybko. Miała osiem lat, kiedy zmarła na zapalenie płuc. Chorowała też na cukrzycę, co pewnie tylko przyspieszyło jej odejście. Jak ją płakałem! Co noc ją do siebie wołałem, żeby mnie zabrała do nieba. Ale najwidoczniej jeszcze tam nie jestem jej ani Bogu potrzebny. Po jej śmierci chodziłem do szkoły tą samą ścieżką i udawałem, że ona idzie obok i śmieje się, jak zwykła się śmiać. Wyobrażałem ją sobie tak często, że zacząłem ją widzieć. I tak już zostało. Ona ciągle jest przy mnie. Nawet teraz. Siedzi tu obok, widzisz? – wskazał na puste krzesło po lewej stronie. – Jeśli jeszcze nie widzisz, to niedługo ją zobaczysz. Tu wszyscy wszystko widzą, nawet to, zdawałoby się, co niewidzialne. Pustynia zmieni ci mózg, zmieni postrzeganie, poczekaj jeszcze trochę, to zobaczysz.

– Zachciało mi się innego życia niż to tutaj, wyobrażasz sobie? – opowiadał Chick. – Wyjechałem do kuzyna w Santa Fe i układałem towar w sklepie z alkoholem. Zamieniłem zmywanie naczyń w restauracji na sklep z whisky, ginem i wódką. Brakowało mi Lolly, pustyni, zmywania naczyń. Nawet tego kurzu, który osiada wszędzie. Możesz powiedzieć, że układanie towaru na półkach i zmywanie to takie nudne zajęcie. Nietwórcze. Bez przyszłości. Ale byłem szczęśliwy, patrząc, jak brudne talerze dzięki mnie stają się znów czyste i błyszczące. Cieszyło mnie, że ludzie będą jedli potrawy na talerzach, które dla nich wyczyściłem. Czułem się przez to potrzebny.

– Ludzie mówią, że jestem głupi, niedorozwinięty, że coś mam w głowie nie tak i nie po kolei – wyznał. – Może tak jest, ale ja widzę szczęście i wartość we wszystkim, co robię. Nie było w moim życiu ani jednego dnia, w którym nie byłbym szczęśliwy. Po śmierci Lolly płakałem, ale odkąd ją na nowo odzyskałem, każdy dzień to czysta

radość. Rano wstawałem, szedłem przez pustynię kilka mil do restauracji tutaj, widzisz, naprzeciwko. Wtedy nazywała się inaczej, mój Boże, teraz nawet nie pamiętam, jak się nazywała. Zmywałem naczynia aż do zamknięcia, z przerwą na posiłki i śmiech z kolegami w kuchni, i po zmroku, jako ostatni, zamykałem knajpę i tą samą drogą wracałem do domu. Już z latarką. I tak przez czterdzieści lat na okrągło. Z Lolly przy moim boku.

Chick wstał nagle z krzesła, zabrał maskę i poszedł do innego stolika, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Po chwili zobaczyłam, że założył maskę na twarz. Ludzie wciąż jakby się gdzieś spieszyli, chociaż nie wychodzili z Centrum. Dwadzieścia osób przechodziło szybko od stolika do stolika, niespodziewanie zwracając z obranej drogi i potracając jedna drugą. Niektórzy docierali do drzwi wyjściowych, by jeszcze szybciej spod nich zawrócić i usiąść na krzesle jedynie na kilka sekund. A potem znowu w ruch, znowu dookoła stołu, całego rzędu stołów, od człowieka do człowieka. Mówili teraz jeden przez drugiego, harmider panował jak na dworcu. Przesuwali swoje walizki i plecaki z miejsca na miejsce, jakby istniała jakaś niewidoczna dla mnie kolejka do czegoś, do jakiegoś pojazdu, który miałby ich zabrać gdzie indziej.

— TWOJE IMIĘ zaczyna się na „I”, prawda? Na pewno zaczyna się na „I”. Inaczej być nie może. Po prostu wyglądasz na kogoś, czyje imię zaczyna się na „I” – trącił mnie inny mężczyzna o błękitnych oczach, rozbieganych po całej mojej twarzy. Przestępował z nogi na nogę, jakby przygotowywał się do biegu. Jedną ręką ciągle poprawiał popiele – nie wiadomo, czy z powodu siwizny, czy pustynnego pyłu – włosy. Sięgały mu do ramion i kiedy przerzucał je z jednej strony na drugą, rozsypywały mu się na głowie.

– Musisz być na „I”. No po prostu musisz. Jestem Jim. „J” jest niedaleko od „I” – mówił w takim tempie, że nie nadążałam odpowiedzieć nawet jednym słowem. Stałam dłuższą chwilę z otwartymi ustami, gotowymi do rozmowy. A potem po prostu słuchałam. – Jesteś artystką, wolnym duchem, czuję to, bo jestem taki sam. Pisarką jesteś, tak, człowiekiem słowa jak Jack Kerouac.

Znałem Jacka, znałem Allena Ginsberga. Paliłem jointy z nimi, upijałem do upadłego. Tego trzeciego nie znałem, ale tak jakbym go znał. Jak on się nazywał? Jak on się nazywał? Eh, nieważne. A potem poznałem Matkę Teresę i pracowałem z nią i jej trędowatymi, pomagałem. Gdzie? W Indiach? Nie, nie, w Indiach. Tu, w Los Angeles. Bo ona była w Los Angeles, wiedziałaś o tym? Nie, a co ty w ogóle wiesz? I co tu robisz? Piszesz? O czym piszesz? O pustyni? A o kowbojach nie chcesz? Byłem kowbojem. Ale nie takim prawdziwym. Choć kto do końca wie, kim jest? Grałem go w filmie. Bo ja aktorem jestem. Zobacz mój profil na YouTube. Dali mi konia, siodło, strzelbę i „Jedź – powiedzieli. – Masz tylko jechać i jechać, i nic nie mówić”. Jechałem więc z czterema innymi,



zułem tytoń i spluwałem na pustynię tak często, że zostawiałem za sobą czarne ślady. Kamera jechała przed nami na wozie i głupio było w nią tak patrzeć cały czas, więc co chwilę zwracałem się do kolegów, szczerząc zęby. Mówili: „Nie śmiej się, masz tytoń między zębami. Nie szczerz się, jesteś groźnym kowbojem”. A potem zrzucił mnie koń i było po zawodach. Kręgosłup mi tak nawalał, że nie byłem już w stanie wskoczyć na siodło. Musieli mnie zabić. Mojego bohatera znaczy. Zginąłem w pojedynku na rewolwery, w samo południe oczywiście. To godna śmierć. Tamtego świata już dawno nie ma. Tamtego świata już nigdy nie zobaczysz. Nie spotkałem ani jednego Indianina. Wtedy. Bo w życiu to tak. Wczoraj na przykład siedziałem z pewnym szamanem przy ognisku, on śpiewał swoje święte pieśni, ja próbowałem nadążyć. Śpiewałem z nim, aż zaczęliśmy przy tym ognisku tańczyć – Jim zataczał koła wokół krzesła z rękoma rozłożonymi na boki

jak ptasie skrzydła. – Ia ia ia ia ia ia aaa – śpiewał coraz głośniejsze, aż wszystkie głowy odwróciły się w naszą stronę.

– Hej – krzyknął mężczyzna w kapeluszu konfederatów. – Ciszcie! W bingo tu się gra, nie widzisz? – Jim urwał w połowie zaśpiewu, z wciąż rozpostartymi ramionami.

– Nie mów nikomu, ale to nie jest moje pierwsze życie. Wczoraj dowiedziałem się, że byłem Indianinem. Czerokezem chyba albo Siuksem. Muszę sprawdzić, jak wyglądają ich nosy, bo mój ponoć ewidentnie wskazuje na takie pochodzenie – Jim dotknął czubka wygiętego w łuk nosa. – Nie było łatwo być wtedy Indianinem i pewnie dlatego urodziłem się ponownie jako biały. Indianina spotkałem wczoraj, ale od dawna wiem, że jestem uduchowiony. Nawet miałem swój stolik na promenadzie przy plaży Venice Beach w Los Angeles, pośród mnóstwa innych wróżbitów, szamanów, znachorów. Dawno, dawno temu, w zupełnie innym świecie. Wystarczyło, że spojrzałem człowiekowi w oczy, i od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia. Tak jak z tobą. Bo masz imię na „I”? – Jim spojrzał na mnie i kiedy przytaknąłem, od razu odwrócił wzrok. – Zawsze wiem, kiedy mam do czynienia z artystą. Poznałem żonę Picassa, Françoise [Gilot, długoletnia partnerka, choć nie żona artysty – przyp. red.]. Ścierwo z niego było, nie mężczyzna. Znęcał się nad nią psychicznie, zdradzał, a ona i tak go kochała, bo to Picasso. Czy taka miłość ma sens? To nie miłość.

– Moja pierwsza żona była kolumbijską Indianką. Kiedy spojrzałem jej w oczy, wiedziałem, że jest z innego świata, z innej planety. Czuję jej energię bardziej niż kogokolwiek. Dała mi troje dzieci: dwie dziewczyny i chłopaka. A teraz nie mam z nimi kontaktu. Dlaczego? Mówią, że jestem szalony. Ja szalony? Uwierzysz? No właśnie. Nie ma na świecie człowieka, który czułby wszystkimi zmysłami cały świat bardziej niż ja. A przy tym był realistą, ugruntowanym i twardo stąpającym po ziemi. Bo ja jestem z tej ziemi, z wnętrza Matki Natury i kiedy po niej stąkam, czuję, że moje korzenie są ruchome. Mogę wrosnąć w glebę i mogę pozostać w ruchu. A moje ręce, gałęzie będą przytulać świat. Dlatego pracowałem z Matką Teresą. Bo czułem, że jestem przydatny, że robię coś dla innych. Wtedy spotkałem

człowieka, który znał Bukowskiego. Charlesa, tak. Pisarza. Tego cudownego pijaczynę. Próbowałem nawet pisać, ale do tego trzeba cierpliwości i siedzenia w jednym miejscu. Nie piszę, ale maluję. Chcesz, to narysuję twój portret. W minutę. Tylko tyle potrzebuję. – Zgarnął szybko mój leżący na stole notatnik i, przytrzymując moją głowę ręką, żebym się nie ruszała, skreślił kilka kresek, kropek i to już byłam ja. Podobieństwo niezauważalne. – Okej, zmęczyłem się.

Wstał, zatoczył wokół mnie koło i pobiegł do kolejnego pomieszczenia, do którego nie zdążyłam jeszcze dojść.

KTOŚ OD RAZU przycupnął z ciężkim westchnieniem przy moim stoliku. Mężczyzna w brudnogrnatowych džinsach i bordowym golfie patrzył przed siebie w ścianę naprzeciwko, a jego usta mówiły coś niemo. Położył duży, *à la* wojskowy worek na podłodze, obok niego mały plecak. Nie zdjął tylko niewielkiej torebki nerki, przepasanej nie w pasie, lecz w poprzek ciała. Biodra miał przewiązane granatową bluzą z kapturem.

Mimo całego harmidru i chodzących wkoło ludzi bingo trwało w najlepsze. Przy stoliku obok siedział mężczyzna ze znakiem Supermana i co chwila krzyczał: „Bum!”. Ten, który się do mnie dosiadł, nie reagował. Ani na „bum”, ani na kolejne liczby odczytywane przez prowadzącego grę. Jego tablica do bingo była niewzruszona jak on. Przed nim wciąż leżał lunch: na plastikowej tacce w osobnych przegródkach spoczywały kawałki kurczaka w sosie, ryż, brokuły i fasolka szparagowa. Jedynym elementem, który się ruszał, była galaretką, czerwona, mała górką na skraju tacki. Mężczyzna w końcu się przeżegnał, odmówił niemo modlitwę, wysypał sól za siebie i zaczął jeść. Drobną kaski dzielił na jeszcze mniejsze, powoli je przeżuwał i za każdym razem zamykał błękitne oczy. Kiedy skończył jeść, uśmiechnął się.

– Dziękuję, jestem Steven – wyciągnął do mnie drobną dłoń, nieproporcjonalną do całego ciała. Obie z krótkimi, obgryzionymi paznokciami wyglądały jak dłonie dorastającego chłopca. – Nie wiem, jak długo zniosę to czekanie. – Czekanie? – spytałam, a on przewrócił oczami i cmoknął zniecierpliwiony. – Na wyrok czekam, na decyzję

sądu. Dom mi zabrali. Rozumiesz? Mówili: „Nie zapłacisz, to nie masz domu”. Ale jak miałem płacić, gdy mnie zwolnili z roboty? Niemal cały kredyt na dom spłaciłem. Nie chciałem wiele. Ot, zwykły, mały, partelowy domek dla mojej dziewczyny i mnie, trzy pokoje, z ogródkiem od strony kuchni. Kocham jeść – tracił palcem niezjedzoną jeszcze galaretkę. – Było dobrze, dopóki nie uszkodziłem ręki, widzisz? – Długa szrama szła od łokcia po nadgarstek prawej ręki. – Pręt z sufitu, który skrobałem, wszedł mi pod skórę, jak ramię w rękaw. A potem ponad dwa miesiące nic nie mogłem robić. Dla fachowca jak ja to tragedia. Zlecenia odleciały, zniecierpliwieni klienci znaleźli kogoś innego. A żyć trzeba było. Nie jest łatwo żyć pół-Meksykaninowi w Los Angeles. Że niebieskie oczy mam, się dziwisz? – Steven wzruszył ramionami. – Tu każdy tak wymieszany, że czasem trudno się dowiedzieć, jakiej krwi mamy najwięcej. Najpierw zabrali mi dom, potem odeszła dziewczyna, a później zmarł mój pies. Zapakowałem swój dobytek w worek, najważniejsze rzeczy oraz lekarstwo na nadciśnienie, i ruszyłem w drogę. Na początku spałem po przyjaciółach. Szybko się zorientowałem, jacy to przyjaciele. Po tygodniu, dwóch pytali, kiedy się wyniosę. Pakowałem się wtedy od razu i znikalem. „Jedź na pustynię, tam coś znajdziesz” – doradził mi jeden z nich.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to pustynia, wtedy jeszcze nie było, jak teraz jest. Poszedłem więc w jej kierunku, nie mając pojęcia, co mnie czeka. Ale było mi wszystko jedno. Wszędzie już spałem: w jaskiniach, pod drzewem, w namiocie z koca. I każdego dnia szukałem pracy. Czasem ją miałem, czasem nie. Nie każdą pracę mogłem wziąć. Po wypadku wiele się zmieniło – Steven poruszył małym palcem u prawej dłoni i dopiero wtedy do mnie dotarło, że musi mieć uszkodzone nerwy. – Nie zrosła się dobrze. Wiesz już, jak wygląda noc na pustyni? Najpierw nie słyszysz nic poza ciszą, potem słyszysz wiatr, a później dociera do ciebie nawet szmer poruszającego się muszkiego skrzydła czy żdźbieł suchej trawy. Uszy wychwytyją, jak się ze sobą stykają, jak szeleszczą między sobą, jak podgryza je żuczek pustynny. Nagle dochodzi do ciebie, że pustynia nie jest pusta, że jest na niej życie. Że to prawdziwa metropolia stworzeń, o których nie miałaś pojęcia. A potem te stworzenia zaczynają cię kąsać i rano budzisz się cała w bąblach, i modlisz się o to, żeby ugryzienie nie pochodziło od jadowitego węża. Wytrzymałem na pustyni tydzień. Codziennie chodziłem na stację benzynową się myć i dezynfekować rany. Teraz mam pytanie do ciebie. Czy jest kradzież, kiedy używasz na miejscu spreju dostępnego w sklepie? Bo wziąłem z półki



Pismo. MAGAZYN OPINII

WIERSZ NA PONIEDZIAŁEK
MAGDALENA KICIŃSKA

Co tydzień nowy podcast Pisma.

Słuchaj nas na magazynpismo.pl








sprej i schowałem go za jedną z muszli klozetowych w toalecie. Ulga jest po nim tylko na chwilę. Potem wszystko, całe swędzenie wraca i drapie się człowiek przez cały dzień.

– Ktoregoś dnia, to było lato, uznałem, że nie dam rady tak dłużej żyć – opowiadał. – Że prędzej robaki zjedzą mnie żywcem, niż doczekam się decyzji sądu. Nie chciałem wracać do Los Angeles i zostać kolejnym bezdomnym, którym każdy gardzi. Ruszyłem przed siebie jeszcze dalej w pustynię i odkryłem, że są na niej opuszczone domy. To był raj. Nie zastanawiałem się, dlaczego domy są puste, dlaczego mieszkańcy z nich zrezygnowali: zmarli, czy po prostu je opuścili. Często znajdowałem jeszcze w szafkach puszki z zupami, z fasolą lub kielbaskami w przeróżnych sosach. Ten mój znaleziony domek był w kolorze białym. Cementowy. Z kominkiem, który robił za kuchnię. Najpierw zapukałem do drzwi, bo wyglądał, jakby ktoś w nim mieszkał. Czyste ściany na zewnątrz, czysto w obejściu. Tylko ten dziecięcy rowerek bez koła nie dawał mi spokoju. Rzucony kilka metrów od wejścia, z oponami, z których już dawno zeszło powietrze. Zapukałem. Nikt mi nie otworzył, więc naparłem na drzwi, myśląc, że są zamknięte na amen. Ale poszło gładko jak masło, klucz był wepchnięty w dziurkę od środka. Postanowiłem poczekać na właściciela, bo słońce topiło opony roweru i niemal słyszałem skwierczenie. Taki był upał. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tak zaczyna się koniec. Siedziałem na krześle przy stole i niczego nie ruszałem. Dopiero gdy słońce zaczerwieniło się nad horyzontem, dostrzegłem na wszystkim kurz. Warstwa pyłu, który w opadającym świetle wyglądał jak wata lub otulina. Otworzyłem szafkę, wziąłem puszkę z fasolą w sosie pomidorowym, zapaliłem dREWienka w kominku i po godzinie, już syty, położyłem się spać. Nikt mnie nie niepokoił. Postanowiłem zostać. Bez prądu, bez bieżącej wody, bez sąsiada. Tylko sam ze swoimi myślami. Wiedziałem, że w sądzie decyzja będzie dopiero za miesiąc, więc spacerowałem po Wonder Valley [wyludniona osada, położona kilkanaście kilometrów od Twentynine Palms – przyp. red.] przez ten czas.

– Bywały dni, że nie spotkałem nawet jednej osoby, jednego zwierzęcia, jakby

wszystko wymarło – kontynuował. – Mój azyl stał się też moim więzieniem. Wiedziałem, że nie mogę się ruszyć zbyt daleko. Wody miałem tylko tyle, co w zbiorniku stojącym na tyłach domu. Studnia pachniała jedynie piaskiem, myłem się co trzeci dzień, bo i tak nikogo nie było. Śmierdziałem więc sobie, jak chciałem. A lato tego roku było wybitnie upalne. Czułem, że coś się zmienia, tylko nie potrafiłem wychwycić co. Iść gdziekolwiek w ten skwar nie było sensu. Siedziałem w domu i z nudów zacząłem widzieć innych ludzi, a potem słyszałem głosy. Rozmawiałem więc z nimi, dotykałem własnego cienia i patrzyłem, jak rzadki puszek znikają z każdym dniem. Zacząłem klócić się o jedzenie z własnym cieniem. „Jesz więcej niż ja, a powinniśmy dzielić wszystko na dwóch” – mówiłem. Kiedy zjadłem ostatnią puszkę, długo patrzyłem w dno. Zrozumiałem, czemu chata stoi pusta. Spakowałem się, zamknąłem domek na klucz, schowałem go do kieszeni i ruszyłem przed siebie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak blisko jestem Twentynine Palms, na spacerach nigdy wcześniej nie dotarłem do miasteczka, musiałem wybierać nie te kierunki, co trzeba.

Mężczyzna wstał, poprawił przepasaną nerkę, zabrał worek i mały plecak, zasalutował mi i zniknął w toalecie.

— ZACZĘŁAM SIĘ ZASTANAWIAĆ, czy cały ten budynek nie istnieje jedynie w mojej głowie. Czy to nie aż tak mocno namacalna fatamorgana, która chce przypominać świat? Pewnego rodzaju wspomnienie, nawet nie moje własne? Bo widok tak wielu osób naraz na jednej przestrzeni, po tak długim czasie, w dodatku w miejscu, w którym graniczy z cudem spotkać drugiego człowieka, wydawał się snem. Zastanawiałam się, skąd się

wzięli wszyscy ci ludzie. I gdzie byli wcześniej, że ich nie widziałam?

– Pustynia robi ci z głową, co chce – powiedziała Robin, kobieta, która wcześniej wołała wszystkich na lunch. Miała długie do pasa włosy, talię szerszą niż biodra i obwód biustu, a biceps tęższy od mojego uda. Na jej koszulce widniała plakietka z imieniem wypisanym bardzo dużymi literami. – Jakby piasek zasypywał miejsca w mózgu odpowiedzialne za racjonalne myślenie. Do tego brak wody, odpowiedniej żywności i witamin wywołuje halucynacje, a upał gotuje ci mózg. Jak myślisz, dlaczego tyle tutaj kościołów? Jest ich aż dwadzieścia trzy, a ludzi jak kot napłakał. Ludzie boją się, że to koniec świata, i szykują na ostateczne rozliczenie z Bogiem. Moim zadaniem jest uczynić te ich ostatnie dni najprzyjemniejszymi, jak tylko można. – Robin do każdego mówiła per *honey* lub *sweetheart* [ang. „skarbie”, „złotko” – przyp. red.]. – Dlatego miło mi, *sweetheart*, że zajrzałaś do naszego Centrum. Jeśli możesz, *sweetheart*, to staraj się być niewidzialna. Ci ludzie chcą tu mieć przede wszystkim spokój.

Z klatki piersiowej Robin patrzyła na mnie czaszka, taka, jaką można zobaczyć na okładce płyty niejednej grupy heavymetalowej. Na nadgarstkach nosiła skórzane bransolety, nie przykrywające jednak grubych, jasnych blizn po cięciach, przypominających wrośnięte rzemyki.

Trzydzieści cztery lata temu Robin opuściła więzienie w Santa Cruz i nikt na nią nie czekał. Trzy lata za kratkami sprawiły, że zapomnieli o niej przyjaciele, a jedyny brat był przyczyną jej przymusowego odosobnienia. Ślady na szyi zniknęły po kilku dniach, ale sińce w psychice pozostały do dziś. Dłonie brat miał silne, podobnie jak całe ciało, którym przydusił ją do podłogi jej własnego mieszkania. „Daj pieniądze, suko”. I kiedy nie chciała, rzucił nią o ścianę. Wtedy była mniejsza, drobniejsza. To w więzieniu budowała masę, żeby już nikt nie zdołał jej skrzywdzić i żeby dała radę wszystkiemu, co może ją jeszcze w życiu spotkać. Niemal ją udusił, ale to ona poniosła karę, bo dźgnęła go nożem. Brat wyniósł się z malutkiej rodzinnej miejscowości Ben Lomond z hrabstwa Santa Cruz w Kalifornii, gdy tylko zapadł wyrok. Przed wyjazdem zdążył jeszcze

sprzedać sprzęty z jej mieszkania. Kiedy wróciła po odsiadce, nie miała już pamiątek rodzinnych, telewizora, sprzętu grającego. Ale miała chęć, by pomagać innym.

W więzieniu spotkała wielu, którzy wiedzieli, że dotychczas błędzili. Zapisała się na zajęcia z resocjalizacji, a potem sprzedawała mieszkanie, z którym wiązały się niezbyt przyjemne wspomnienia. Szczególnie ściana ze śladami jej własnej krwi oraz podłoga. Na początku była wolontariuszką w Valley Churches United w Ben Lomond. Wyszła za mąż, urodziła syna. Odkąd w 1994 roku przeprowadziła się do Twentynine Palms, opuściła miasto tylko raz, by przez pięć lat pracować w ośrodku leczenia uzależnień St. John of God Health Care Services w Victorville [miasto odległe o 140 kilometrów – przyp. red.]. Wróciła w 2011 roku. O mężu nie chce dziś mówić. Mały domek w Wonder Valley w zupełności jej wystarcza. Podobnie jak samotność i ciemność, kiedy światło gaśnie wraz ze słońcem. Nauczyła się, że dbanie o siebie oznacza też dbanie o innych. – Chcę tu pomagać takim ofiarom przemocy, jak ja sama, i sprawcom, jak mój brat. Chcę pomagać każdemu, kto tego potrzebuje, kogo pustynia nie oszczędza swoim płomieniem.

Większość jej podopiecznych jest powyżej siedemdziesiątego roku życia, dlatego Centrum Pomocy nazywane jest tu Centrum Seniora, jakby w Twentynine Palms nie było w ogóle młodych. Jakby natura zabierała najpierw ich, odwrotnie, niż zwykła to robić. Jakby czas się cofał.

Zadzwoił telefon i jego dźwięk mnie zdziwił, bo zdążyłam się już odzwyczaić od wytworów nowoczesności. Robin podniosła słuchawkę, wymawiając niemo słowo *sorry*. Zostawiłam ją w gabinecie, w którym rozmawialiśmy, z niezadanym jeszcze pytaniem, skąd wzięli się tu ci wszyscy ludzie. Stałam przez chwilę i tylko patrzyłam.

— WIDZISZ TĘ ZDZIRĘ? – krótkowłosa, starsza pani w okularach o bardzo grubych szklach wycelowała palec w kobietę ubraną w skórzaną mini oraz kabaretki. Podeszła do mnie kilka sekund wcześniej, bardzo szybko drepzcząc. – Okradła kiedyś całą zawartość mojej lodówki. Przygarnęłam ją, bo nie miała gdzie

mieszkać. Dom jej spłonął na pustyni, czy piorun w niego strzelił, czy zapadł się pod ziemię, bo pękła, jak tu pęka, nie wiem dokładnie, ale przygarnęłam. Otoczyłam opieką, pokochałam tego błakającego się kota, a ona pewnej nocy wyzała mi wszystko z lodówki. Ty wiesz, jak trudno znaleźć tutaj coś do jedzenia? Wiesz, prawda? To cud, jeśli cokolwiek zdrowego, jędrnego i żywego tu znajdziesz. Ty! Ty! Ty! – wrzasnęła, potrząsając znowu koślawym, powykrecanym artretyzmem palcem w jej kierunku.

– Odczep się w końcu ode mnie, kurwo jedna! – kobieta w kabaretkach tupnęła nogą, aż wszyscy przystanęli, ucichli i zwrócili wzrok w stronę kłócących się. Miałam wrażenie, że czekają na bójkę, bo powoli zaczęły zbliżać się do siebie. – To było ponad dwadzieścia lat temu, a ty dalej mi nie możesz wybaczyć? Głodna byłam, to i zjadłam, co zjadłam. Koniec świata!

– Może dla ciebie nie, ale dla mnie to był koniec świata. Jedzenie to dla mnie świętość, w dodatku z tak wielkim trudem zdobyte. Świętość wtedy i świętość teraz. Tym bardziej teraz! Jeśli kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do mojego domu, zabiję jak psa!

– Odprowadzisz mnie do auta? Ty na „I”, odprowadzisz mnie? – Jim nagle pojawił się przede mną. – Duże mam auto, spodoba ci się. Mogę cię zabrać na wycieczkę. Albo najlepiej do mnie do domu. Zobaczysz, jak mieszkam. Ale najpierw samochód – chwycił mnie za rękę tak mocno, że się poddałam. Na parkingu stał ciemny, duży van. Puścił moje ramię, otworzył przesuwne drzwi i z wnętrza wysypały się pudełka po pizzy, po skrzydełkach kurczaka, plastikowe i tekturowe kubki, rachunki ze sklepu, foliowe woreczki i torby na zakupy. Wysypywały się ze środka, jakby nie miały końca. Jakby ktoś pociągnął dźwignię jednorękiego bandyty i trafił wygraną. Odsuwałam się coraz bardziej od auta, bo śmieci toczyły się w moją stronę powolną lawiną, toczyły się kolejne zbite, papierowe kule z miejscowej gazety. A Jim śmiał się i śmiał, i tego śmiechu nie było końca. Słońce prażyło, wiatr nie wiał, miałam wrażenie, że skóra mi się topi. I wtedy usłyszałam skomlenie. Spod stosu śmieci, które wciąż znajdowały się w aucie, wygrzebał się mały kundelek o jasnej sierści. Jego czarne ślepia błyszczały jak dwa perłowe guziki.

– To Jim dwa – Jim klepnął mnie w ramię, szybko wrzucił psa z powrotem do auta i sam wsiadł. Odjechał tak szybko, że został po nim piaskowy pył zawieszony w powietrzu.

Nie chciałam wracać do środka. Głowa pękała mi od niespodziewanego hałasu i tak naglej, intensywniej ludzkiej obecności. Uszłam kawałek drogi i odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy Centrum wciąż stoi w miejscu, czy nie przywidziało mi się lub też nie była to rzeczywiście kapsuła ratunkowa, ostatnia na Ziemi. Ogarnęła mnie nagle cisza. Wiatr unosił nieznacznie piasek, ale niebo było błękitne, niezasnute piaskową chmurą, jak miało to miejsce tuż przed burzą. Miasteczko wyglądało znowu na wymarłe, rozlegał się tylko dźwięk nieodkrytych okiennic w domu bez drzwi i połowy dachu. Słońce paliło skórę i kiedy spojrzałam na nie, rozlało się po niebie ogromną kulą światła. Miałam wrażenie, że powoli zbliża się do ziemi, zupełnie jak niezidentyfikowana planeta w *Melancholii* Larsa von Triera. Nic, tylko czekać na zderzenie.

— CENTRUM SENIORA w Twentynine Palms zostało utworzone przez władze stanu Kalifornia. Pierwszym powodem jego powstania było skrajne ubóstwo mieszkańców, z których wielu ocierało się o bezdomność. Drugim – ich problemy psychiczne, pojawiające się często po dłuższym pobycie w odosobnieniu, szczególnie na pustyni. Od poniedziałku do piątku każdy może zjeść w Centrum drugie śniadanie oraz pełnowartościowy lunch za skromnych kilka dolarów.

Robin jako jedyna ze spotkanych przeze mnie osób nie miała błękitnych oczu. Jej były piwnozielone.

Więcej na ten temat możesz posłuchać
12 marca o godz. 17:00 na antenie

chillizet

Warszawa 101,5 FM, Katowice 93,6 FM,
Kraków 93,7 FM, Hel 107,8 FM oraz na
www.chillizet.pl

A group of five people, three women and two men, are standing together on a red brick path in front of a white door. The door has a peeling white wall above it and a red brick path leading to it. The group consists of a woman in a blue and orange jacket, a woman in a black jacket, a man in a blue jacket and cap, a woman in a white puffer jacket, and a woman in a black jacket. The man in the blue jacket is standing in the center, flanked by the woman in the black jacket and the woman in the white puffer jacket. The woman in the blue and orange jacket is on the far left, and the woman in the black jacket is on the far right. The background shows a peeling white wall and a red brick path.

FOTO | REPORTAŻ

W poszukiwaniu domu i pokoju

tekst JULIA SZABŁOWSKA

zdjęcia JULIA SZABŁOWSKA, MIRON (11 LAT) I PALINA (6 LAT)

MIRNYJ OZNACZA SPOKOJNY. Tak nazywa się jedyny hostel w Polsce oferujący darmowy nocleg i pomoc Białorusinom, którzy uciekli ze swojego kraju.



Wiaranika, Alina, Siarhej, Maryja i Kaciaryna – byli i obecni mieszkańcy Mirnego Domu.

Wiaranika. Sąd uznał jej wpis w komunikatorze Telegram za jednoosobową pikietę. Ten wpis to biało-czerwono-biała naklejka z herbem Pogoni.

Alina, matka czterech córek, psychologka, prowadzi darmowe konsultacje dla Białorusinów w Polsce i wspiera schronisko dla zwierząt, które założyła w swoim kraju.

Maryja, wyjechała razem z córką Ewą. Pochodzi z rodziny funkcjonariuszy milicji. Prawie cała jej rodzina uciekła z kraju w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Siarhej, dyrektor szkoły z miasta Połack w północno-wschodniej części Białorusi. Wyjechał z Białorusi w styczniu 2022 roku.

Represje i prześladowania Białorusinów, sprzeciwiających się reżimowi Aleksandra Łukaszenki, trwają do dziś. W 2021 roku około 2300 Białorusinów złożyło wnioski o azyl, a o zezwolenia na pobyt w Polsce ubiegało się 30 400 osób. Prawie każda z nich zaczyna życie od nowa. Niektórych w tym najtrudniejszym, początkowym momencie wspiera Mirnyj Dom (Dom Pokoju), jedyny w Polsce hostel dla uchodźców politycznych z Białorusi, prowadzony przez polską Fundację Humanosh imienia Sławy i Izka Wołosiańskich. W momencie jego otwarcia w maju 2021 roku tymczasowe schronienie znalazło w nim dziewięćdziesiąt pięć osób, a kolejnych czterysta otrzymało od Fundacji Humanosh wsparcie pieniężne.

Jednak te liczby to tylko wierzchołek góry lodowej. W styczniu tego roku minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński, podczas międzynarodowej konferencji w Wilnie poświęconej zarządzaniu ochroną granic europejskich, powiedział, że od pierwszych protestów na Białorusi w 2020 roku Polska przyjęła około piętnastu tysięcy uchodźców politycznych. Ale ludzi, którzy potrzebują pomocy, nadal przybywa. I im dłużej trwają represje, tym o tę pomoc trudniej.

ZAPISUJĘ WSZYSTKO, CO ROBIĘ: jak i gdzie kupuję bilet, gdzie idę do notariusza i pod jaki lokal dzwonię przy bramie, gdzie obserwuję informacje o wynajmie mieszkań... Można powiedzieć, że jestem takim biurem informacyjnym naszego domu – Kaciaryna, była mieszkanka Brześcia, uciekła z Białorusi razem ze swoim partnerem Aliaksiejem w lutym 2021 roku. Nielegalnie przekroczyli granicę z Rosją. Mieli przy sobie tylko plecaki z niezbędnymi rzeczami i dokumentami. Chcieli jechać do Ukrainy. W Polsce znaleźli się przez *stories* na Instagramie. Maria [imię zmienione na prośbę bohaterki – przyp. red.], koleżanka Kaciaryny i białoruska aktywistka w Polsce, zobaczyła na nim tag „Moskwa” i od razu

zrozumiała, że są w potrzebie. Dziś Kaciaryna i Aliaksiej pomagają innym prowadzić Mirnyj Dom.

Dom powstał dzięki staraniom Fundacji Humanosh i wsparciu Partyzanki, nieformalnej grupy składającej się w większości z mieszkających w Warszawie Białorusinek i – od niedawna – Polek, które pomagają uchodźcom politycznym z Białorusi zorganizować tymczasowe schronienie, kursy nauki języków, wspierają w szukaniu pracy, a także materialnie, na przykład niezbędnymi rzeczami z darowizn. – Maria, która obecnie współpracuje z Humanosh, zaproponowała nam mieszkanie w Domu, choć oficjalnie aż do maja 2021 roku nie przyjmowano tu lokatorów – opowiada Kaciaryna, przygotowując jedzenie na następny dzień. Przeszła właśnie na dietę, żeby wrócić do formy po tym, co się działo w jej życiu przez ostatni rok. Teraz razem z Aliaksiejem czują się bezpiecznie. Od roku opiekują się Mirnym Domem. W styczniu udało im się wynająć mieszkanie w okolicy warszawskich Włoch, ale wciąż zajmują się Domem i nowymi lokatorami.

Pamiętam pierwsze spotkanie z Kaciaryną i Aliaksiejem, w kwietniu 2021 roku: byli sfrustrowani i zagubieni. Dziś Kaciaryna studiuje psychologię dzięki programowi stypendialnemu [Program stypendialny rządu Rzeczypospolitej Polskiej imienia Konstantego Kalinowskiego pod patronatem prezesa Rady Ministrów RP, przeznaczony dla młodych Białorusinów, którzy nie mogą studiować w ojczyźnie ze względu na swoje poglądy polityczne, działa od 2006 roku – przyp. red.], a Aliaksiej znalazł pracę.

Kto mieszka w Domu? Większość lokatorów trafiła tu, szukając informacji w internecie, część dowiedziała się o miejscu dzięki infolinii prowadzonej przez grupę Via Vox, która powstała w wyniku spotkania w senacie – aktywistki Partyzanki i artystki Jany Szostak z wicemarszałkiem senatu Mariuszem Kamińskim. Pojawiają się tu również Białorusini, którzy przyjechali prosto z Ośrodka Receptyjnego Dębak. Fundacja Humanosh aktywnie współpracuje z Urzędem do spraw Cudzoziemców i monitoruje



Ewa, córka Maryji oraz Palina z ojcem Artiomem.



Były pokój Kaciaryny i Aliaksieja w Mirnym Domu.

Publikacja tego fotoreportażu powstała przy wsparciu
News Spectrum Fellowship w ramach programu grantowego.

sytuację w ośrodkach, gdzie trafiają Białorusini po złożeniu wniosku o ochronę międzynarodową.

— MIRNYJ DOM Mieści się przy ulicy Aksamiťnej w Warszawie. Jednocześnie może tu mieszkać osiemnaście osób. Czekają na pięć pokoi, na parterze znajduje się kuchnia z podstawowymi sprzętami, dwie łazienki z prysznicem, a w odremontowanej piwnicy – miejsce spotkań z dużą kanapą i wi-fi. Co niedzielę w domu odbywa się wielkie sprzątanie, w które Kaciaryna angażuje mieszkańców. Mówi, że to jej sposób, by podziękować za dach nad głową, ale po chwili dodaje, że po prostu lubi porządek i czystość.

Wszyscy mieszkają tu za darmo. Kasia Skopiec, założycielka Fundacji Humanosh, dba też o wyżywienie. Dowozi tu podstawowe produkty, ale dla ludzi, którzy uciekają w pośpiechu i często wydają sporo tylko na to, żeby jak najszybciej opuścić kraj, to ogromna pomoc i ulga.

– Dla Kaciaryny i Aliaksieja, jak i dla wielu z tych, którym tu pomagamy, Mirnyj Dom staje się ostoją i miejscem, gdzie po tym, co spotkało ich w Białorusi, mają szansę odzyskać wiarę w lepsze jutro. Widzę, jak wychodzą stąd pewniejsi siebie. Nasz dom jest trochę takim squatem. Ja przywiozę jedzenie, oni nie muszą się o nic martwić, więc mają chwilę na to, żeby na spokojnie zastanowić się, co mają ze sobą dalej robić – mówi Kasia.

Priorytetem dla Domu są rodziny z dziećmi, które mogą mieszkać w nim przez miesiąc, chociaż na początku miał to być dłuższy okres. Skrócenie pobytu wynika z wielkiego zapotrzebowania na tymczasowe schronienie. Choć protesty skończyły się rok temu, represje nie ustały. Teraz wystarczy zostawić negatywny komentarz w sieci o działaniach milicji, by kilka dni później trafić do więzienia.

Przed zamieszkaniem w Domu kandydaci przechodzą procedurę weryfikacji prowadzoną przez aktywistki Partyzanki lub przez Marię, która w lutym 2021 roku pomogła Kaciarynie i Aliaksiejowi. Opowiadają swoją historię, pokazują dokumenty wskazujące na to, że byli w areszcie albo że mają postawione zarzuty, jako dowody na to, że są prześladowani w kraju.

Trzeba zaznaczyć, że nie każdy uchodźca polityczny zwraca się o pomoc do Humanosh lub grupy Partyzanki. Część osób wynajmuje pokój w niedrogim hostelu i w międzyczasie szuka na stałe mieszkania, zajmując się dokumentami i legalizacją pobytu. Ci, którzy sobie nie radzą, często dzwonią na infolinię Centrum Białoruskiej Solidarności. To fundacja, która udziela pomocy prawnej w postaci konsultacji, przygotowuje wszystkie niezbędne dokumenty procesowe i reprezentuje represjonowanych obywateli Białorusi przed organami aparatu państwowego Polski. Centrum wspiera także represjonowanych pracowników przedsiębiorstw państwowych i niezależnych białoruskich związków zawodowych, organizuje kursy języka polskiego i imprezy kulturalne.

— Z JAKIMI PROBLEMAMI borykają się uchodźcy białoruscy po przekroczeniu granicy z Polską? – Problem sprawia im wszystko. Przede wszystkim nie znają języka, a muszą uzyskać numer PESEL, przygotować dokumenty do wniosku o ochronę międzynarodową i czasowym pobycie – wylicza Kaciaryna. – Muszą też ogarnąć szkołę albo żłobek dla dzieci. Jednak najtrudniej jest z pracą: nie każdy ma wysokie kwalifikacje i zna angielski. Mimo to nieraz słyszałam od Białorusinów, że 14 złotych za godzinę to pieniądze, za które „nie wyjdą z mieszkania”. Rozumiem, że nasza sytuacja to emigracja polityczna, a nie zarobkowa. Rozumiem też, dlaczego wiele osób nie chce wyjeżdżać z Warszawy i szukać pracy w fabrykach. Ale w obecnych warunkach 14 złotych za godzinę to niezłe pieniądze. Znam ludzi, którzy zarabiają mniej na Białorusi – dodaje.

– Wiecie, jak ktoś miał dobrze w kraju, to ciężko nagle się przestawić na inny tryb życia – dołącza do rozmowy Walia, która razem z mężem Artiomem i córką Paliną musiała uciekać do Warszawy właśnie z powodu „niewłaściwego komentarza” w internecie, umieszczonego pod nagraniem z mieszkania w Mińsku, do którego wtargnęło KGB. W wyniku strzelaniny zginęły wtedy dwie osoby: programista Andrej Zelcer, przeciwko któremu skierowana była akcja służb, i jeden z funkcjonariuszy.

Teraz czują się bezpiecznie w Warszawie. Podczas naszej rozmowy, tuż przed przeprowadzką całej rodziny do mieszkania na Bródnie, rozmawiamy we trójkę w kuchni Mirnego Domu. W tle słychać pracujący piekarnik i odgłos samolotów, które raz na jakiś czas lądują na Lotnisku Chopina i startują z niego. Często bywałam w Mirnym, ale wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tego dźwięku, który zawsze kojarzy mi się z powrotem do domu – tego, w którym się urodziłam.

– Każdy radzi sobie, jak może, ale czasem mam wrażenie, że Białorusini na emigracji zachowują się jak dzieci sieroty, i to w negatywnym sensie – dodaje Kaciaryna. – Teraz, kiedy Białoruś zniknęła z nagłówek gazet, Polacy niezbyt aktywnie interesują się naszą sytuacją. Kiedy zbieraliśmy rzeczy dla ludzi na granicy, zainteresowanie było duże, jednak prawie nikt nie zapytał, czy potrzebujemy czegoś tu, w domu. A ludzie są pewni, że skoro tyle białoruskich fundacji działa w Polsce, to pieniądze można łopatą zbierać. Często przychodzą do nas osoby prosto z dworca i krzyczą pod bramą, że natychmiast potrzebują pomocy. Nie rozumiem, dlaczego są pewni, że ktoś ma obowiązek znaleźć im pracę i mieszkanie – zastanawia się.

— PYTAM WALIĄ, jak jej sześćioletnia córka Palina zniosła nagle zniknięcie ojca, który pierwszy wyjechał z kraju, przeszukanie ich domu i przeprowadzkę najpierw do Ukrainy, a potem do Polski. Artiom również mieszkał w Mirnym Domu w czasie, gdy rozmawialiśmy. – Mąż często wyjeżdżał zawodowo, a podczas przeszukania Palina na szczęście była w szkole. Nie wiem, jak bym jej to wytłumaczyła! Byłam przestraszona, a dla dziecka to trauma na całe życie. Wiesz, że oni przeszukali nawet jej zabawki? Kiedy znaleźli pistolet plastikowy, poważnie zapytali: „A to co?”. „Nie zdążyłam schować” – odpowiedziałam. Odebrali mi telefon, zadzwonili do męża. Grozili mu, że zabiorą mnie na posterunek, jeżeli nie wróci.

– A co z Paliną?

– Powiedzieli, że są dziadkowie, którzy zaopiekują się małą, wszystko sprawdzili. Strasznie się bałam, że zakażą mi wyjazdu z kraju, więc nie mogłyśmy zwlekać.



W kuchni Mirnego Domu: Kasia Skopiec, założycielka Fundacji Humanosh i Miron z rodziną.



zdjęcia MIRON I PALINA

Pojechaliśmy z Paliną do Ukrainy, niby na leczenie do sanatorium, bo to była dla nas jedyna legalna droga wyjazdu z kraju. Dzięki Alionie, która zorganizowała w Kijowie miejsce podobne do Mirnego Domu, mieliśmy gdzie się zatrzymać. Rozważaliśmy nawet z Artiomem powrót do Kijowa, bo trudno jest znaleźć mieszkanie w Warszawie. Niemcy odmawiają Białorusinom, bo boją się, że nie zapłacimy na czas. Ale udało się!

Walia milknie. Nadal mocno przeżywa to, co wydarzyło się w Białorusi. Podczas jednej z naszych wcześniejszych rozmów przyznała, że obawia się, jakie konsekwencje dla jej rodziców może mieć jej wyjazd z kraju.

– Mimo wszystko wierzę, że Łukaszenka długo nie pociągnie i wrócimy do domu. Co wieczór kładę się spać z myślą o powrocie i o moich rodzicach, którzy nie byli przygotowani na nasz wyjazd – dodaje Walia.

Milczę, bo sama nie wiem, kiedy zobaczę mamę. Ostatni raz widziałyśmy się 20 sierpnia 2020 roku, kiedy przed powrotem do Warszawy przyjechałam na kilka godzin do rodzinnego domu w Mińsku.

Z KASIĄ SKOPIEC, szefową Humanosh, spotykamy się w porze lunchu, bo od rana nic jeszcze nie jadła, choć tego dnia już dwa razy była w Mirnym Domu. Za drugim razem przywozła ogórki.

– Humanosh jest jedyną fundacją, która prowadzi hostel dla Białorusinów w potrzebie, organizuje na jego utrzymanie zbiórki

i zrzutki, rozdaje w miarę możliwości darowizny na kaucje i pierwszy czynsz dla naszych podopiecznych – wylicza Kasia – ale nigdy nie zostałam zaproszona na spotkanie ze Swiełaną Cichanouską, gdy ta była w Warszawie. Rozmawia tylko z Białorusinami. To dla mnie krzywdzące, czuję się w swoim działaniu sama, zupełnie zostawiona. Co z tego, że jestem polskim podmiotem, skoro reprezentuję fundację, która finansowo wspiera Białorusinów w kryzysie? Uważam, że szersza współpraca mogłaby nam dużo dać.

Kasia Skopiec nie szuka uznania dla swoich działań. Wychowała się w rodzinie, w której pomoc potrzebującym była naturalnym odruchem. Jej dziadkowie, Izydor i Jarosława Wołosiańscy, zostali uhonorowani tytułem sprawiedliwych wśród narodów świata. Kasia razem z mężem Piotrem adoptowali dwie dziewczynki z Tybetu, pomagali Nepalczykom, Czeczenom, Ukraińcom, a obecnie Białorusinom. Wspierają także Fundację Ilios, która opiekuje się dorosłymi osobami z niepełnosprawnościami na południu Polski. – Nie godzę się na to, żeby człowiek nie miał chleba do zjedzenia – mówi Kasia, gdy opowiada o swoich działaniach.

Pytam, czy ludzie zdają sobie sprawę z pomocy, jaką ich obdarowuje. Samo utrzymanie Domu to koszt dziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. A ostatnio wśród Białorusinów coraz bardziej słychać krytykę, że pomoc ze strony polskich organizacji jest zbyt mała, że potrzebują czegoś więcej niż

tylko pomocy prawnej, jaką najczęściej oferują fundacje.

– Część tak, część nie, jak to ludzie. Ale ja nie mam z tym problemu. Gdy mogę pomóc, to pomagam i nie zastanawiam się, czy za dużo daję, czy nie. Najgorszy dla mnie jest brak wsparcia ze strony moich bliskich i znajomych. Nie rozumieją tego, co robimy, dlaczego z dochodu swoich firm finansujemy z Piotrem fundację i Mirnyj Dom – tłumaczy Kasia. – Polacy też nie mają nawyku regularnej pomocy. A teraz Łukaszenka akcją na granicy wygasił w społeczeństwie całą chęć do pomagania uchodźcom.

Kasia Skopiec przyznaje, że na utrzymanie Domu wystarczy im pieniędzy do marca. Ale obiecuje, że Mirnyj Dom będzie istniał tak długo, jak długo będzie potrzebny.

Oprócz Fundacji Humanosh imienia Sławy i Izka Wołosiańskich oraz grupy Partyzanka, pomoc Białorusinom świadczą: Centrum Białoruskiej Solidarności, Białoruski i Ukraiński Dom, Centrum Wielokulturowe, Stowarzyszenie Interwencji Prawnej i Nomada Stowarzyszenie na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego, Instytut na rzecz Państwa Prawa, Polskie Forum Migracyjne, inicjatywa „Chlebem i solą”, Ocalenie, ADRA, Migrant Info Point, Białoruś 2020, Homo Faber, Fundacja dla Somalii i Helsińska Fundacja Praw Człowieka.



Piwnica Mirnego Domu to miejsce spotkań i magazyn dla rzeczy, które mieszkańcy dostają z darowizn.

Praca artystki i aktywistki Jany Szostak; została w Mirnym Domu po aukcji sztuki na rzecz represjonowanych Białorusinów.



Kaciaryna, była mieszkanka Brześcia. Uciekła z Białorusi razem ze swoim partnerem Aliksiejem w lutym 2021 roku. Nielegalnie przekroczyli granicę z Rosją. Mieli przy sobie tylko plecaki z niezbędnymi rzeczami i dokumentami. Kaciaryna mówi, że bieliznę kupiła w sklepie na dworcu.



Miron (11 lat) i Palina (6 lat)



zdjęcia MIRON I PALINA

Na Białorusi Aliaksiej zarabiał wykonując tatuaże. Teraz maluje. Na zdjęciu jedna z jego prac, powstała po ucieczce do Polski.



JULIA SZABŁOWSKA (ur. 1991), dokumentalistka, dziennikarka i założycielka służby fotograficznej białoruskiej stacji telewizyjnej Belsat. W styczniu 2020 roku znalazła się na liście trzydziestu fotografek do 30 by ARTPIŁ za projekt dla Belsat TV *Tu nie zabijają*.

POEZJA

NIC

BRUNO JASIEŃSKI

—

Wiersz Brunona Jasieńskiego pochodzi z domeny publicznej.

BRUNO
JASIEŃSKI

(1901–1938), poeta, prozaik i dramaturg, współtwórca polskiego futuryzmu, przedstawiciel polskiej awangardy międzywojennej, działacz komunistyczny. Wiersz *Nic* pochodzi z tomu *But w butonierce* (1921).

Wiatr zmian w energetyce

tekst MAGDALENA SKŁODOWSKA

W PRODUKCJI ENERGII Z WIATRU polscy przedsiębiorcy i firmy energetyczne widzą szansę na tanią energię, która zastąpi drożący prąd z elektrowni węglowych. Coraz większe możliwości oferują turbiny budowane na morzu.

Podczas pandemii odnawialne źródła energii (OZE) okazały się odporne na kryzys. Tempo nowych inwestycji w elektrownie wiatrowe i słoneczne rosło na świecie w 2020 roku najszybciej od dwóch dekad [o boomie na fotowoltaikę pisała Justyna Piszczatowska w „Piśmie” nr 3/2021 – przyp. red.]. Z raportu brytyjskiego think tanku Ember wynika, że Unia Europejska po raz pierwszy pozyskała w tym roku więcej energii ze źródeł odnawialnych niż z paliw kopalnych. Największy udział miały w tym elektrownie wiatrowe, które są obecnie najbardziej konkurencyjnym kosztowo źródłem energii – ich budowa staje się tańsza niż eksploatacja starych elektrowni węglowych.

Światowa Rada Energetyki Wiatrowej (Global Wind Energy Council, GWEC) podaje, że globalne moce wytwórcze energii wiatrowej na początku tego stulecia wynosiły 17,4 gigawatów, w 2010 roku prawie 200, a w 2020 roku – 743 gigawaty (dla porównania moce wytwórcze energetyki opartej na węglu są trzykrotnie większe i wynoszą 2,2 terawata). Mimo że w 2020 roku

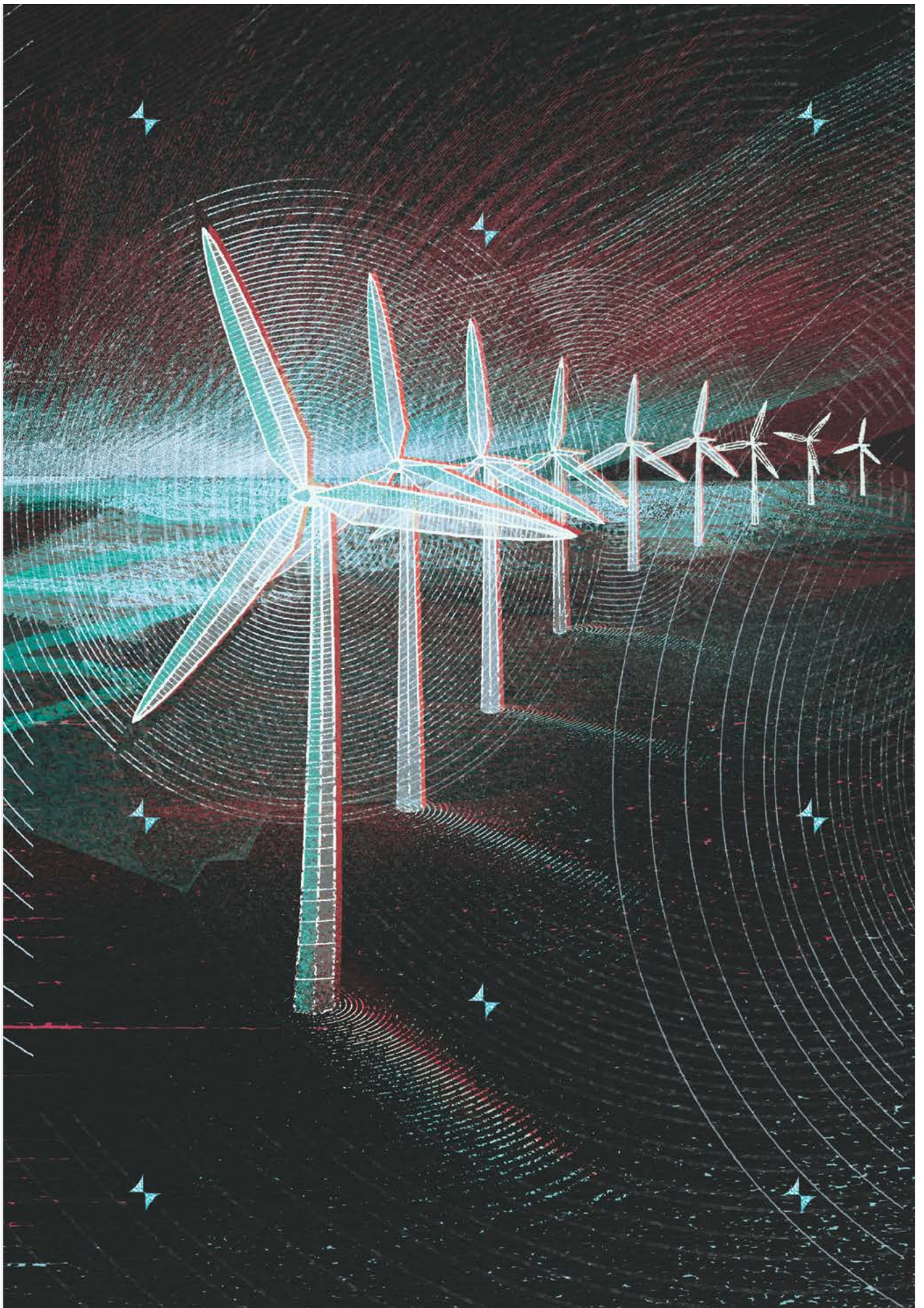
mieliśmy do czynienia z rekordowym przyrostem (93 gigawaty nowych mocy, o połowę więcej niż rok wcześniej), tempo inwestycji jest nadal niewystarczające, by w połowie wieku świat mógł osiągnąć neutralność klimatyczną. Zgodnie ze scenariuszami opracowanymi przez międzynarodowe organizacje energetyczne, choćby GWEC, w tej dekadzie należałoby zwiększać moce elektrowni wiatrowych o co najmniej 180 gigawatów rocznie, a w następnej – o 280, aby ograniczyć wynikające z emisji gazów cieplarnianych ocieplenie klimatu do poziomu zalecanego przez porozumienie paryskie, czyli o 1,5 stopnia Celsjusza.

Wiele krajów nie wykorzystuje swoich możliwości i nie rozwija w wystarczającym stopniu energetyki wiatrowej. „Wiatr stanowi obecnie 16 procent energii elektrycznej w Unii. Europa nie buduje jednak wystarczającej liczby nowych farm wiatrowych, aby zrealizować unijne cele klimatyczne i energetyczne. Głównym problemem są zbyt złożone zasady i procedury udzielania zezwoleń. W organach je wydających nie ma wystarczającej liczby osób, aby rozpatrywać

wnioski. Rządy muszą się tym zająć. W przeciwnym razie Zielony Ład jest zagrożony” – ocenił w lutym zeszłego roku Giles Dickson, dyrektor generalny stowarzyszenia WindEurope, przy podsumowaniu wyników energetyki wiatrowej za 2020 rok. Niewystarczające tempo rozwoju tej branży dziwi, bo energetyczny potencjał ruchu powietrza wykorzystujemy już od stuleci.

POCZĄTKI PRODUKCJI energii elektrycznej z wiatru sięgają końca XIX stulecia. W pierwszych konstrukcjach wykorzystywano wiatraki służące od wieków do mielenia ziarna czy przepompowywania wody. Ich działanie zrewolucjonizowało wynalezienie prądnicy wytwarzającej prąd z energii mechanicznej, jak chociażby w wiatraku. Wiatr obraca łopaty, a jego energia kinetyczna jest przekształcana w energię mechaniczną w postaci ruchu obrotowego wirnika. Za pomocą wału i przekładni trafia ona do generatora, który produkuje energię elektryczną.

Pierwsze wiatraki były powolne i produkowały mało energii. Wolnoobrotowe wirniki z ciężkimi łopatami nie łapały wiele przepływającego powietrza, a od tego zależy wydajność turbiny wiatrowej. W 1917 roku zaczęto więc wzorować się na śmigłach lotniczych, łopaty stały się smuklejsze, dłuższe i odpowiednio wyprofilowane, co też pozwalało stabilizować ich pracę.



Konstruktorzy pracujący nad efektywnością turbin mierzyli się ze zmienną prędkością wiatru i produkcją prądu o zmiennej częstotliwości napięcia, co stanowiło ogromną przeszkodę w podłączeniu wiatraków do sieci. Pierwsze wiatraki produkowały prąd stały, podczas gdy do przesyłania energii na dużych odległościach potrzebny był prąd zmienny, który obecnie czerpiemy z sieci.

Małe elektrownie wiatrowe powstawały więc początkowo w Danii i Stanach Zjednoczonych na terenach rolniczych, gdzie nie sięgała sieć elektroenergetyczna. Farmerzy i przedsiębiorcy inwestowali w zakup małych turbin, by zapewnić sobie prąd w domach i gospodarstwach, ale gdy na przełomie XIX i XX wieku rozbudowano w Ameryce i Europie sieci elektroenergetyczne, na rynku królowały już duże elektrownie węglowe i silniki na ropę o niskich kosztach produkcji energii, więc pobrana z sieci energia elektryczna nie była droga. Początkowo rozwój sieci koncentrował się na miastach, więc producenci turbin wiatrowych jeszcze do lat 30. sprzedawali wiatraki farmerom. Ostatecznie tanie paliwa kopalne na dobre zatrzymały inwestycje w odnawialne źródła energii, chociaż nadal w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Rosji, Francji i Danii prowadzono prace nad rozwojem turbin wiatrowych. Przede wszystkim koncentrowano się na zwiększeniu ich mocy, ale nawet gdy w 1919 roku testowano w Danii turbinę o mocy 30 kilowatów, wciąż było to niewiele w porównaniu z konwencjonalnymi elektrowniami, których moc liczone w megawatach. Koszt postawienia turbiny wiatrowej był też za wysoki w przeliczeniu na cenę uzyskanej energii, ponieważ konkurencję na rynku energetycznym stanowiły duże elektrownie systemowe. Dopiero wybuch kryzysu naftowego w 1973 roku spowodował, że władze państw zaczęły inwestować w źródła energii niezależne od wahań cenowych i dostaw surowców – rozpoczął się złoty okres atomu, ale zwrócono się też w kierunku wiatru.

Na rozwój energetyki wiatrowej postawili wówczas między innymi Stany Zjednoczone, gdzie zaczęły powstawać elektrownie składające się z wielu turbin wiatrowych. Łączenie siłowni w zespoły na jednym obszarze i przyłączanie ich do jednej linii elektroenergetycznej pozwala zwiększyć zakres inwestycji, a to

znacznie obniża koszty budowy elektrowni, natomiast potem, już podczas pracy wiatraków, podnosi bezpieczeństwo dostaw energii, ponieważ w przypadku awarii jednej turbiny reszta nadal może produkować prąd. Amerykanie mówili o wind farming jako o drugim źródle dochodu farmerów i właścicieli ziemi, którzy dostawali odpowiednie wynagrodzenie za długoletnią dzierżawę gruntów, na których postawiono turbiny wiatrowe. W Kalifornii zachęty podatkowe i korzystne umowy na odbiór energii po stałej cenie sprawiły, że rozkwitła współpraca między firmami odpowiedzialnymi za przesyłanie prądu a producentami z farm wiatrowych. Polityka władz stanowych doprowadziła do tego, że w połowie lat 80. stan ten odpowiadał za 95 procent pracujących na świecie turbin wiatrowych – było ich wówczas w Kalifornii ponad 14 tysięcy, o łącznej mocy 1,2 gigawata (obecnie łączna zainstalowana moc energetyki wiatrowej w tym stanie sięga 6 gigawatów). W kolejnej dekadzie pałeczkę w inwestycjach wiatrowych przejęła Europa, która kilka lat temu ustąpiła Chinom.

W Europie ważny wpływ na rozwój energetyki wiatrowej miała katastrofa w Czarnobylu w 1986 roku. Energetyka jądrowa rozwijała się dotąd bardzo dynamicznie, ponieważ po kryzysie naftowym wydawała się technologią pewną i perspektywiczną. Czarnobyl położył się cieniem na budowie nowych elektrowni i sprawił, że Europejczycy politycy zwrócili większą uwagę na konieczność rozwoju OZE. Prym w tym wiodła Dania, która jako pierwsza wyznaczyła krajowy cel produkcji energii z wiatru, a dziś ma największy udział energetyki wiatrowej w krajowej produkcji energii: w 2020 roku wynosił on 48 procent. Dla porównania w Niemczech było to 27 procent, w Polsce – 9 procent.

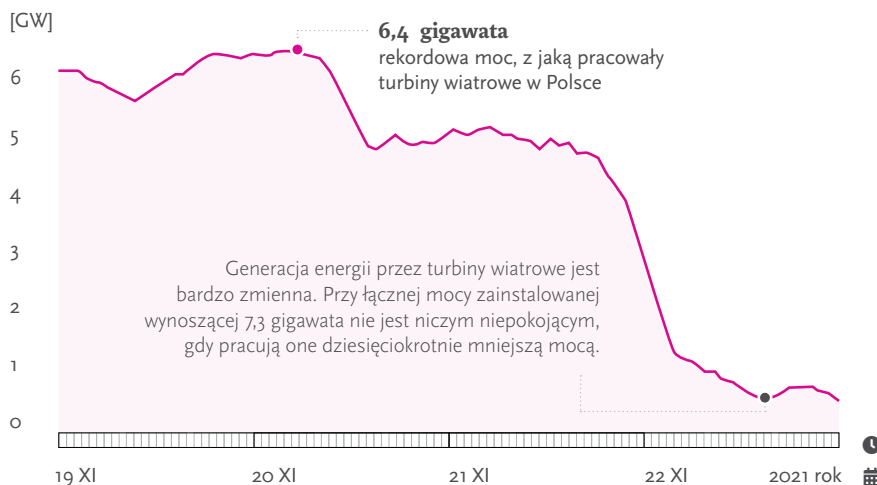
Dania w przeddzień kryzysu naftowego z 1973 roku czerpała ponad 90 procent energii z paliw kopalnych, jednak od tego wydarzenia konsekwentnie inwestowała w rozwój energetyki wiatrowej, na którą postawił rodzinny producent Vestas – dziś jeden z czołowych dostawców tej technologii. Dania jest

też pierwszym krajem na świecie, w którym zbudowano elektrownię wiatrową *offshore* – na Morzu Bałtyckim. Oddana do użytku trzydzieści lat temu farma Vindeby składała się z jedenastu turbin o łącznej mocy 5 megawatów, a jej roczna produkcja energii pokrywała zużycie prądu 2200 duńskich gospodarstw domowych. Vindeby została rozebrana po dwudziestu sześciu latach pracy, a obecnie budowane morskie farmy wiatrowe są znacznie większe, ponieważ znacząco zwiększyła się też moc turbin. Przeciętna moc turbiny wiatrowej instalowanej teraz na lądzie wynosi w Unii Europejskiej 3,3 megawata, ale nowoczesne turbiny wiatrowe, jakie zaczynają dziś pojawiać się na rynku, mają moc 5–6 megawatów. W przypadku farm wiatrowych na morzu przeciętna moc turbiny w elektrowniach uruchomionych w ubiegłym roku wynosiła 8,2 megawata, natomiast w przypadku najnowszych modeli – 12–15 megawatów.

SYNONIMEM PRZEJŚCIA Danii od paliw kopalnych do odnawialnej energii może być Ørsted, dawny DONG (Dansk Olie og Naturgas), który jeszcze kilkanaście lat temu był jedną z najbardziej zależnych od węgla firm energetycznych w Europie, a obecnie jest największym na świecie inwestorem w energetykę wiatrową *offshore*. Ørsted jest głównym dostawcą energii elektrycznej w Danii i dostarcza temu państwu jedną trzecią ciepła. Spółka zamierza być pierwszą dużą firmą w branży energetycznej neutralną pod względem emisji dwutlenku węgla.

Szwecja też stawia na energetykę wiatrową. – Obecnie jest ona u nas źródłem energii, które można rozwijać w najszybszym tempie i po najniższej cenie – wyjaśnia Hanna Magnusson ze Svensk Vindenergi, organizacji skupiającej producentów turbin wiatrowych, firmy energetyczne, banki i kancelarie prawne, zajmującej się promowaniem energetyki wiatrowej w Szwecji. – Już w latach 2019–2022 nastąpi niemal dwukrotny wzrost wykorzystania energii

DOBOWE WAHANIA GENERACJI ENERGII Z TURBIN WIATROWYCH



Źródło danych: Polskie Sieci Elektroenergetyczne, opracowanie redakcji.

wiatrowej, a w 2024 roku będzie ona drugim co do udziału, po energii wodnej, źródłem prądu w kraju.

Najwięcej farm wiatrowych w Europie znajduje się w Niemczech – ich łączna moc wynosi 63 gigawaty (w Polsce jest to trochę ponad 7 gigawatów). Berlin formalnie zaczął politykę transformacji energetycznej *Energiewende* w 2010 roku, ale już w 1991 roku wspierano OZE, a w 2000 roku przyjęto prawo o odnawialnych źródłach energii, przyznające producentom OZE prawo do korzystania z wysokich, stałych cen za każdą kilowatogodzinę energii, tak zwane *feed in tariff* (taryfa gwarantowana, FIT). OZE dostały też gwarancję przyłączenia do sieci elektroenergetycznej i pierwszeństwo zielonej energii w sieci. To wszystko sprawiło, że w Niemczech, podobnie jak w Danii, rozwinął się krajowy przemysł związany z produkcją turbin. W 2017 roku Niemcy zaprotestowali przeciwko stawianiu kolejnych farm wiatrowych, argumentując, że spada przez nie dostępność ziemi. Nie bez znaczenia był też hałas generowany przez turbiny. Sprzeciw społeczny wymusił wprowadzenie regulacji w poszczególnych landach dotyczących odległości między turbinami a budynkami mieszkalnymi, co doprowadziło do wyhamowania prężnego do tej pory rozwoju energetyki wiatrowej w kraju.

Nie tylko państwa europejskiej Północy mogą się pochwalić sukcesem w rozwijaniu

energetyki wiatrowej, ponieważ na drugim miejscu pod względem zainstalowanej mocy po Niemczech znajduje się od wielu lat Hiszpania. Hiszpańsko-niemiecka firma Siemens Gamesa znajduje się obecnie w piątce największych producentów turbin na świecie, firma budowlana Acciona jest czołowym deweloperem farm wiatrowych, a producent energii Iberdrola – znaczącym inwestorem.

— POLSKA ZNAJDUJE SIĘ w grupie krajów, w których prawo dotyczące lokalizacji turbin skutecznie uniemożliwiło rozwój nowych projektów farm wiatrowych, choć jeszcze kilka lat temu polski rynek energetyki wiatrowej był jednym z najsilniejszych w Europie. W 2016 roku moce naszych farm wiatrowych wzrosły o 1,23 gigawata (z 4,58 gigawata w 2015 roku) i był to drugi wynik w Europie po najlepszym rynku niemieckim. Podstawą tego boomu były sprzyjające przepisy i fundusze unijne. W latach 2007–2013 w finansowanym z nich krajowym programie operacyjnym Infrastruktura i Środowisko około 1,5 miliarda złotych przeznaczono bezpośrednio na rozwój OZE; w kolejnych latach unijne wsparcie poszło głównie na rozwój sieci elektroenergetycznej, jej modernizację i umożliwienie przyłączania nowych źródeł.

Najważniejsze jest jednak wsparcie w odbiorze i spożytkowaniu już wyprodukowanej

zielonej energii. Zgodnie z uchwaloną w 2009 roku dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie promowania stosowania energii ze źródeł odnawialnych w 2020 roku w całej Unii Europejskiej w końcowym zużyciu energii (czyli zużyciu na potrzeby technologiczne, produkcyjne i bytowe) 20 procent powinno pochodzić z OZE. Kraje członkowskie miały partycypować w osiągnięciu tego celu w zależności od swoich przewidywanych możliwości; w przypadku Polski odsetek ten wyniósł 15 procent. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego opublikowanych w połowie grudnia zeszłego roku polskiej energetyce i ciepłownictwu udało się spełnić wymóg z nadstatkiem: 16,1 procent. Stało się tak jednak tylko dzięki zmianie metodologii liczenia spalanej biomasy, uznawanej za OZE przez prawo polskie i unijne: GUS doszacował spalane w domach drewno kominkowe.

Zobowiązanie na poziomie państwowym przekłada się na przedsiębiorstwa z branży energetycznej, które muszą udowodnić wykorzystanie odpowiedniej ilości energii odnawialnej. Aby to umożliwić, polski rząd wprowadził świadectwa pochodzenia energii wydawane wytwórcom energii elektrycznej z OZE – tak zwane zielone certyfikaty, na podstawie których podmioty zajmujące się sprzedażą energii corocznie się rozliczają, a gdy ich nie mają, wnoszą opłatę zastępczą. Zielone certyfikaty są zbywalne, a obrót nimi stanowi cenne wsparcie dla producentów energii z wiatru.

Pobudzony funduszami unijnymi i zielonymi certyfikatami rozwój energetyki wiatrowej doprowadził do tysięcy wniosków o przyłączenie farm do nieprzygotowanej na ten boom sieci elektroenergetycznej. Już w 2010 roku Polskie Sieci Elektroenergetyczne informowały, że inwestorzy złożyli wnioski o przyłączenie farm wiatrowych o mocy trzykrotnie większej, niż wynosiło w szczycie zapotrzebowanie na prąd.

Pomyślna koniunktura dla inwestorów w farmy wiatrowe odwróciła się po wyborach w 2015 roku. W maju 2016 roku parlament przyjął ustawę o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych, która wprowadziła ograniczenia lokalizacji nowych elektrowni i nałożyła rygorystyczne procedury wydawania pozwoleń. Zgodnie z nowymi przepisami

minimalna odległość wiatraka od budynków mieszkalnych i obszarów ochrony przyrody powinna wynosić co najmniej dziesięciokrotność całkowitej wysokości siłowni wiatrowej. Wcześniej kwestia minimalnej odległości farm wiatrowych od domów nie była sztywno określona w prawie, co też utrudniało mieszkańcom wpływ na lokalizację farm wiatrowych i powodowało ostre protesty. Nowa ustawa rozwiązała problem radykalnie, ponieważ przepisy, zwane w skrócie zasadą 10 H, zablokowały niemal wszystkie inwestycje w nowe farmy wiatrowe; tylko już wydane pozwolenia na budowę zachowały swoją ważność. Inwestorzy nie mogą zmieniać raz wydanych pozwoleń i skorzystać z lepszych, mocniejszych turbin, które w ostatnich latach dominują w światowych inwestycjach w energetyce wiatrowej. Jeśli więc chcieliby w przyszłości zmodernizować już istniejące farmy wiatrowe, musieliby się starać o nowe pozwolenie. Nie znajdują już przecież na rynku turbin, które instalowali kilkanaście lat temu.

Średnia wysokość siłowni wiatrowej – od podstawy do czubka łopaty – wynosi 140–200 metrów. Oznacza to, że nowoczesne wiatraki mogą stać w odległości co najmniej 1,5 kilometra od jakiegokolwiek strefy mieszkalnej lub chronionego obszaru naturalnego. W praktyce takich miejsc w Polsce prawie nie ma. Ustawodawca nie mógł o tym nie wiedzieć.

Jednocześnie ceny zielonych certyfikatów wówczas spadły, gdyż nastąpiła ich nadpodaż, a ustawa z 2016 roku zwiększyła podatków od nieruchomości dla farm wiatrowych, i choć po dwóch latach rząd wycofał się z podwyżki, energetyka wiatrowa w Polsce nie wróciła do czasów najlepszej koniunktury.

—
OD 2016 ROKU podstawowym systemem wsparcia OZE w Polsce są aukcje, które przeprowadza Urząd Regulacji Energetyki. Górną granicę akceptowalnej dla państwa ceny za energię – tak zwaną cenę referencyjną – określa w rozporządzeniu minister klimatu. Mechanizm jest tak skonstruowany, że z automatu odrzuca 20 procent najdroższych ofert. Wytwórcy rywalizują o piętnastoletnie kontrakty zapewniające im odbiór energii po gwarantowanej cenie. To zmniejsza ryzyko inwestycji i ułatwia znalezienie

finansowania projektów, których realizacja w przypadku dużych farm wiatrowych kosztuje setki milionów złotych. Przeprowadzona w grudniu 2019 roku polska aukcja dla nowych projektów wiatrowych była największa w Unii Europejskiej, przyznano wówczas sto jeden kontraktów na budowę lądowych farm wiatrowych o łącznej mocy 2,2 gigawata. Średnia cena tej aukcji wynosząca 208 złotych za megawatogodzinę była niższa od ceny hurtowej energii w Polsce (220 złotych), czego zresztą się spodziewano, ponieważ już rok wcześniej w aukcji OZE energetyka wiatrowa okazała się najtańsza.



Najwięcej farm wiatrowych zbudowano w północnych województwach i w Wielkopolsce. Panują tu korzystne warunki wietrzne, ale też wpłynęła na to polityka lokalnych gmin, które zapewniają tereny inwestycyjne oraz otwarcie popierają OZE. Farmy wiatrowe przynoszą gminom znaczne wpływy w postaci podatków od nieruchomości, jednak najważniejsze jest przekonanie samych mieszkańców, że przyniesie im to rzeczywiste korzyści – najczęściej nową infrastrukturę drogową i przychody z dzierżawy działek. Największa w Polsce farma wiatrowa Potęgowo, która powstała w ubiegłym roku w okolicach Słupska, wygrała kontrakt na aukcji OZE w 2018 roku. Składa się na nią osiemdziesiąt jeden siłowni wiatrowych o łącznej mocy 219 megawatów. Ten ogromny projekt kosztował 1,25 miliarda złotych, a finansowanie inwestycji zapewnił między innymi Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju.

Jednocześnie w ostatnich latach energetyka wiatrowa przynosi rekordowe zyski, za

co odpowiada wysoka cena hurtowa energii w Polsce, ceny zielonych certyfikatów oraz taniejąca technologia. Inwestorzy mają też więcej możliwości sprzedaży energii, ponieważ nie tylko korzystają z aukcji przeprowadzanych przez Urząd Regulacji Energetyki, ale też coraz częściej zawierają na rynku wieloletnie kontrakty z prywatnymi odbiorcami energii, tak zwane PPA (ang. *power purchase agreement*, czyli umowa zakupu energii), więc wsparcie od państwa nie jest już takie istotne. W efekcie produkcja energii z wiatru jest zaraz po dystrybucji energii najbardziej opłacalną działalnością w branży energetycznej. Jak szacuje litewski inwestor Ignitis, uruchomiona niedawno na Pomorzu farma wiatrowa Pomerania o mocy 94 megawatów przyniesie mu w ciągu trzydziestu lat pracy zysk operacyjny sięgający 400 milionów euro.

Polskie grupy energetyczne nie mają tak dużego doświadczenia w budowie farm wiatrowych jak zagraniczne spółki i fundusze inwestycyjne, ale w ostatnich latach aktywnie poszukiwały gotowych projektów, kupowały farmy i budowały własne. Preferowanymi lokalizacjami są między innymi zamknięte kopalnie. Właśnie na takich zrehabilitowanych terenach w gminie Przykona w Wielkopolsce Grupa Energa zbudowała farmę wiatrową o mocy 31 megawatów. Nie jest duża – składa się z dziewięciu turbin o mocy 3,45 megawata każda, a jej roczna produkcja wystarcza na zapewnienie energii elektrycznej 30 tysiącom gospodarstw domowych.

Wzniesione w gminie Przykona wiatraki mają wysokość liczoną do piasty turbiny 117 metrów, a długość ich łopat wynosi 64 metry. W najwyższym punkcie osiągają zatem wysokość około 180 metrów nad poziomem terenu. Wraz z farmą zbudowano także całą niezbędną infrastrukturę, w tym 11 kilometrów linii kablowych, linie światłowodowe, drogi dojazdowe i place manewrowe. Do gminy z tytułu nowych podatków od nieruchomości wpłynie rocznie około 740 tysięcy złotych. Na terenach po byłej kopalni węgla brunatnego planowane są też są dalsze inwestycje w OZE, po ich zrealizowaniu dodatkowe wpływy do kasy gminnej wzrosną do 4 milionów złotych.

W 2019 roku Tauron, którego głównym rejonem działania jest Śląsk i Małopolska, podwoił moce wiatrowe, przejmując pięć

farm w północnej Polsce. Rok później rozpoczął od zera budowę farmy w Piotrkowie Trybunalskim. Spółka z Katowic zarządza teraz dziewięcioma farmami, w których energię elektryczną wytwarzają 182 turbiny wiatrowe o łącznej mocy 381 megawatów. Dwa lata temu ogłosiła nową strategię, „Zielony zwrot”, ponieważ znacznie zwiększa inwestycje w zeroemisyjne źródła energii – do 2025 roku Tauron planuje mieć na lądzie farmy wiatrowe o mocy 1 gigawata, a w kolejnych latach liczy na wejście do morskiej energetyki wiatrowej.

WSZYSTKIE CZTERY państwowe grupy energetyczne: PGE, Energa (należąca do PKN Orlen), Tauron i Enea deklarują gotowość do inwestowania w morskie farmy wiatrowe, jednak są to przedsięwzięcia o znacznie większej skali, bardziej skomplikowane i przez to droższe. Wiążą się z badaniem dna morskiego, pracami na głębokościach, wyzwaniem z wyprowadzeniem mocy z morskich farm wiatrowych na ląd. To też ogromne nakłady finansowe – szacuje się, że w polskiej strefie Bałtyku można postawić około tysiąca turbin wiatrowych, co będzie kosztować ponad sto miliardów złotych. W zatwierdzonej przez rząd na początku zeszłego roku *Polityce energetycznej Polski do 2040 roku* założono, że moc farm wiatrowych na morzu osiągnie 11 gigawatów i będą one dostarczały nawet 19,3 procent produkcji energii elektrycznej. Polskie spółki nie mają żadnego doświadczenia inwestycyjnego, więc wszystkie wybrały zagranicznego partnera.

Najbardziej zaawansowana w przygotowaniu farm wiatrowych na morzu jest Polenergia, największa polska prywatna grupa energetyczna. Jeszcze dekadę temu ogłaszała przetarg na budowę na Pomorzu Elektrowni Północ o mocy 1 gigawata, dla której głównym paliwem miał być węgiel kamienny, ale inwestycja nie doszła do skutku i teraz siłą napędową rozwoju spółki jest segment lądowych farm wiatrowych. Polenergia ma 287 megawatów mocy w farmach lądowych, buduje kolejne farmy o mocy 148 megawatów oraz inwestuje wraz z norweską firmą Equinor w trzy farmy wiatrowe na Morzu Bałtyckim, gdzie w sumie planuje 3 gigawaty nowych mocy. Dwie zbuduje na położonej

około 20 kilometrów od lądu Ławicy Słupskiej, jedno pozwolenie lokalizacyjne uzyskała na Ławicy Środkowej, znacznie bardziej oddalonej od brzegu i graniczącej ze szwedzkim obszarem morskim, co oznacza, że ta inwestycja będzie bardziej skomplikowana i jej realizacja potrwa dłużej.

W podobnej sytuacji jest PGE, spółka, która także ma trzy pozwolenia lokalizacyjne dla elektrowni wiatrowych *offshore* o mocy około 3,5 gigawata. Ta największa polska grupa energetyczna jako partnera dla dwóch projektów wybrała duński koncern Ørsted. PKN Orlen, który ma jeden projekt farmy wiatrowej *offshore*, wybrał jako partnera do realizacji kanadyjski Northpower. Na polskim morzu planują też wybudować farmy wiatrowe zagraniczni inwestorzy – RWE i Ocean Winds. Wszystkie te firmy uzyskały decyzję o dopłatach do ujemnego salda, czyli do ceny energii, jeśli spadnie poniżej zagwarantowanego poziomu. Kontrakty są przyznawane na dwadzieścia pięć lat.

Do 2030 roku na polskich wodach Morza Bałtyckiego mogą powstać farmy wiatrowe o mocy około 6 gigawatów, a w kolejnej dekadzie – około 5 gigawatów. Nasz kraj późno zaczyna inwestycje w tym obszarze.

Program rozwoju morskiej energetyki wiatrowej to też nowe możliwości rozwoju polskich portów. – Trójmiasto jest tu najlepszą lokalizacją ze względu na zaplecze inwestycyjne, z którego, mamy nadzieję, będzie pochodziła część komponentów do budowy farm wiatrowych na morzu. To też ogromna szansa dla portów do wejścia w nowy, perspektywiczny segment działalności, gdy przeładunki węgla będą maleć – wskazuje Michał Śmigieński, prezes Morskiej Agencji Gdynia.

Do 2030 roku na polskich wodach Morza Bałtyckiego mogą powstać farmy wiatrowe o mocy około 6 gigawatów, a w kolejnej dekadzie – około 5 gigawatów. Nasz kraj późno zaczyna inwestycje w tym obszarze, choć pierwsze pozwolenia lokalizacyjne farm wydawano już dziewięć lat temu. Od tamtego

czasu inwestorzy borykali się z biurokracją i brakiem odpowiednich regulacji prawnych dotyczących morskiej energetyki wiatrowej, nie mieli też zagwarantowanego wsparcia. Teraz polityczne poparcie dla budowy farm wiatrowych na morzu jest większe niż w przypadku farm wiatrowych na lądzie. „Sektor ten zapewni nam dostęp do taniej energii i wzmocni konkurencyjność polskich przedsiębiorstw” – napisał premier Mateusz Morawiecki w liście do uczestników *Porozumienia sektorowego na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej w Polsce*, które zostało zawarte we wrześniu zeszłego roku. Ma ono zapewnić udział polskich przedsiębiorstw w budowie i obsłudze morskich farm wiatrowych powstających w wyłącznie polskiej strefie ekonomicznej.

PRODUKCJA ENERGII elektrycznej z wiatru jest zmienna i bardzo zależna od warunków pogodowych, a moce produkcyjne turbin wiatrowych rzadko odpowiadają bieżącemu zapotrzebowaniu na energię elektryczną. Europa przekonała się o tym w 2021 roku, kiedy słabe warunki wiatrowe doprowadziły do niskiej produkcji zielonej energii, co zbiegło się z obecnym kryzysem energetycznym oraz wysokimi giełdowymi cenami energii elektrycznej i gazu. Z jednej strony wiatr nie wieje stabilnie, gdy jest potrzebny do produkcji energii (większość turbin wytwarza energię, gdy wiatr wieje z prędkością od kilkunastu do stu kilometrów na godzinę), z drugiej – gdy mamy do czynienia z nadprodukcją, farmy są odłączane od przeciążonej sieci, co dzieje się zwłaszcza w państwach z dużą liczbą wiatraków i słabo rozwiniętą siecią energetyczną, na przykład w Chinach. Uzupełnieniem dla farm wiatrowych mogą być zatem magazyny energii albo szczytowe elektrownie gazowe, uruchamiane, gdy produkcja energii z wiatru jest za mała. Nową szansę upatruje się między innymi w Niemczech, Holandii i Szkocji w wodorze produkowanym przez elektrolizery napędzane przez tanią, zieloną energię z farm wiatrowych na lądzie i na morzu. Może on trafić do wykorzystania w przemyśle, transporcie lub być wtłoczony do sieci gazowej [o wodorze pisała Justyna Piszczatowska w „Piśmie” nr 12/2020 – przyp. red.].

– Przemysł uzyskuje najlepsze wyniki, gdy energia produkowana z wiatru i innych odnawialnych źródeł współdziała z rozwojem magazynów energii, takich jak baterie i wodór, oraz z silną, nowoczesną siecią elektroenergetyczną – ocenia Hanna Magnusson.

Aspekt gospodarczy nie powinien być jednak najważniejszy, ani decydujący przy rozważaniach o rozwoju tego sektora. Koszty dla środowiska również trzeba brać pod uwagę, bo wbrew pozorom farmy wiatrowe nie są dla niego obojętne. W Kalifornii organizacje ekologiczne odkryły już w latach 80. ubiegłego wieku, że koncentracja siłowni wiatrowych na jednym terenie negatywnie wpływa na ptaki. Na farmie Altamon Pass przyrodniczy znaleźli martwe osobniki, w tym orły przednie, a to gatunek chroniony prawem federalnym. Kalifornijska Komisja Energetyczna przeprowadziła badania w latach 1984–1988, które potwierdziły problem. Okazało się, że farma została zbudowana na trasie przelotowej ptaków. Po tym doświadczeniu inwestorzy musieli wziąć pod uwagę już nie tylko zyski i bezpieczeństwo dostaw energii, ale też wpływ elektrowni wiatrowych na środowisko. Pierwsze badanie Narodowego Komitetu Koordynacyjnego do spraw Wiatru wykazało, że w 2001 roku przez turbiny wiatrowe w Stanach Zjednoczonych zginęło nawet 40 tysięcy ptaków.

W Polsce podobne badanie prowadziła niedawno spółka PGE na swojej farmie wiatrowej Lotnisko na Pomorzu, jednej z największych w Polsce. Zbudowany przez polską firmę Bioseco system dobierający odpowiednie sygnały świetlne i dźwiękowe skutecznie odstraszał przelatujące w odległości kilkuset metrów od turbin wiatrowych kanie rude i żurawie.

Na obszarze, na który pada cień turbiny wiatrowej, jej obracające się łopaty wywołują efekt stroboskopowy, którego uciążliwość dla człowieka potwierdzili naukowcy. Powstał on przy częstotliwości powyżej 2,5 herca, co odpowiada pięćdziesięciu obrotom łopat wiatraka na minutę, jednak ten problem wyeliminowano w nowszych turbinach. Obracając się z maksymalną prędkością dwudziestu obrotów na minutę, więc częstotliwość migotania nie przekracza jednego herca.

Duże turbiny wiatrowe powodują też hałas oraz infradźwięki, fale akustyczne o zbyt

niskiej częstotliwości, by człowiek mógł je usłyszeć, które jednak też są uciążliwe, bo mogą powodować wrażenie ciśnienia w bębenkach usznych. To kolejny zarzut, który producenci turbin wiatrowych potraktowali poważnie i najnowszej generacji turbiny emitują znacznie mniej hałasu, który w odległości dwustu metrów od turbiny staje się niesłyszalny, osiągając poziom tła [o zanieczyszczeniu dźwiękiem Urszula Pieczek pisała w „Piśmie” nr 10/2021 – przyp. red.].

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej wiatr już w 2025 roku może się wysunąć na pierwsze miejsce jako źródło produkcji energii elektrycznej w Europie. Stanie się tak głównie z powodu inwestycji w duże farmy wiatrowe na morzu, w czym Unia Europejska przoduje na świecie.

Dużym wyzwaniem jest też recykling starych łopat wiatraków. Większość wiatraka pod względem masy stanowi konstrukcja stalowo-betonowa. Problematiczne pozostaje 10–15 procent składające się na łopaty wykonane z wyjątkowo odpornego na zniszczenie włókna węglowego. Można je mieć i spalać w wysokich temperaturach, jednak jest to drogi i energochłonny proces, wymagający skomplikowanych urządzeń. Trwają prace nad lepszym zaprojektowaniem łopat wiatraków, tak by w pełni nadawały się do recyklingu, pojawiają się także technologie, które umożliwią odzyskiwanie użytych do ich produkcji surowców.

— ENERGETYKA WIATROWA ma za sobą długą drogę rozwoju, co sprawia, że jest to dojrzała, tania technologia, o stosunkowo wysokim współczynniku wykorzystania mocy. Z tego powodu może szybko dostarczyć energię przy rosnącym zapotrzebowaniu na prąd i wypełnić luki po wycofywanych z użytku elektrowniach węglowych. Współczynnik wykorzystania mocy przekracza już 40 procent dla lądowych farm wiatrowych i 50 dla morskich, co oznacza, że taką część energii może produkować turbina, pracując bez przerwy.

W Krajowym planie odbudowy, który Polski rząd wysłał w maju zeszłego roku do Komisji Europejskiej, zapowiedziano zniesienie restrykcyjnych przepisów ograniczających lokalizację farm wiatrowych na lądzie. Zasada 10 H miałaby zostać utrzymana, ale gminy, które chciałyby mieć na swoim terenie nowe elektrownie wiatrowe, mogłyby w miejscowych planach zagospodarowania przestrzennego uwzględnić ich budowę. O odległości farm wiatrowych od budynków ma decydować za każdym razem pozwolenie środowiskowe, jednak musi wynosić minimum pięćset metrów. Jednocześnie rola konsultacji społecznych ma wzrosnąć, co wynika z projektu ustawy, który zaprezentował w maju resort rozwoju, ale do którego zgłoszono około czterystu uwag. Jeśli zasada zostanie złagodzona i większość kompetencji w wyznaczaniu lokalizacji farm wiatrowych spadnie na samorządy, może to odblokować inwestycje, tak potrzebne z powodu wycofywania z użytku starych i nierentownych elektrowni węglowych. Jak prognozuje Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej, w scenariuszu pesymistycznym w 2030 roku potencjał rynkowy energetyki wiatrowej na lądzie może sięgnąć 11 gigawatów, a w optymistycznym – nawet 22 gigawaty.

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej wiatr już w 2025 roku może się wysunąć na pierwsze miejsce jako źródło produkcji energii elektrycznej w Europie. Stanie się tak głównie z powodu inwestycji w duże farmy wiatrowe na morzu, w czym Unia Europejska przoduje na świecie. Morskie farmy wiatrowe wykorzystują najnowsze technologie i nadal jest tu dużo przestrzeni do dalszych innowacji, jak na przykład pływające farmy wiatrowe czy połączenie morskich wiatraków i elektrolizerów do produkcji wodoru. Unia stwarza też odpowiednie warunki do rozwoju odnawialnych źródeł energii – inwestuje w rozwój sieci i połączeń między państwami, w systemy zarządzania popytem i podażą energii oraz magazyny energii. Oprócz nowych technologii i wspierających je funduszy unijnych ogromne znaczenie mają rosnące ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla, które mocno podnoszą koszty produkcji energii z konwencjonalnych elektrowni.

**instytut
kultury
miejskiej**

Partnerem
Poezji
w „Piśmie”
jest **Instytut
Kultury
Miejskiej**
w Gdańsku

POEZJA

Irena

RENATE SCHMIDGALL

—

To ona była tą wystrzałową, młodą mamą
na ulicy Huttenstraße, a także żoną
właściciela kamienicy i matką dziewczynek,
z którymi się bawiłam. Widzę ją jak idzie
w bikini przez ogród, z naszego okna
na pierwszym piętrze. Lata sześćdziesiąte.

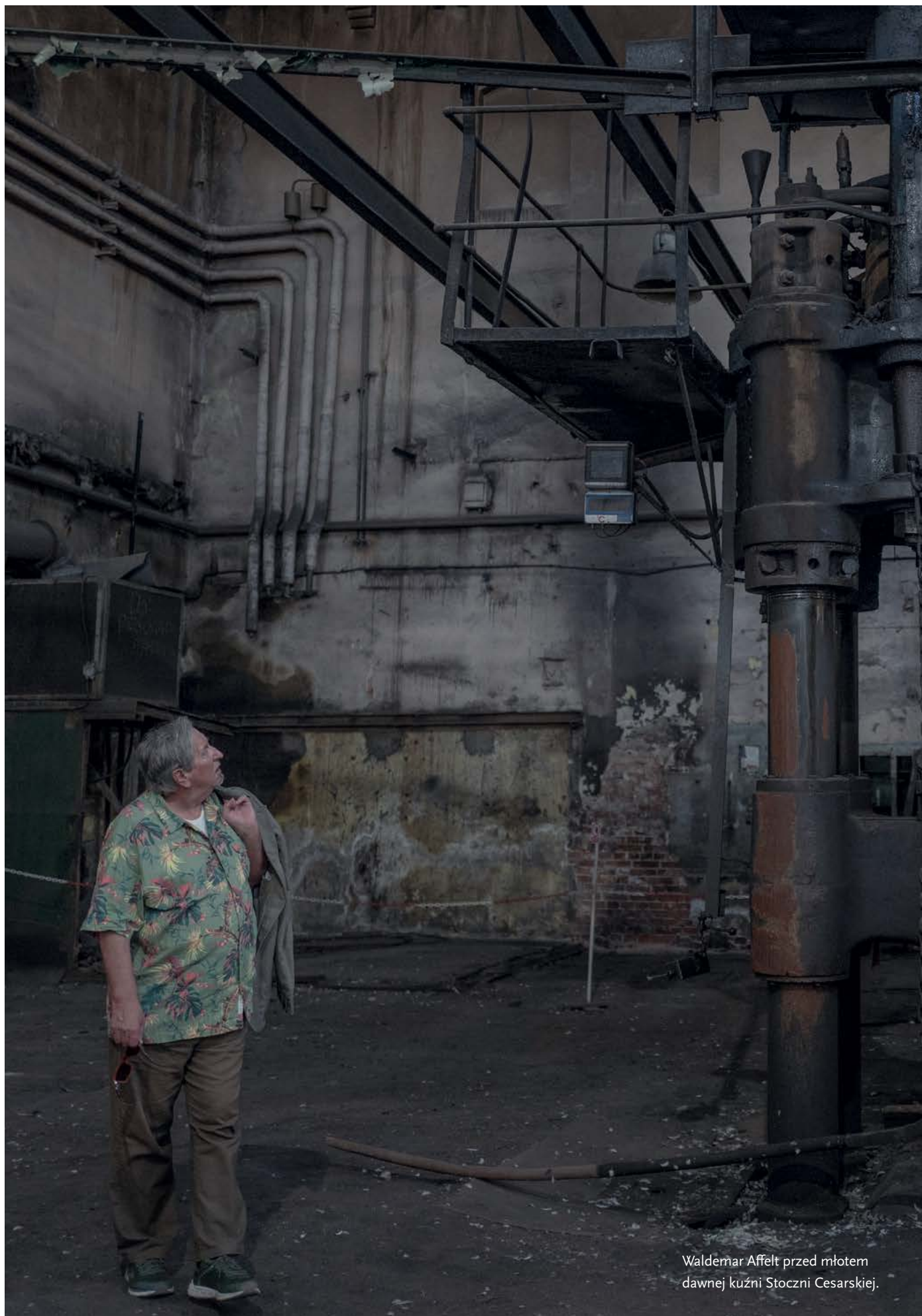
W lipcu znowu ją zobaczyłam, w domu opieki,
sześćdziesięcioośmioletnią. Nie podniosła wzroku,
kiedy przyszła jej córka; czy mnie rozpoznała,
nie wiem. Zamyślane spojrzenie
to wszystko. Od dawna już nic nie mówiła.
Ale zapisywała całe zeszyty, pismem,

obcym jak hieroglify.

przełożyła Sylwia Stano

RENATE
SCHMIDGALL

(ur. 1955), tłumaczka, studiowała slawistykę i germanistykę w Heidelbergu. W latach 1984–1996 pracowała w Deutsches Polen-Institut w Darmstadt. Za tłumaczenia współczesnej polskiej prozy i poezji otrzymała w roku 2001 nagrodę im. Jane Scatcherd przyznaną przez Ledig-Rowohlt-Stiftung, w 2006 roku otrzymała Europejską nagrodę dla Tłumaczy Miasta Offenburg, a w 2009 roku nagrodę im. Karla Dedeciusa.



Waldemar Affelt przed młotem
dawnej kuźni Stoczni Cesarskiej.

Stocznia niemożliwa

tekst FILIP SPRINGER

W SIERPNIU 1980 ROKU ROBOTNICY Stoczni Gdańskiej dokonali niemożliwego. Konsekwencje tamtych wydarzeń zmioły ich zakład z powierzchni ziemi. Historia terenów postoczniovych jest już jednak strasznie banalna. Tylko czy musiała się tak potoczyć?

Mieliśmy się spotkać na szybką kawę, tak w biegu.

– Nie zajmę dużo czasu, chcę ci tylko coś dać – mówił przez telefon.

Trochę inaczej to wyszło. Siedzieliśmy prawie dwie godziny, Michał Szlaga ciągle mówił i nie dawał sobie przerwać. Wpadł spóźniony, w dresie, z wielkim psem na smyczy. Był nakręcony – jakby coś wziął. Dopiero po latach miałem się dowiedzieć, że on nie musi nic brać, żeby osiągnąć ten stan. Raczej na odwrót – powinien ciągle łykać coś na uspokojenie. Ale to było nasze pierwsze spotkanie, wrzesień 2013 roku. Wcześniej jakoś nie było okazji. Ja, rzecz jasna, znałem jego zdjęcia. On wiedział, że dużo piszę o architekturze – dlatego chciał się spotkać. Na stoliku między nami położył wielkie to-miszcze *Stocznia*, które kilka dni wcześniej miało premierę w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Otwierał album co jakiś czas, pokazywał konkretne fotografie. Widać było na nich głównie budynki albo ich ruiny – gruzy, przewrócone żurawie, jakieś

zarośnięte industrie. Na wyklejce książki była mapa – zaznaczono na niej czerwonym kolorem wszystkie obiekty na terenie stoczni, które w ostatnich latach zostały wyburzone.

Mniej więcej połowę.

O tym właśnie jest książka – o wyburzeniu historycznych budynków Stoczni Gdańskiej. Szlaga przez ponad dekadę się temu przyglądał i to fotografował. Wielokrotnie apelował do władz miasta, deweloperów i służb konserwatorskich, by tego nie robić. Ale nikt go nie słuchał – teren stoczni, poza miejscami związanymi z Solidarnością, w przeważającej większości nie był chroniony. Jego historię można było więc swobodnie wymazywać. Dlatego właśnie Szlaga przyjechał wtedy ze *Stocznia* do Warszawy.

– W Gdańsku już spróbowałem wszystkiego. Nic to nie dało – powiedział w pewnym momencie. Chwilę później do lokalu weszła kobieta. Wyszukała nas wzrokiem, a potem, nie zwracając uwagi na mnie i innych gości, krzyknęła:

– Michał, to miało być dziesięć minut! Naprawdę musimy już iść, bo się do niego spóźnimy.

Szlaga spojrzał na mnie z łobuzerskim uśmiechem.

– Fakt, trochę się zasiedziałem – dopił kawę, wstał. – Mam za chwilę spotkanie z premierem. Chcę mu to dać. Żeby już nie miał wymówek, że nie wiedział.

Później się dowiem, że spotkanie w Alejach Ujazdowskich zaplanowane na dwadzieścia minut również się przedłużyło – do ponad godziny. W jego trakcie Donald Tusk znalazł w książce kilka literówek.

„STOCZNIA” JEST JEDNĄ z nielicznych książek fotograficznych, których nie pozbyłem się w czasie kolejnych przeprowadzek. Skąd to moje przywiązanie do albumu zrobionego przez człowieka, którego widziałem raz w życiu, o miejscu, z którym osobiście nic mnie nie łączy?

Olśnienie spłynęło na mnie w sierpniu 2020 roku. Akurat była wakacyjna przerwa w pandemii, przejazdem znalazłem się w Gdańsku, który przygotowywał się do obchodów czterdziestej rocznicy Sierpnia. Z tej okazji Europejskie Centrum Solidarności organizowało poranne spacerki po terenach postoczniovych z uczestnikami tamtych wydarzeń. Jednym z nich był Bogdan

Felski, monter kadłubów, który 14 sierpnia 1980 roku razem z Jerzym Borowczakiem, Bogdanem Borsewiczem i Ludwikiem Prądzyńskim zainicjował tamten strajk.

W pewnym momencie, gdy dotarliśmy w końcu pod salę BHP, jakaś dziewczyna zapytała, czy wtedy, w 1980 roku, spodziewali się, że strajk zakończy się takim zwycięstwem. Że dziewięć lat później upadnie w Polsce komunizm. Felski, jeszcze słuchając pytania, kręcił głową, a potem bez chwili namysłu odpowiedział:

– Nie, nie, to było nie do pomyślenia. Myśmy się nie mogli niczego spodziewać, bo my, proszę pani, nawet nie mieliśmy pewności, czy ktokolwiek ze stoczniovców będzie chciał się przyłączyć do strajku.

Nie, żebym wcześniej tego nie wiedział, ale wiedzieć a rozumieć, to są jednak dwie różne sprawy. Tamtego ranka dotarło do mnie, że w stoczni w 1980 roku dokonało się niemożliwe. Coś, czego nie było nawet sensu wypowiadać głośno. A jednak ktoś miał odwagę i to zrobił. I nagle zmieniło się wszystko.

Zaraz potem przypomniałem sobie też książkę Szlagi, która przecież opowiada o tym, jak cała ta wspaniała historia okrutnie się zbanalizowała. Jak na teren stoczni wjechały buldożery, jak zniszczyły jej historyczną zabudowę pod nowe ulice, osiedla, sklepy i biura, które dopiero tu powstaną. Jak historię tego miejsca uproszczono i dostosowano do politycznych, bieżących oczekiwań. Jak stocznnię sprzedano, rozparcelowano i rozmienniono na drobne. Jak wycięto rosnące tu drzewa, choć w gruncie rzeczy nikomu nie przeszkadzały. Ta historia, którą Szlaga opowiedział w swojej książce, jest smutna, ale tak naprawdę straszliwie nieciekawa. Pełno takich w Polsce. Upadek przemysłu, rozczarowanie ludzi, pustka, rynek, pieniądze, deweloperka. Ile tego było? Ile można?

Wyjątkowe jest tu jedynie wierzgnięcie historii. W stoczni zaczął się wielki, dziejowy proces, który później to samo miejsce przykładnie zmiotł.

Może jednak lepiej zrobić skok wstecz i przestać patrzeć na stocznnię jak na odtłamek historii, transformacyjne pobojuwisko. Mamy dzisiaj całą górę problemów do rozwiązania: kurczącą się demokrację i puchnący kapitalizm, populizm, partykularyzm,

indywidualizm, zmiany klimatu i załamanie bioróżnorodności. Każdy z tych problemów z osobna i wszystkie razem wydają się nie do rozwiązania. Stajemy przed nimi, zadzieramy głowy, by ujrzeć ich wierzchołek. Szukamy ratunku, wskazówek. Może więc trzeba potraktować stocznnię jak poligon Niemożliwego? Skoro raz się tu udało zamienić je w Możliwe, może jest jakiś sposób, by to powtórzyć? Czy ta banalna historia mogła potoczyć się inaczej? Czy stocznia jest miejscem, w którym łatwiej się wymyśla inny świat?

PRZEZ CAŁE LATA jedynymi chronionymi zabytkami na terenie stoczni były: budynek ze słynną salą BHP, w której podpisało porozumienia sierpniowe, brama numer 2 – wizualna ikona tamtych wydarzeń – i Pomnik Poległych Stoczniovców. Cała

Może lepiej przestać patrzeć na stocznnię jak na odtłamek historii, transformacyjne pobojuwisko. Mamy dzisiaj całą górę problemów do rozwiązania: kurczącą się demokrację i puchnący kapitalizm, zmiany klimatu i załamanie bioróżnorodności.

reszta nie miała znaczenia. Tymczasem historia Stoczni Gdańskiej sięga pierwszej połowy XIX wieku. W nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1840 roku zator lodowy w Płoni Wielkiej spiętrzył Wisłę, a jej wody przelały się przez znajdującą się tu wydmy i rozmyły ją. W ten sposób powstało drugie, naturalne ujście Wisły do morza, płynące tak spokojnie, że nazywano je z czasem Martwą Wisłą, czasem Leniwką, a po kaszubsku *Zgniłó Wisłą*. Przyczyniło się do powstania na terenach tak zwanego Młodego Miasta bazy remontowej korwet, która przekształciła się w pełnoprawną, królewską stocznnię budującą także nowe statki.

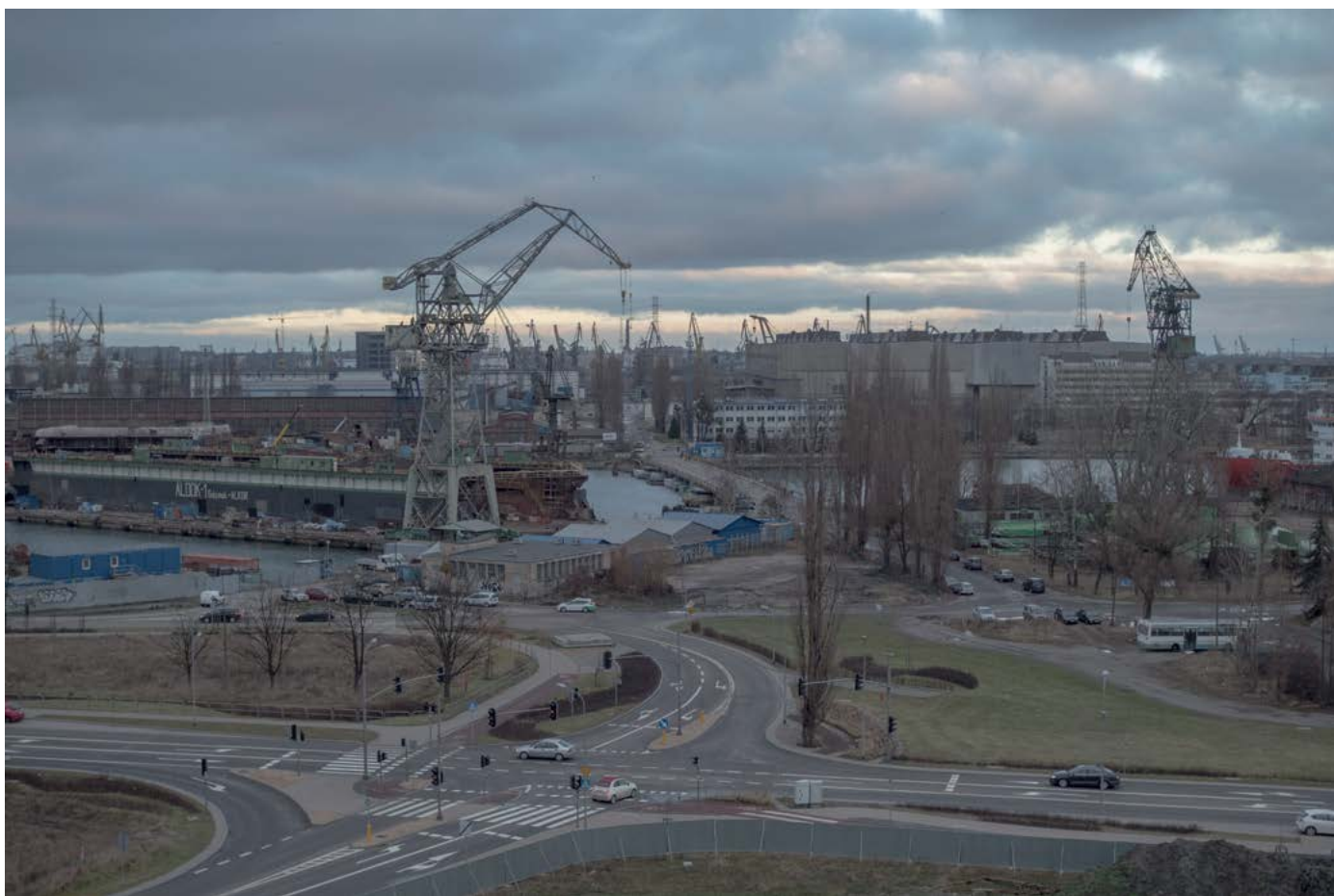
W 1871 roku Prusy wygrały wojnę z Francją i dzięki wielkim kontrybucjom mogły unowocześnić całe państwo. Na fali tej modernizacji rozwinęła się także i gdańska stocznia, przyjąwszy miano Stoczni

Cesarskiej. Pod koniec XIX wieku na północ od niej swój zakład o podobnym profilu założył elbląski potentat przemysłowy Ferdynand Schichau. Podczas wojen światowych obie stocznie zaopatrywały niemiecką marynarkę wojenną w okręty podwodne. Pozostałości tej historii to kilkadziesiąt hal – począwszy od ceglanych, skończywszy na żelbetowej hamowni silników u-botów – a także pochylnie, warsztaty, budynki obsługujące produkcję, zaplecze socjalne, domy mieszkalne stoczniovców, sieć zakładowych ulic i torowisk, a także zespół rezydencyjny dyrektora stoczni wraz z parkiem. Powojenna historia stoczni dopisała tu kolejne rozdziały i nowe obiekty.

W czterdziestą rocznicę podpisania porozumień znów pojechałem do Gdańska, by posłuchać przemówień na miejskich obchodach rocznicy. – Sześć lat temu razem z Pawłem Adamowiczem długo się zastanawialiśmy, jak otworzyć Europejskie Centrum Solidarności. Najtrudniej oczywiście wymyślić coś prostego – wspominał na zakończenie uroczystości Basil Kerski, dyrektor Centrum. – W końcu pomyśleliśmy, że staniemy tu 31 sierpnia o godzinie 10:00 i otworzymy razem z Lechem Wałęsą tę bramę. Tak jak on ją wtedy otwierał. Ta brama prowadzi do Centrum, ale też do sali BHP i do wielkiej, europejskiej rewolucji Solidarności.

Nawet gdyby Kerski chciał, nie mógłby wymienić zbyt wielu budynków, do których prowadzi dziś ta symboliczna brama. Choćby do wielkiej, modernistycznej stołówki stojącej nieopodal aż do trzydziestej rocznicy porozumień. Wyburzono ją w pośpiechu w przeddzień obchodów. Albo do stoczniowej przychodni lekarskiej. Nie wspominając już o kilku stoczniowych halach, które miało się w zasięgu wzroku, idąc od bramy w kierunku dyrekcji zakładu. Historia, której kulminacją i początkiem był tamten Sierpień, rozegrała się w scenerii o stuletniej historii. Jednak gdy chodziłem po tym terenie z Bogdanem Felskim, stoczniovec, opowiadając o początkach strajku, mógł jedynie wskazywać kolejne pustki. Tu było... Tam stał... Resztę musieliśmy sobie wyobrażać.

– W zasadzie wszystkim było wygodnie uznać, że historia stoczni zaczyna się i kończy na historii Solidarności. Do tego wystarczy kilka ikon. Reszta jest zbędna. Tak jest



Widok z dachu Europejskiego Centrum Solidarności na wyspę Ostrów, na której ciągle działa Gdańska Stocznia Remontowa.

poręcznie – powiedział mi Szlaga, gdy nieoczekiwanie wpadłem na niego w tłumie uczestników uroczystości.

Od wielu już lat obchody kolejnych rocznic porozumień sierpniowych są ilustracją podziału toczącego Polskę. Na organizowanych przez miasto i Europejskie Centrum Solidarności obchodach stawiają się Lech Wałęsa, Bogdan Borusewicz, Henryk Krzywonos czy Władysław Frasyniuk. Na tych oficjalnych jest kierownictwo Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” i przedstawiciele władz państwowych. Obie uroczystości co do minuty rozplanowane, tak aby uczestnicy pierwszych nie musieli się spotkać z uczestnikami tych drugich.

Czy jednak zamiast upraszczać historię, szukać w niej tylko tych krystalicznie dobrych momentów i tych smolście złych, dałoby się ją tutaj jakoś skomplikować? Zniuansować?

— SZLAGA PODPOWIADA, bym szukał odpowiedzi na te pytania u Waldemara Affelta, znawcy zabytków, specjalisty od dziedzictwa przemysłowego i autora jednego z tekstów w jego książce.

Affelt zgadza się oprowadzić mnie po stoczni. Spacer zaczynamy od obiadu w Barze Iwona. Jest ciepło, zamawiamy i chwilę później zasiadamy przed kopiastymi talerzami w ogródku na zewnątrz.

– Proszę zwrócić uwagę na ten stół, jest połączony z siedziskami – mówi Affelt nim zaczniemy jeść. – Pamięta jeszcze czasy świetności stoczni, takie były w stołówkach wydziałowych. Są nieco wyższe niż zwykłe stoły, siedziska również. To sprawia, że nie da się przy nich rozsiąść i rozleniwzić. Ale jednocześnie nie trzeba jeść na stojąco, bo to przecież niezdrowo. Zaprojektowano je dla robotników w stoczni.

W swoich badaniach i tekstach Affelt posługuje się często pojęciem „*milieu* historii” – czymś, co wydaje się dobrym narzędziem do komplikowania i niuansowania opowieści o historii miejsca takiego jak stocznia. „*Milieu* historii jest dowodem aktywności ludzkiej, która łączy ludzi z miejscami, tworząc zależności, jakie możemy oglądać, odczuwać i zrozumieć” – pisze w jednym ze swoich tekstów. Składają się więc na to pojęcie nie tylko materialne obiekty, zabytki, tak jak się to słowo powszechnie rozumie, ale też niematerialne skutki ich istnienia.

– Weźmy te siedziska i stołki – tłumaczy mi Affelt. – W świetle obecnie obowiązującej doktryny konserwatorskiej ich wartość wyraża się tylko w ich materialności. Są? To dobrze. Są w niezłym stanie? To świetnie. Ale gdy przyłożymy do tego pojęcie *milieu*, zaczynamy rozumieć, że ich główna wartość objawia się w tym, że możemy przy nich usiąść wśród ludzi pracy, zjeść tę górę tłustego jedzenia, jaką serwuje nam tu pani Iwona, i że choć siedzimy na zewnątrz, czujemy zapachy dochodzące z kuchni. I że te zapachy mieszają się z łomotem przemysłu gdzieś tam, w tle. Oto jest *milieu* w pełnej krasie. To trzeba chronić, żeby nie upraszczać historii. A teraz chodźmy, coś panu pokażę.

Spodziewałem się, że pójdziemy między te nieliczne, stoczniowe hale, jakie jeszcze się tu ostały, ale Affelt dziarskim krokiem rusza w stronę Europejskiego Centrum Solidarności. Przechodzimy przez ulicę Popiełuszki – nowy kręgosłup powstającej tu dzielnicy, pod budowę którego rozebrano willę dyrektora, a przylegający do niej ogród wycięto w pień. Zatrzymujemy się nieopodal sali BHP, przy skrawku wydeptanego trawnika.

– Tędy przez ponad wiek biegła ulica Dyrekcyjna, była krótkim ukośnym ciągiem

komunikacji między ulicą Doki a Placem Dyrekcyjnym. Codziennie przechodzili nią robotnicy zmierzający do pracy – Affelt pokazuje mi ręką oś tych wędrówek – budowa ulicy Popiełuszki i biegnącej kawałek stąd Drogi do Wolności spowodowały, że Dyrekcyjną wymazano z mapy.

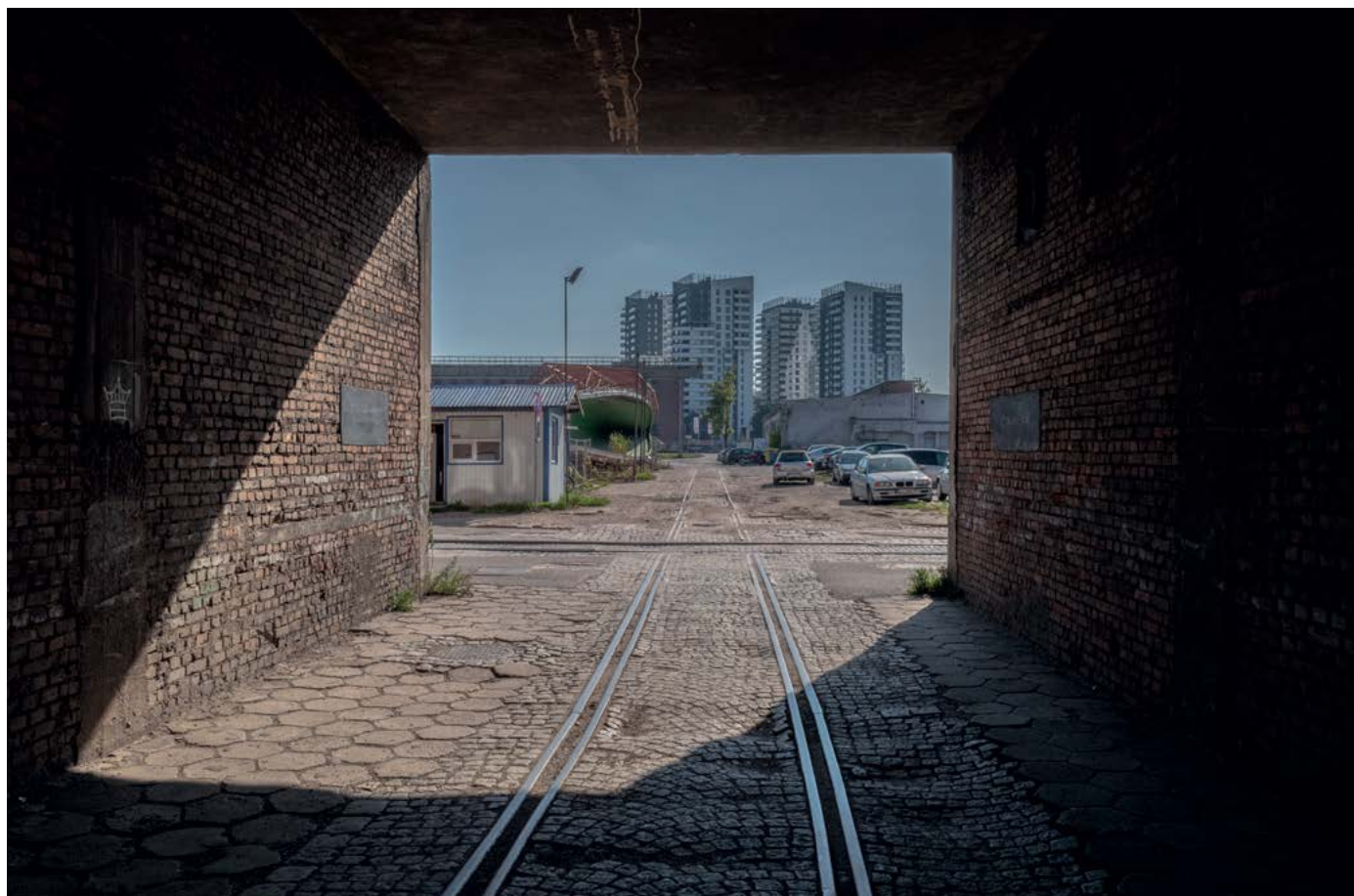
Tutaj Affelt uśmiecha się jednak chytrze i pokazuje na ścieżkę wydeptaną na trawniku: – Ale ludzie pamiętają, tam, w tych hałach i na Ostrowie pracują jeszcze robotnicy, w budynku dyrekcji są dziś biura, jakieś pracownie – pełno tam młodych kreatywnych, czy jak tam się oni teraz nazywają. Wszyscy ci ludzie przychodzą od strony miasta, przez bramę. Przemierzają szlak wydeptany od pokoleń przez stoczniowców. Idą Dyrekcyjną, choć Dyrekcyjnej już nie ma! To jest właśnie *milieu* historii – człowiek w przestrzeni.

Bardzo lubię tekst, który Affelt napisał do książki Szlagi. Jest prosty i poruszający. Zaczyna się od zdania: „Jeżeli tu nie ostanie się nic, to...”, a potem leci wypisana

drobnym drukiem wyliczanka miejsc i przedmiotów związanych ze stoczną przeszłością Gdańska. Wśród nich jest plan Gdańska z 1886 roku, na którym widać stocznię, płyta nagrobna rodziny Klawittrów na Cmentarzu Nieistniejących Cmentarzy, rudowęglowiec „Sołdek” – „pierwszy pełnomorski statek w całości polskiej produkcji”, tablice dwudziestu jeden postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i wiele, wiele innych. Czytając tę listę, można się zagubić w wielowiekowej, złożonej historii miasta i zapomnieć o rozpoczynającym ją zdaniu: „Jeżeli tu nie ostanie się nic, to...”. Przypomina o nim dopiero na końcu puenta, którą podsumowuje swoją listę Affelt. Píše: „... zaświadczą wraz z tą książką przyszłym pokoleniom o dzieciństwie materialnym i niematerialnym tego miejsca, ale także o tożsamości jego rewitalizatorów i pozostałych interesariuszy różnego autoramentu, którzy zostawiają po sobie krajobraz postocznioży mówiący prawdę o nich samych...”.

— WALDEMAR AFFELT poznał Michała Szlagę 8 grudnia 2008 roku w działającym wtedy na terenie byłej stoczni Instytucie Sztuki Wyspa. Tego dnia odbywała się tam premiera filmu *A teraz to?*, poświęconego tym terenom. Tytuł niezwykle ważny, bo i moment był dla stoczni przełomowy. Po upadku zakładu w 1999 roku jego tereny zostały przekazane spółce Synergia 99, deweloperowi gruntowemu, której zadaniem było przekształcanie ich w działki inwestycyjne. Wszyscy wiedzieli, że ten proces miał zająć kilka dobrych lat, więc Synergia na teren stoczni zaprosiła artystów. Przejęli oni budynek centrali telefonicznej, stworzyli tam pracownie, warsztaty i studia nagraniowe. Wśród nich znalazł się też Michał Szlaga – wówczas student i fotograf, który pierwszy raz trafił do stoczni pod koniec lat 90., by wykonać proste zadanie fotograficzne na zaliczenie w Akademii Sztuk Pięknych. Tak mu się tam spodobało, że został dłużej. Urządził sobie pracownię na wysokim

Bastion Wałowa – pierwsze osiedle deweloperskie wyrosło na terenach dawnej stoczni.



piętrze budynku centrali. Kolonia Artystów oraz Instytut Sztuki Wyspa przez kilka lat były ważnymi punktami na mapie gdańskiej kultury. Tak jak działające na podobnych zasadach Modelarnia czy hala 424A, gdzie spektakle dla Teatru Wybrzeże wystawiał Jan Klata. W niektórych przedstawieniach grali pozbawieni pracy stoczniovcy. W willi dyrektora od 2004 roku aż do jej rozbiórki działał z kolei Teatr Znak. W 2002 roku artysta Grzegorz Kłaman po raz pierwszy uruchomił swoją Subiektywną Linie Autobusową. Czerwony ogórek zabierał wszystkich chętnych na dziewięćdziesięciominutowy objazd po stoczni, podczas którego przewodnikami byli jej pracownicy.

W filmie *A teraz co?* zrealizowanym przez Agnieszkę Adamek i Malwinę Toczek wypowiadają się artyści i artystki działający w stoczni, a także przedstawiciele władz miasta i deweloperów. „Wydawało nam się, że sprowadzenie artystów, młodych ludzi twórczych, którzy nie są obciążeni historią tego miejsca, da nowego ducha” – mówi w pewnym momencie Andrzej Kwiatkowski, prokurent firmy Synergia 99. Ta wypowiedź dotyczy początków Kolonii, czasu, kiedy artystka Iwona Zając malowała na stoczniowym murze (dwadzieścia trzy przeszła, 250 metrów) ogromny mural przedstawiający życie i pracę stoczniovców.

Ta sama Zając cztery lata później mówi w filmie: „Szczepnie mówiąc, nie wydaje mi się, byśmy byli komukolwiek potrzebni”. Chwilę wcześniej dowiedziała się, że deweloper postanowił pozbyć się artystów ze swojego terenu. Kolonia dostała kilka tygodni na wyprowadzkę. Przed zabranieniem rzeczy z pracowni Zając starannie zamalowała swój mural ze stoczniovcami.

W *A teraz co?* wypowiada się też ówczesny prezydent Gdańska Paweł Adamowicz: „Tam będzie trzy i pół tysiąca mieszkań, dziesięć tysięcy mieszkańców” – mówi uśmiechnięty, a na ekranie widać makietę nowej dzielnicy pnącej się pod niebo szklanymi wieżami.

— SZUKAJĄC W HISTORII stoczni Niemożliwego, próbuję spojrzeć na tamten czas jak na zaczątek alternatywnego scenariusza, który wcale nie musiał się zakończyć wyprowadzką

artystów z Kolonii. Opowiadałam o tym Mateuszowi Zmyślonymu, współtwórcy Open Eyes Economy Summit w Krakowie, który razem z profesorem Jerzym Hausnerem opracował koncepcje firmy-idei i miasta-idei. – Przyszłość należy do firm, które będą uczciwie realizowały misję społeczną – tłumaczy mi Zmyślony. – Głównym celem firmy jest tu wytwarzanie dobra wspólnego, pewnej społecznie użytecznej jakości.

Dzisiaj tereny postoczniove są już podzielone między deweloperów i fundusze inwestycyjne, a miasto ma tu zaledwie dwie niewielkie parcele. Jedną z ostatnich działek została wystawiona na licytację za 40 milionów złotych, a kupiono ją za 220 milionów złotych.

Zgodnie z tym pomysłem deweloperzy powinni po prostu pozwolić trwać Kolonii Artystów, Modelarni, Wyspie i wszystkim innym inicjatywom kulturalnym na terenach postoczniovczych. A inwestować i zarabiać pieniądze tam, gdzie nie przeszkadza to rozwijaniu kultury. W ten sposób rosłoby jakość tej przestrzeni i jej wartość. Pomysł piękny, już prawie się w nim zakochałam, mam jednak kilka wątpliwości. Zmyślony i Hausner sami podkreślają w swoich tekstach i opracowaniach, że realizacja firmy-idei i opartego na niej miasta-idei jest łatwiejsza w gospodarce, która traci wiarę w nieskończony linearny wzrost. – Trochę mnie już żenuje – mówi Zmyślony – powtarzanie tego wyświechtanego komunału, że na planecie o skończonych zasobach nie da się osiągać nieskończonego wzrostu. Można się temu opierać, można temu pomóc. Ale to i tak przyjdzie.

Dodaje, że w tej fazie, w której jesteśmy dzisiaj, nazwijmy ją optymistycznie fazą przejściową, można mądrze pomagać powstawaniu firm-idei i miast-idei. – Gdyby miasto miało na terenach postoczniovczych trochę działek, mogłoby swoimi działaniami wymuszać pewne procesy – twierdzi Zmyślony. – Jeśli wszystko znajduje się w rękach deweloperów, jest to trudniejsze.

Była taka szansa. Pod koniec lat 90. upadająca Stocznia Gdańska zalegała miastu z rozlicznymi opłatami komunalnymi i podatkami. Jednym z pomysłów na rozliczenie tych zaległości było przekazanie miastu terenów, z których zakład się wycofywał. Ówczesny prezydent, Tomasz Posadzki, kazał nawet przygotować analizy takiego przejęcia. Ich autorem był Roman Sebastyański, urbanista po uczelni w Rotterdamie, ściągnięty do magistratu, żeby aktywizować inwestycyjnie miejskie grunty. Gdy plan był gotowy, prezydent przedstawił go radnym, ale ci odrzucili pomysł. Przewodniczącym Rady Miasta był wtedy Paweł Adamowicz, który wkrótce został wybrany na nowego prezydenta miasta. Gdy przejął stery w urzędzie, Sebastyański stracił tam swoją autonomię i przeszedł do Synergii 99. To on w imieniu spółki zaprosił artystów do stoczni i pozwolił im stworzyć Kolonię.

Dzisiaj tereny postoczniove są już skrupulatnie podzielone między deweloperów i fundusze inwestycyjne, a miasto ma na tym obszarze zaledwie dwie niewielkie parcele. Trudno sobie wyobrazić, by przy obecnych cenach ziemi było w stanie zwiększyć swój stan posiadania. Jedną z ostatnich działek na terenie dawnej stoczni została wystawiona na licytację za 40 milionów złotych, a kupiono ją za 220 milionów złotych.

— DEWELOPER TO KTOŚ, kto zajmuje się *development* (ang. rozwojem) rozumianym dzisiaj jako zwiększanie wartości nieruchomości – działki lub budynku. Zysk akumuluje lub inwestuje w kolejny podobny proces. Szukając Niemożliwego, muszę więc znaleźć dewelopera-ideę – kogoś, kto nie postrzega rozwoju i wartości jedynie w kategoriach finansowych. Dzwonię więc do Pawła Jaworskiego, który pod marką Experimental Urbanism doradza miastom, jak humanizować przestrzeń. Opowiadałam mu o moim pomysle. – Czekaj, ale mówisz o jakimś abstrakcyjnym bycie czy o Szczecińskim Towarzystwie Budownictwa Społecznego (TBS)?

Szczecińskie TBS działa od połowy lat 90. Zarządza zasobem komunalnym miasta, prowadzi rewitalizację pełnego kamienia Śródmieścia, a przede wszystkim buduje nowe mieszkania na wynajem w ramach

kilku programów skierowanych do grup, którym szczególnie grozi mieszkaniowe wykluczenie. I tak na przykład Dom dla Seniora to dostosowane do potrzeb osób starszych lokale w centrum miasta. Ich najemcy mogą korzystać między innymi z usług opieki domowej. Dom na Start skierowany jest do dorosłych wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych oraz usamodzielniających się osób z niepełnosprawnościami. Dom dla Dziecka to zaś oferta dla osób lub organizacji chcących stworzyć rodziny zastępcze albo rodzinne domy dziecka. Nazwy innych programów mówią same za siebie: Dom dla Studenta, Dom dla Absolwenta, Dom Dużej Rodziny, Nowy Dom.

Projekty budynków wznoszonych przez Szczecińskie TBS są wyłaniane w konkursach architektonicznych. Spółka często inwestuje na niewdzięcznych działkach w trudnych dzielnicach. Prowadzi też rewitalizację zniszczonych kamienic we współpracy ze służbami konserwatorskimi. Wszystko to mieści się więc w szeroko pojmowanych kategoriach działalności deweloperskiej. Jest działka, jest inwestycja, jest wzrost wartości. – Ale tę wartość rozumiemy szerzej niż tylko w kategoriach finansowych. Mamy ten luksus, że zgodnie z prawem spółki z udziałem publicznym nie muszą działać dla zysku – mówi mi prezeska TBS Grażyna Szotkowska. – Budując mieszkania dla określonych grup mieszkańców, tworzymy wartość społeczną. Wspierając słabszych, wzmacniamy wspólnotę.

Szotkowska zwraca jednak uwagę, że tak pojmowane podnoszenie wartości oznacza wyzwania. Szczecińskie TBS buduje zwykle drożej niż prywatni deweloperzy. Oni muszą oszczędzać, by móc potem zaoferować konkurencyjną cenę za metr. – Dlaczego więc w każdym mieście nie ma kogoś takiego jak wy? – krzyczę niemalże do słuchawki. Szotkowska się śmieje: – Nie wiem, proszę pana. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Z tym samym pytaniem wracam więc do Pawła Jaworskiego. On również się ze mnie śmieje: – Rozumiem twój entuzjazm, muszę go jednak chyba nieco ostudzić. To oczywiście dobrze, że jest takie Szczecińskie TBS, fajnie, aby było ich więcej, choćby w każdym mieście po jednym. Byłbym jednak ostrożny z szukaniem dla takich postaw analogii

W 2009 roku okazało się, że gruz z demontowanej po kawałku kolebki Solidarności wywożony jest na budowę płyty fundamentowej nowego gdańskiego stadionu szykowanego na Euro 2012. Rok później padły stołówka centralna, budynek 140B przy bramie numer 3 i brama towarowa stoczni.

na rynku. Oczekiwanie od deweloperów, że będą się zachowywać inaczej, niż pozwalają im na to warunki, byłoby oczekiwaniami, by zachowywali się nielogicznie.

Jaworski zwraca uwagę, że deweloperzy istnieją, by realizować cele ekonomiczne. To system, w obrębie którego działają, powinien być tak skonstruowany, by osiągać cele wyższe, które wymykają się rachunkowi ekonomicznemu – może to być dobro wspólne, solidarność, wspólnota albo ochrona obszarów szczególnie ważnych z punktu widzenia dziedzictwa czy środowiska.

TE WYŻSZE CELE wyrażają się teoretycznie w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Mają one zapewniać prawa wspólnoty do rozsądnego zagospodarowania przestrzeni. W 2004 roku te prawa mieszkańców i mieszkanki Gdańska zostały, zgodnie z tą teorią, zapewnione – wybrana w demokratycznych wyborach Rada Miasta zatwierdziła dla Młodego Miasta miejscowy plan zagospodarowania. Dokument zakłada intensywną zabudowę na sporej części postocznioowego obszaru i ograniczenie funkcji publicznych do absolutnego minimum. Nie przewiduje właściwie w ogóle powstania w nowej dzielnicy terenów zielonych. Jej kręgosłupem ma być szeroka arteria komunikacyjna z linią tramwajową pośrodku – nazwana roboczo Nową Wałową (dziś jej fragment to już ulica Popiełuszki). Przy uchwalaniu planu zignorowano historyczny charakter większości postocznioowych budynków, nie były bowiem objęte zapisami konserwatorskimi.

Michał Szlaga mówi wprost, że ten plan był dla dziedzictwa stoczni zabójczy.

– Trzeba pamiętać, że taka korekta oznaczałaby konieczność wypłaty bardzo wysokich odszkodowań wszystkim tym, którzy kupując tam działki, kierowali się starym planem. W państwie prawa każda zmiana warunków w trakcie gry zmusza państwo do wypłacenia rekompensaty – tłumaczy profesor Piotr Lorens, urbanista. – Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nie ma tam żadnych zapisów dotyczących wysokości i dlaczego są bardzo skromne ograniczenia dotyczące intensywności zabudowy. Z dzisiejszego punktu widzenia jest to bardzo liberalny dokument, ale też trzeba pamiętać, że w czasach, w których powstawał, inwestorzy nie walili do Gdańska drzwiami i oknami.

Piotr Lorens jest od niedawna architektem miasta. Wcześniej pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Urbanistów Polskich, kieruje też Katedrą Urbanistyki i Planowania Regionalnego na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej. W swoim bogatym dorobku profesor ma także wielokrotną współpracę z Synergią 99. W 2003 roku, jeszcze przed uchwaleniem planu zagospodarowania, przygotował na zlecenie tej spółki projekt podziału geodezyjnego należących do niej terenów postocznioowych. W 2005 roku zaś, gdy plan już obowiązywał, kierował zespołem opracowującym dla Synergii tak zwane studium kubaturowe. Twórcy tego dokumentu założyli sobie bardzo ambitny i szczytny cel. Uznali, że zapiszą w nim to, czego nie ma w miejskim planie zagospodarowania przestrzennego. W studium znalazły się więc zalecane nieprzekraczalne linie zabudowy, obszary wyłączone z inwestowania i wskazania obiektów niezbędnych do zachowania. Takich, które są cenne, ale nie zostały objęte państwową ochroną. Mogło się wręcz zdawać, że Synergia chce być mądrzejsza niż miejscy planiści w 2004 roku. Wkrótce potem spółka zaczęła jednak wyprzedawać swoje działki i tym samym straciła jakąkolwiek kontrolę nad tym, co się będzie na nich działo. Studium kubaturowe opracowane przez zespół Lorensa miałoby sens, gdyby całym tym terenem nadal zarządzała jedna firma. W sytuacji właścicielskiego rozdrobnienia pozostało już tylko zbiorem pobożnych życzeń.

Dowodem może być pomysł spółki Atrium, która w 2007 roku ogłosiła, że zamierza wybudować w bezpośrednim sąsiedztwie sali BHP i bramy nr 2 wielką galerię handlową. Plany pokrzyżował światowy kryzys ekonomiczny.

– Z Synergii odszedłem, gdy zrozumiałem, że ta spółka ma charakter czysto spekulacyjny – mówi Roman Sebastyański. – Im nie zależało na budowaniu zrównoważonego miasta, tak jak to wielokrotnie deklarowali. Chodziło wyłącznie o pomnażanie kapitału funduszy inwestycyjnych, które w międzyczasie stały się ich udziałowcami.

Pracując w Synergii, Sebastyański wielokrotnie spotykał się i współpracował z dzisiejszym architektem miasta. Gdy pytam go o rolę profesora Lorensa w tym, co się wydarzyło na terenach postoczniowych, milczy dłuższą chwilę, a później mówi: – Na zachodniej uczelni ktoś taki byłby spalony. Trzeba się zdecydować: chcesz być po stronie biznesu i dla niego pracować? Okej. Ale wtedy nie możesz korzystać z autorytetu

instytucji publicznej, jaką jest uczelnia, albo organizacji środowiskowej, czyli Towarzystwa Urbanistów Polskich. Nie da się stać pośrodku.

Jak więc ocenia fakt, że Lorens jest dziś architektem miasta?

– A to akurat jest dość proste. Wzięli go, żeby posprzątał ten bałagan. Deweloperzy i ratusz są dziś w klinczu. Miasto wie, że oni mogą tam zrobić, co chcą, i że jak zmieni teraz plan, to się im nie wypłaci. Deweloperom zaś nie opłaca się iść z miastem zupełnie na noże. Urząd może im komplikować życie – nie tam, to gdzie indziej. Do tego dochodzą kwestie konserwatorskie, które pojawiły się po całym tym zamieszaniu, jakie spowodował swoją książką Szłaga. Miasto może tu być mediatorem między biznesem a służbami konserwatorskimi.

—
JESZCZE W CZASIE wyprowadzki z Kolonii Artystów Michał Szłaga co jakiś czas odkładał pakowanie, łapał za aparat i biegł pod

olbrzymi budynek kotłowni (A2) z 1928 roku, który po sąsiedzku właśnie wyburzano. Nie tylko ten jeden, w 2008 roku zniknęły willa dyrektora, domek ogrodnika, pamiętający koniec XIX wieku budynek mieszkalny dla stoczniowych urzędników przy ulicy Kooperantów i hala 2A. W 2009 roku poseł Arkadiusz Rybicki ujawnił, że gruz z demontowanej po kawałku kolebki Solidarności jest wywożony na budowę płyty fundamentowej nowego gdańskiego stadionu szykowanego na Euro 2012. Rok później padły stołówka centralna, budynek 140B przy bramie numer 3 i brama towarowa stoczni. Piątego stycznia 2011 roku z nabrzeża stoczniowego w celu zezłomowania został odholowany żuraw pływający Jurand, kilka tygodni później w stertę gruzu zmieniły się ostatnie budynki mieszkalne wybudowane dla stoczniowców przez Schichaua pod koniec XIX wieku. W tym samym roku wmurowano kamień węgielny pod Europejskie Centrum Solidarności. Szłaga fotografował tę uroczystość z balkonu swojego

Widok na Europejskie Centrum Solidarności z terenu dawnego wydziału K-2 w 2018 roku. Dziś na tym terenie powstaje Młode Miasto.



mieszkania przy ulicy Jana z Kolna. Kupił je w 2009 roku, by mieć baczenie na stocznię. Gdy Centrum rośło w górę, stocznia dosłownie się rozpadała.

Czwartego marca 2013 roku w sali BHP odbyła się zorganizowana z inicjatywy Centrum dyskusja „Tereny postoczniove i filozofia ich zagospodarowania”. Zostało na niej zaprezentowane opracowanie profesora Jacka Dominiczaka z gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. – Tereny postoczniove, choć przez całe dziesięciolecie były odcięte od miasta, są tak naprawdę ściśle i płynnie z nim powiązane – tłumaczy dziś Dominiczak. – Wystarczy przeanalizować siatkę ulic i układ budynków, tych istniejących i tych, które niestety wyburzono, by zobaczyć, że i tu, i tam rządzi ta sama logika. To jedno miasto.

Na podstawie badań Dominiczak i jego studenci przygotowali opracowanie zagospodarowania terenów postoczniove. Respektuje ono starą siatkę ulic, którymi poruszali się stoczniovcy, a nawet ich nazewnictwo (ulice: Kadłubowców, Narzędziowców, Transportowców, Elektryków i tak dalej). Kwartałowa zabudowa, wąskie ulice z uspokojonym ruchem jednokierunkowym i deptakami. Zieleń miejska tam, gdzie istniały zielone enklawy. Dominiczak: – Polska urbanistyka nie ma dziś żadnej własnej teorii. Kiedyś był nią modernizm, zastąpiła go ekonomia. W naszym pomysłu teorią była idea miasta dialogicznego, przestrzeni, która wykazuje ciągłość z tym, co obok.

Po prezentacji Dominiczaka głos w dyskusji zabrała Małgorzata Omilanowska, ówczesna podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. „Już nawet na pierwszy rzut oka widać, że propozycja Dominiczaka jest o niebo lepsza od tego, co się dziś na terenie stoczni próbuje wycyzniać” – powiedziała bez ogródek, a sala nagrodziła ją oklaskami. Wśród bijących brawo był Michał Szlaga, ale też Katarzyna Tusk. Gdy wróciła po tej dyskusji do domu w Sopocie, opowiedziała ojcu o przebojowej pani z Ministerstwa Kultury, która w końcu powiedziała głośno, że w stoczni źle się dzieje.

Rok później Omilanowska odebrała telefon z kancelarii premiera z zaproszeniem na spotkanie. Jej ówczesny szef Bogdan Zdrojewski zamienił właśnie tekę ministra na mandat eurodeputowanego. Opowiedziała mi, jak wyglądała rozmowa. „Czy interesuje panią mało płatna, ciężka i sprawiająca niewiele satysfakcji praca ministra?” – rzucił na początku spotkania Donald Tusk. „Tak, ale skąd w ogóle pomysł, że to mam być ja?” – zapytała Omilanowska. „Córka mi podpowiedziała” – padła odpowiedź. Przez następnych kilkadziesiąt minut rozmowa dotyczyła głównie tego, co się dzieje na terenie Stoczni Gdańskiej.

Bohaterami zdjęć są drzewa. Rząd jarzqbów szwedzkich przy ulicy Kooperantów, kasztanowce nieopodal budynku dyrekcji, wierzyby, lipy i jabłonie rosnące przy Warsztatach Szkolnych (145B). Sąsiadujące ze sobą fotografie obrazują kolejność zdarzeń. Na jednym zdjęciu drzewa stoją, na drugim już leżą.

– Donald znał dokładnie książkę Szlaga, miał ją zresztą w gabinecie. Świetnie orientował się w sprawie – wspomina dziś Omilanowska. – Nie próbował jednak na mnie w żaden sposób w związku z tym wpłynąć. Prosił jedynie, byśmy zainteresowali się kwestią żurawi stoczniovcych. Nie wyobrażał sobie panoramy Gdańska bez nich.

Jeszcze przed oficjalną nominacją Omilanowskiej na urząd wojewódzki konserwator zabytków Dariusz Chmielewski wpisał do swojej ewidencji 250 różnych obiektów stoczniovcych. Wcześniej, przez ćwierć wieku konserwatorzy nie interesowali się terenem stoczni. Pierwszym kompletnym opracowaniem, z którego można się w ogóle dowiedzieć, co się tam znajduje i jaką ma wartość, jest książka Szlaga. Większość wpisów dokonanych przez konserwatora

na początku 2014 roku zostało oprotestowanych przez właścicieli. Wiele skutecznie. Dziś na terenie stoczni ochroną jest objętych więc tylko siedemdziesiąt jeden obiektów. Wśród nich znajduje się piętnaście żurawi.

W 2016 roku ukazała się książka *Młode Miasto Gdańsk. Laboratorium miejskich procesów rozwojowych*. Jej autorami są Piotr Lorens i wieloletni prezes Synergii 99 Janusz Lipiński. Opisali w niej między innymi perypetie kolejnych planów i koncepcji zagospodarowania terenów postoczniovcych. „Projekt ścisłej ochrony konserwatorskiej (...) całkowicie niekomercyjny i pozbawiony podstaw ekonomicznych, musiałby być finansowany prawie całkowicie z funduszy publicznych, czyli z kieszeni podatników – pisze dzisiejszy architekt miasta. – Wszystko to jest możliwe tylko pod warunkiem dopuszczenia rewitalizacji, w wyniku której obszar poprzemysłowy zostanie przekształcony w centro-miejski obszar rozwojowy gdańskiego Śródmieścia”.

– Możliwość, że inwestorzy nie dogadają się z konserwatorem, stanowi poważne zagrożenie dla tego dziedzictwa – ostrzega profesor Piotr Lorens. – Konserwator wykazuje tu bardzo zachowawczą postawę, domaga się historycznych wręcz odtworzeń. Inwestorów na to nie stać, muszą mieć pewność, że te nakłady, które poniosą w związku z ochroną dziedzictwa, będą mogli sobie zrekompenzować działalnością komercyjną, do której stworzy im się odpowiednie warunki.

Szlaga: – Według moich szacunków zdążono tam wyburzyć połowę tego, co powinno podlegać ochronie. Nie wiem, czy czuję raczej satysfakcję z tego, że udało się to w końcu zatrzymać, czy żal, że stało się to tak późno.

—
DZIŚ NA TERENIE STOCZNI praca wre. Stocznia Cesarska Development buduje „wielofunkcyjną dzielnicę dla wszystkich”. Firma wyremontowała już budynek dyrekcji, w którym znalazły się biura, *coworking*, przestrzeń do organizacji wydarzeń i studio filmowe. Tuż obok powstaną mieszkania

zaprojektowane przez uznaną pracownię BBGK Architekci. Projekt zakłada rewitalizację zabytkowej odlewni. Dwukondygnacyjna stoczniowa remiza ma być zaś zamieniona w sklep z winami. Na terenie dawnej Stoczni Schichaua i półwyspu Drewnica Shipyard City Gdańsk planuje budowę osiedla zaprojektowanego przez jedną z najbardziej utytułowanych pracowni w Polsce – JEMS Architekci. Bliżej Głównego Miasta, nieopodal sali BHP i Europejskiego Centrum Solidarności, dwóch deweloperów wznosi osiedle Doki. Za część mieszkalną odpowiedzialny jest tu Euro Styl, biura postawi firma Torus. W dawnej hali u-bootów powstanie zaś strefa gastronomiczna i hotel. W inwestycję zaangażowana jest również uznana pracownia APA Wojciechowski Architekci.

Tak właśnie stocznia ma się zamienić w miasto. Pytanie jednak, czy miasto tam rzeczywiście powstanie.

– Proszę się przejść na Wyspę Spichrzów i zobaczyć, co się tam dzieje – mówi profesor Jacek Dominiczak. – Młode Miasto może spotkać ten sam los.

Wyspa Spichrzów to przez lata niezagospodarowana perła, leżąca w bezpośrednim sąsiedztwie gdańskiego Starego Miasta. Widać ją z brzegów Starej Motławy, którymi w sezonie przelewają się tłumy turystów. Od wojny hulał tam wiatr. W 2014 roku miasto podjęło kolejną próbę uporządkowania tego terenu i wykorzystania jego potencjału. Ogłoszono konkurs, prace ruszyły. Powstało kilkadziesiąt nowych budynków. Część z nich od razu zaplanowano jako hotele, część stała się pseudohotelami. W efekcie poza sezonem albo w środku tygodnia spora część tej nowej dzielnicy jest bezлюдna i ciemna. W weekendy wypełnia się zaś imprezowiczami.

Jak będzie w stoczni? Pewnie powstaną tu takie mieszkania, ale nie będą stanowić większości. W końcu planuje się tu budowę kilku tysięcy lokali. Kogo będzie stać na zamieszkanie w nich? Przyglądając się projektom wszystkich deweloperów działających na terenie stoczni, trudno nie odnieść wrażenia, że tanio to tu nie będzie.

– To jest wielki dramat nowej dzielnicy – mówi mi Agnieszka Wołodźko, gdańska artystka – bo ludzie, którzy przez dziesięciolecia byli związani z tą przestrzenią, robotnicy i ich rodziny, nie będą mieli tu czego

szukać. Podobnie jak osoby starsze. To nie będzie miejsce dla nich.

W 2020 roku do internetu trafił film promocyjny osiedla Doki. Widać na nim młodych ludzi, którzy realizują się artystycznie w postocznioowych przestrzeniach. Większość tańczy w pustych halach, potem maszerują dziarskim krokiem po nabrzeżu w cieniu stocznioowych dźwigów. Deweloperzy reklamują tę inwestycję hasłem „Nareszcie Młode Miasto”. Wśród postaci zaludniających plan tego filmu jest też fotograf – przemierza stoczniove przestrzenie z aparatem na statywie, potem w swojej industrialnie urządzonej pracowni opracowuje odbitki. To jedyny bohater podpisany z imienia i nazwiska. Nazywa się Michał Szlaga.



Michał Szlaga

– Umowa była prosta – chciałem wznosić *Stocznię*, bo nakład pierwszego wydania zupełnie się wyczerpał. Zgodziłem się na udział w filmie w zamian za to, że partner pokryje znaczną część kosztów druku publikacji. Dodatkowo ustaliliśmy z deweloperami, że będę miał głos doradczy i będę mógł proponować konkretne rozwiązania w czasie realizacji ich inwestycji, oraz pracować z terenem w fazie przekształcenia, czyli z wielką dziurą w ziemi. Założyliśmy z moją partnerką pracownię „Wyobraźnia”, która będzie się właśnie tym zajmować – twórczym odnoszeniem się do przestrzeni.

– I co im doradzisz w pierwszej kolejności? – pytam.

– Żeby na serio zajęli się zielenią. Ale to tylko jeden z wielu pomysłów.

—
CZEKAJ, WRÓĆ. Szukam tu przecież Niemożliwego, mam pomyśleć o stoczni coś, co nie mogłoby się zdarzyć. Zabrnąłem zaś do enklawy dla bogatych, na pustą ulicę pełną ciemnych mikroapartamentów. Już w takich miejscach byłem. Muszę zawrócić i pobrać.

Stocznia mogła powstać, bo gdzieś tam, w pierwszej połowie XIX wieku, na Wiśle utworzył się lodowy zator, rzeka wezbrała, przełamała się przez wydmy i powstało nowe koryto. Żywioł wytworzył warunki, z których mógł skorzystać człowiek. I korzystał, jak mógł. Dzięki temu, co zrobiła rzeka, ludzie pomnażali swoje bogactwo i rośli w siłę. Ale nikt przecież nie powiedział, że tak musi być już zawsze.

Bohaterami kilku zdjęć w książce Michała Szlaga są drzewa. Rząd jarząbów szwedzkich przy ulicy Kooperantów, kasztanowce nieopodal budynku dyrekcji, wierzby, lipy i jablońie rosnące przy Warsztatach Szkolnych (145B). Sąsiadujące ze sobą fotografie obrazują kolejność zdarzeń. Na jednym zdjęciu drzewa stoją, na drugim już leżą. Szlaga fotografuje je w taki sam sposób, w jaki stara się pokazać powalone stoczniove żurawie.

– Czym była puszcza? – pytam go. – To był dość rozległy obszar między ulicami Kooperantów i Malarzy. Rozdzielał tereny stoczni państwowych, czyli tych Cesarskich, od prywatnych Ferdynanda Schichaua. W dawnych czasach biegle tam kanały, teren nadal jest mokry, nieco obniżony. Roślinność dobrze się tam trzymała.

Puszcza padła w 2012 roku. A gdyby tak się nie stało? Oto więc kolejne Niemożliwe: posprzątać po przemyśle, podziękować i odejść. Pozwolić temu miejscu zarosnąć w cholerę.

– Tak się może stać. Jeśli konserwator nie dogada się z inwestorami, te budynki po prostu zarosną i się rozpadną. To realne zagrożenie – mówi profesor Lorens.

Tylko że ja tu nie o tym. Nie inercja, a intencja. To nie jest znowu taka strasznie wrotowa myśl. Pisałem już o tym (w artykule

Wspaniałe odłogi, „Pismo” nr 4/2021), podobne rzeczy właśnie się dzieją. W 2016 roku amerykański biolog Edward Osborne Wilson opublikował książkę *Half-Earth: Our Planet's Fight for Life* (*Półziemia. Walka naszej planety o życie*), w której zaproponował, aby połowę powierzchni Ziemi oddać pozaludzkiej przyrodzie. Tylko w ten sposób jego zdaniem będziemy w stanie ograniczyć szóste wielkie wymieranie gatunków i konsekwencje zmian klimatycznych. Kontynuacją tej publikacji jest Half-Earth Project, w ramach którego międzynarodowy zespół ekspertów mapuje i analizuje, które konkretnie tereny mogłyby być zarezerwowane dla innych gatunków niż ludzie. W marcu 2021 roku Joe Biden po raz pierwszy w historii powołał do swojego gabinetu przedstawicielkę rdzennych narodów. Deb Haaland objęła stanowisko sekretarza do spraw zasobów wewnętrznych. Haaland jest współautorką koncepcji „30 na 30” – objęcia ścisłą ochroną 30 procent powierzchni USA do 2030 roku. Administracja Bidena przyjęła ten postulat.

Pomysł oddawania pozaludzkiej przyrodzie kolejnych obszarów nie jest oderwany zupełnie od tego, jak zaczyna się myśleć na świecie o ochronie środowiska.

W takim wariacie deweloperem działającym na terenie stoczni staje się przyroda – jest działka, jest inwestycja, jest wzrost wartości. Tym razem wyrażony jednak nie w złotych, tylko po prostu bioróżnorodnością. Ludzkie się rozpada i zanika, nie-ludzkie coraz bardziej się panoszy.

Profesor Jacek Dominiczak: – Warto fantazjować również w taki sposób. Proszę jednak pamiętać, że w niemal wszystkich koncepcjach urbanistycznych dla tej części Gdańska planowano tam fragment miasta.

Wiceprezydent Gdańska Alan Aleksandrowicz: – Tak, park to bez wątpienia jest coś, czego na tym terenie nie może zabraknąć. Miasto ma tam niewielką działkę, mogłoby...

Nie, nie park, żadne tam alejki i ławeczki. Chaszczowisko, knieja, miejski busz.

Agnieszka Wołodźko: – Taki pomysł może mieć różne wariacje i mutacje. Tym bardziej, że stocznia, choć była zakładem przemysłowym, miała bogate tradycje ogrodnicze. Przy wielu halach zakładowych robotnicy urządzali przecież małe ogródki – czasami kwietne, czasami warzywne.

Zdaniem Wołodźko oddanie stoczni przyrodzie mogłoby przebiegać na różnych warunkach – od kompletnego wycofania się człowieka z niektórych terenów, po stworzenie tam miejsc w pewnym sensie tylko urządzonych – może czegoś w rodzaju społecznego sadu, z którego mogliby korzystać wszyscy mieszkańcy. To byłoby bardziej włączające niż osiedle apartamentowców i hoteli.

Taki pomysł też już był. W rozstrzygniętych kilka lat temu konkursie architektonicznym na Drogę do Wolności, która ma połączyć miejsca najważniejsze dla solidarnościowej historii stoczni, wygrała praca warszawskiej pracowni Grupa 5. Architekci zaproponowali zamiast drogi rozległy, jabłoniowy sad. Na realizację koncepcji nie zgodził się jednak konserwator zabytków.

Postulaty, które wśród uczestników warsztatów znajdowały najwięcej zwolenników, to: wprowadzenie usług społecznych i kultury, zapewnienie swobodnego dostępu do wody i zieleni, niwelacja barier przestrzennych i równowaga między przestrzenią publiczną a inwestycjami.

— WZNOWIENIE STOCZNI ukazało się pod koniec lata 2021 roku. Niemal równolegle z drugą książką Szłagi, nad którą pracował przez dwa ostatnie lata. Nosi ona tytuł *Brama* i opowiada o micie stoczni i Solidarności oraz o tym, jak jest on rozgrywany i instrumentalizowany po obu stronach politycznej barykady.

„Wszyscy mówią, że tak świetnie poznałem stocznę, że tyle o niej wiem, że się jej przyglądałem i dokumentowałem jej agonię – opowiadał Szłaga w czasie jednego ze spotkań autorskich promujących nowe wydanie *Stoczni*. – Ale od 2012 roku, czyli od pierwszego wydania *Stoczni*, tak się dzieje, że jak przychodzi do namysłu nad przyszłością tych terenów, nikt mnie nie pyta o zdanie. Niedawno się dowiedziałem, że reaktywowano Radę Interesariuszy Młodego Miasta. Pracowałem w pierwszej Radzie, do reaktywowanej w tym roku nie zostałem

zaproszony. Kiedyś do mnie dzwonili, gdy rada się zbierała, teraz już nie dzwonią”.

Kilka miesięcy później Szłaga ogłosił na Facebooku, że zwraca Gdańskowi nagrodę Splendor Gedanensis, którą otrzymał w 2014 roku. Zadeklarował też, że związaną z tym wyróżnieniem nagrodę pieniężną „dopisze do listy swoich długów”. W dalszej części wpisu wyjaśniał: „Podwinęła mi się noga (...). Pomimo bardzo pracowitego roku 2020 i 2021, wydania nowej książki *Brama* oraz wznowienia książki *Stocznia* w finansach pracowni nie jest najlepiej, powody są różne. (...) Mam problemy w bankach (...) po tym, jak urząd skarbowy dołożył od siebie egzekucję zaległego podatku, postanowiłem się zatrzymać i wdroić plan B, to był koniec września” [pisownia oryginalna, skróty F.S. – pełen wpis na oficjalnym profilu artysty].

Planem B było zwrócenie się do miasta o pomoc. Szłaga zaproponował, że sprzeda swoje mieszkanie z widokiem na stocznę, w ten sposób spłaci swoje długi i kupi kawałek ziemi na Kaszubach, gdzie zamieszka. Zaproponował urzędnikom, że w mieszkaniu komunalnym na parterze tej samej kamienicy urządzi magazyn swoich prac, pracownię oraz galerię. Podkreślał, że lokal stoi pusty od kilku lat, podobnie jak dwa inne mieszkania w tym samym budynku. Wraz z jego zajęciem Szłaga chciał opłacać czynsz i wszystkie związane z użytkowaniem mieszkania opłaty. Miasto odmówiło. „W ostatnich latach Michał Szłaga wielokrotnie był beneficjentem miejskich programów oraz partnerem w projektach realizowanych przez gdańskie instytucje kultury. Ogółem suma środków przekazanych artyście z budżetu miejskiego od 2014 roku, między innymi poprzez stypendia czy nagrody, wyniosła ponad 80 tysięcy złotych” – tłumaczyła później Olimpia Schneider z biura prasowego magistratu. Dodała, że Urząd Miasta współfinansował wydanie *Bramy* i zakupił prace Szłagi do własnej kolekcji.

„Powieм po raz pierwszy wprost – napisał pod koniec swojego długiego tekstu Szłaga – wykonałem olbrzymią robotę dla dziedzictwa miasta, poświęciłem temu kilkanaście lat pracy, wykładając przy tym na produkcję kilkaset tysięcy złotych,



CENTRUM
SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
ŁAŹNIA

stworzyłem archiwum, które zasługuje na dalszą kontynuację i kolejne opracowania. (...) Na sam koniec pozwolę zacytować sobie Panią Prezydent Aleksandrę Dulkiewicz, cytat pochodzi z ubiegłego piątku, to słowa przygotowane na ponowne otwarcie Instytutu Sztuki Wyspa, czyli dzisiejszego Nomus: «Artyści widzą więcej, czują czulej. Często przepowiadają nadchodzące trzęsienia ziemi, rzadziej pogodne wschody słońca. Sztuka współczesna powstaje w kontekście. Czas i materia sztuki wzajemnie oddziałują na siebie».

Gdy na początku grudnia dzwonię do Szlagi zapytać o jego aktualną sytuację, odpowiada krótko, jak nie on: – Sytuacja jest, szczerze mówiąc, tragiczna.

—
TUTAJ, W STOCZNI, ponad czterdzieści lat temu robotnicy wykrzyczeli niezgodę na rzeczywistość. Zmienić ją wydawało się niemożliwym. A jednak to tu zaczął się ruch, którego istotą było przeczucie, że świat urządzony tak jak wtedy zmierza w kierunku katastrofy. Potem upadł komunizm.

Jesteśmy w podobnym miejscu. Znów musimy wymyślić świat na nowo. Jak się za to zabrać? Zapytałem o to Henrykę Krzywonos, którą udało mi się odciągnąć na moment od tłumu fotoreporterów w czasie obchodów czterdziestej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych.

– O matko, też mi pan pytanie zadał! – zalamala ręce. – Nie wiem, nie wiem, ja już chyba swoje zrobiłam?

– Jedna rada – prosiłem.

Krzywonos rozejrzała się bezradnie po okolicy, aż jej wzrok zatrzymał się na udekorowanej kwiatami bramie numer 2: – Może znowu trzeba to spisać? – stwierdziła w końcu. – Myśmy mieli te tablice, dwadzieścia jeden postulatów, co trzeba zrobić: tu i teraz. Dyskutowaliśmy nad nimi, ale nie w nieskończoność. Strajk zaczął się 14 sierpnia, trzy dni później tablice już wisiały nad bramą. I to wcale nie znaczy, że to były najlepsze postulaty. One były najlepszymi, jakie w tamtym momencie mogliśmy wymyślić.

W grudniu 2021 roku gdański magistrat zakończył kilkumiesięczne konsultacje społeczne związane z przyszłością

Młodego Miasta. W czasie kilku serii spotkań warsztatowych gdańszczanie i gdańszczanki zaproponowali ponad osiemdziesiąt pomysłów. Wśród najczęściej wymienianych obaw wskazywano „disneylandyzację terenów postoczniovych”, ich izolację przestrzenną i społeczną, „turystyfikację” oraz brak dialogu z mieszkańcami. Postulaty, które wśród uczestników warsztatów znajdowały najczęściej zwolenników, to: wprowadzenie usług społecznych i kultury, zapewnienie swobodnego dostępu do wody i zieleni, niwelacja barier przestrzennych i równowaga między przestrzenią publiczną a inwestycjami.

– Novum naszych konsultacji jest temat zieleni, dotąd zupełnie pomijany w tym procesie – podsumował konsultacje Piotr Czyż ze Stowarzyszenia Inicjatywa Miasto. – Po raz pierwszy tak mocno wybrzmiał postulat włączenia zagadnień przyrodniczych do ogólnej strategii rozwoju obszaru.

Pozostaje kwestią otwartą, czy uda się uniknąć tych zagrożeń, a sprostać oczekiwaniom w sytuacji, w której ponad 90 procent terenów Młodego Miasta należy do inwestorów.

Prezentacja wyników tych konsultacji odbyła się 9 grudnia w jednym z gdańskich liceów. Gościem specjalnym wydarzenia był Michał Szlaga, który przedstawił również swoje pomysły dla terenów postoczniovych. Zaproponował, by jedną z ocalałych hal stoczni zamienić na basen, zaś kolejną w kościół. Zgodnie z jego koncepcją przy Drodze do Wolności miałyby być odbudowana stołówka centralna oraz budynek szpitala przekształcony w świątynię ciszy. – Mieszkańcom tego terenu będzie doskwierał hałas, ciszy w stoczni chronicznie brakuje – tłumaczył. Fotograf zaproponował też stworzenie trzech altan z wierzb, które gabarytami i kształtem przypominałyby wyburzony w 2008 roku zespół willi dyrektora z domkiem ogrodnika. Konieczne byłoby też zasadzenie stu pięćdziesięciu drzew – mniej więcej tyle ich wycięto między 2007 a 2012 rokiem na terenie stoczni.

– To byłaby spleta tego, czego przed laty nie przypilnowaliśmy.

Michała Szlagę zaprosił na spotkanie architekt miasta Piotr Lorens.

WYSTAWA

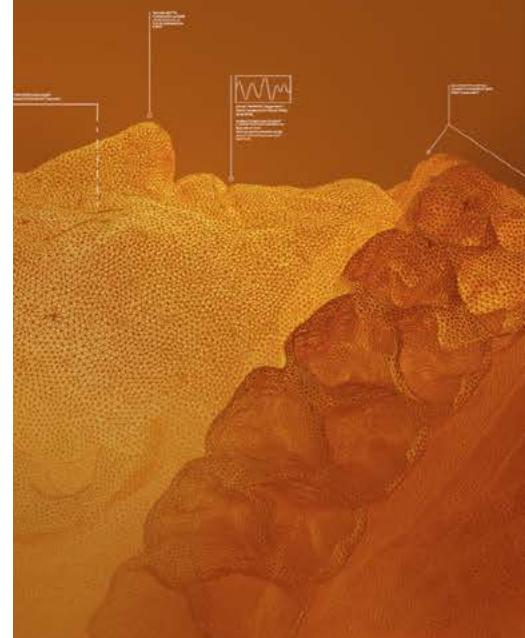
ZDERZENIA EPISTEMICZNE SZTUKA, NAUKA I ANTROPOCEN

4.02-3.04.2022

Centrum Sztuki Współczesnej
ŁAŹNIA

ul. Jaskółcza 1, Gdańsk
ul. Strajku Dokerów 5, Gdańsk

www.laznia.pl



PORTRET

Nieodparty urok Omara Sy

tekst LAUREN COLLINS

przełożył JAN DZIERZGOWSKI



POPULARNY WE FRANCJI AKTOR uważa tempo swojej kariery za coś rzadko spotykanego. Zapytany, co sądzi o tym sukcesie, mówi z błyskiem w oku: – To największy przekręt na świecie.

Omar Sy był pewien, że zobaczył Jezusa. Dopiero co odwiózł dzieci do szkoły, wracał do domu Bulwarem Zachodzącego Słońca, kiedy nagle kątem oka dostrzegł długowłosego mężczyznę z brodą, odzianego w białą szatę. – Szedł boso ulicą. Gapię się na niego, zwalnam, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Mówię do siebie: „To jakaś halucynacja czy co?” – wspomina Sy. Przechodnie nie zwracali uwagi na zbawiciela. – Mija go dziewczyna z kubkiem ze Starbucksa, po drugiej stronie ulicy koleś uprawia jogging, jacyś goście myją samochód. Tylko ja patrzę na brodatego – opowiada. Sy urodził się i wychował we Francji, w Los Angeles (LA) mieszkał od niedawna. Ilekroć dziwiło go coś, co dla wszystkich innych było najzupełniej normalne, czuł się obco. – LA ciągle mnie szokowało. Potem jednak zrozumiałem, że właśnie to mi się podoba. Tutaj możesz ubierać się, jak chcesz, chodzić, jak chcesz, nikt nawet na ciebie nie spojrzy.

Sy mieszka w Los Angeles już prawie dziesięć lat. Uprawia jogę, wędruje po okolicznych kanionach, w rozmowie prowadzonej po francusku wtrąca angielskie sformułowania takie jak *perfect fit* („idealnie obsadzona rola”). Grał superbohatera podróżującego w czasie (*X-Men: Przeszłość, która nadzieje*), dubbingował robota zmieniającego się w auto sportowe (*Transformers: Ostatni rycerz*), pracował z Bradleyem Cooperem (*Ugotowany*) i Tomem Hanksem (*Inferno*). A także z kwartetem syczących welociraptorów w dwóch filmach z serii *Jurassic World*. Gwiazdor tego cyklu, Chris Pratt, mówi mi, że Omar Sy idealnie nadawał się do roli z powodu swojego magnetyzmu. – Zależało nam na tym, żeby obsadzić kogoś, kto ze względu na swoją fizyczność będzie mógł mi dorównać. (...) Ale też kogoś, kto będzie miał w sobie dobroć, dzięki czemu widzowie dostrzegą w nim prawdziwą miłość, jakiegoś rodzaju ciepło pośród wszystkich tych wygenerowanych komputerowo dinozaurów – wyjaśnia. (Nic lepiej nie oddaje ducha Hollywood niż cytaty z Chrisa Pratta).

W styczniu 2021 roku Netflix wypuścił pierwszych pięć odcinków francuskojęzycznego serialu *Lupin*. Sy gra w nim Arsène’a Diopa, opryszka, któremu przyświecają szlachetne intencje: jego przestępstwa mają służyć przywróceniu sprawiedliwości. Serial nawiązuje do Arsène’a Lupina, złodzieja dżentelmena, postaci stworzonej w 1905 roku przez Maurice’a Leblanca. Cykl o przygodach Lupina ukazywał się w popularnym czasopiśmie „Je Sais Tout”. Leblanc pragnął zostać poważanym powieściopisarzem, ale wykreowany przezeń bohater przynosił na tyle duże dochody, że ostatecznie trzeba było poświęcić mu większą część kariery. Tak oto powstało kilkanaście powieści i opowiadań, które później doczekały się adaptacji komiksowych, teatralnych, filmowych i telewizyjnych. (Najsłynniejszą z nich był serial nakręcony w latach 70., w którym główną rolę grał Georges Descrières). Zanim Omar Sy podjął wyzwanie, postać nieco się zestarzała. – Kiedy myślisz o Lupinie, przynajmniej we Francji, czujesz, że to trochę przykurzona historia. Nie chciałem być kolejnym aktorem grającym tego samego gościa – tłumaczy Sy.

Mimo że pierwotna inspiracja trąciła myszką, serial stał się niesamowitym globalnym przebojem, najpopularniejszą produkcją Netflixu w tak odmiennych krajach, jak Niemcy, Brazylia i Filipiny. W ciągu pierwszego miesiąca oglądano go w siedemdziesięciu sześciu milionach gospodarstw domowych – tym samym przebił *Gambit królowej* i *Bridgertonów*. Według jednego z wewnętrznych wskaźników wśród oryginalnych produkcji Netflixu *Lupin* zajmuje drugie miejsce pod względem popularności. Omar Sy, współproducent, główna twarz i bez wątpienia *raison d'être* jedyne francuskojęzycznego serialu, który natychmiast po premierze trafił do netfliksowej pierwszej dziesiątki w Stanach Zjednoczonych, sam stał się kimś w rodzaju ulicznego Jezusa. George Kay, współtwórca *Lupina*, mówi: – Omar ma przedziwną mieszaninę cech, z powodu których absolutnie wszyscy,

mężczyźni, kobiety i dzieci, uważają go za nieodparcie uroczego.

Co roku nad Sekwaną publikuje się wyniki plebiscytu na najpopularniejszego Francuza – kraj traktuje je z zaskakującym nabożeństwem. Obecnie Sy zajmuje drugie miejsce. (W przeszłości trafiał na szczyt listy, podobnie jak Jacques-Yves Cousteau, Yannick Noah i Zinedine Zidane). Kiedy w 2012 roku zobaczył Jezusa na ulicy w Los Angeles, od dawna był wielką gwiazdą we Francji – do tego stopnia, że wraz z żoną Héléne, którą poznał jako nastolatek i poślubił w 2007 roku, uznali, że z powodu sławy ich rodzina nie może tam już liczyć na normalne życie. – Nasze dzieci zaczynały tracić własną tożsamość – wspomina Sy. Właśnie dlatego w 2012 roku przeprowadzili się do Ameryki, gdzie mało kto o nim słyszał.

Rok wcześniej na ekrany trafił film *Nietykalni*, ogromny przebój, który na całym świecie zarobił ponad czterysta milionów dolarów. (Niedługo po premierze zapowiedziano *remaki* w językach angielskim, hiszpańskim, arabskim, hindi, telugu i tamilskim). Sy został nagrodzony Cezarem – francuskim odpowiednikiem Oscara – za rolę Drissa, żywiołowego gagatka z paryskich przemieści, który przypadkowo zostaje opiekunem Philippe’a, sparaliżowanego bogacza granego przez François Cluzeta.

Przez wiele lat Sy miał jednak wrażenie, że kompletnie nie zasługuje na taki sukces. Dla innych aktorów nie liczyło się nic oprócz grania, znosili porażki i biedę. Sy natomiast zaczął jako komik radiowy, całkowicie przypadkowo. Potem przyszły szalone skecze w telewizji i wreszcie kino. Zrobił karierę, zanim skończył dwadzieścia lat, a przecież wielu utalentowanych artystów musi długo czekać, aż wreszcie ktoś ich dostrzeże. – Trudno było mi myśleć o sobie jako o aktorze – wyznał mi Sy. – Trafiłem do tego zawodu zupełnym fuksem. Ciągle więc mówiłem sobie: „Tak naprawdę odstawiasz przekręt”.

W Hollywood musiał zaczynać prawie od zera. Owszem, był laureatem Cezara, ale nigdy dotąd nie uczestniczył w castinguach. Snuł się więc po nowym mieście, we własnej branży czuł się jak turysta. Na każdym castingu musiał wymieniać swoje dotychczasowe osiągnięcia, ubiegał się o rolę

w języku, którym władał wciąż dość słabo (do tego stopnia, że swoich kwestii uczył się fonetycznie). – We Francji zasypywali mojego agenta scenariuszami. Tutaj musiałem za każdym razem mówić, jak się nazywam i w jakich filmach grałem – opowiadał Sy.

Sporo ryzykował. Kilku francuskich aktorów próbowało się przebić w Hollywood – przykładem choćby Dany Boon albo Jean Dujardin – ale nie odnieśli większych sukcesów. Aby lepiej opanować język, Sy przez cztery godziny dziennie pobierał prywatne lekcje. Resztę czasu spędzał przed telewizorem, oglądając *Z kamerą u Kardashianów*. Program pozostawił trwałe piętno na jego słownictwie. Sy przyznaje: – Zacząłem mówić „Oh, my God” i „seriously”.

Ktoś, kto gorzej radzi sobie z ryzykiem, uznałby zapewne całą tę sytuację za krok wstecz, może nawet czułby się upokorzony, ale Sy uważał, że dzięki temu się rozwija. – Spłacałem dług – mówi. – Doświadczyłem odrzucenia, uczestniczyłem w castingach, po których nikt nawet nie zadzwonił, żeby powiedzieć mi, że nie dostałem roli. Potrzebowałem tego. Wreszcie przestałem czuć się jak oszust.

Gaumont, francuska wytwórnia filmowa, stworzyła *Lupina* specjalnie z myślą o Omarze Sy, który bardzo chciał spróbować sił w serialu fabularnym. Ekranowy Assane Diop to wielki miłośnik Arsène’a Lupina, od dzieciństwa pożerał wszystkie książki o jego przygodach. Pomysł, by bohaterem serialu uczynić fana – jakże trafny w epoce Beliberów i Beyhive, czyli wielbicieli Justina Biebera i Beyoncé – wyszedł od Omara Sy. – Chodziło o to, żeby unowocześnić tę opowieść – tłumaczył mi Sy wiosną 2021 roku. – Żeby uczynić *Lupina* moim *Lupinem*.

Rozmawialiśmy w przyjemnie umeblowanej sali konferencyjnej hotelu w paryskiej XVI dzielnicy (fortepian, fotele w afrykańskie wzory). Sy zatrzymał się tu po kilku dniach pracy na planie filmu w Alpach Francuskich. Jak przystało na prawdziwego konesera swetrów, miał na sobie czarny pulower, a oprócz tego czarny komin pełniący funkcję maseczki, szare spodnie dresowe, niezwykle jasne białe skarpetki i nieskazitelnie czyste tenisówki. Jego zmysł estetyki ma również wpływ na serial: Sy chciał, żeby Assane wyglądem przypominał superbohatera.

(Firma The Leather City sprzedaje obecnie płaszcze inspirowane garderobą Diopa, nazywając je „hybrydą stylów *vintage* i *cool*, charakterystyczną dla bohatera ulicy”). Wymyślił też scenę pościgu po paryskich dachach i odpowiada za to, że relacja między Assane’em i Claire, matką jego dziecka, jest bolesna i ambiwalentna. – Miałem wpływ na rozmaite cechy tej postaci – mówi Sy. – Assane to bohater uszyty na moją miarę.

Oto Sy: w charakterystyczny sposób marszczy nos, wyrażając lekki niesmak, jak gdyby właśnie powąchał brudną skarpetkę. Przebiera się, używa sztucznych zębów, przykleja sobie fałszywe wąsy, ożywiając w ten sposób ducha frajdy z filmów sprzed ery cyfrowej.

Lupin, najsympatyczniejszy serial sensacyjny, jaki można sobie wyobrazić, pasuje Omarowi Sy niczym sweter z wełny merynosa. Oto Sy: w charakterystyczny sposób marszczy nos, wyrażając lekki niesmak, jak gdyby właśnie powąchał brudną skarpetkę. Gotując, wrzuca marchewkę do garnka zamaszystym gestem, i bije od niego ojcowskie ciepło. Przebiera się, używa sztucznych zębów, przykleja sobie fałszywe wąsy, ożywiając w ten sposób ducha frajdy z filmów sprzed ery cyfrowej. Kradnie jajo Fabergé z ozdobionego trofeami myśliwskimi mieszkania wdowy po przemysłowcu z belgijskiego Konga, i w ten sposób subtelnie przypomina widzom o zbrodniach kolonializmu (a przy okazji robi aluzję do *Nietykanych*, bo wątek jaja Fabergé pojawiał się również w tamtym filmie). Może powalić przeciwnika i zamknąć go w schowku w pociągu, ale jeśli stosuje przemoc, to tylko w samoobronie i nigdy nie sięga po pistolet. Sy ma pięcioro dzieci w wieku od trzech do dwudziestu lat i nie chce, żeby oglądały w telewizji takie sceny, zwłaszcza z udziałem czarnoskórego protagonisty. W ostatnich latach w serialowym świecie dominowali antybohaterowie – teraz Omar Sy przywraca do życia typ szarmanckiej męskiej postaci, której kibicuje masowa publiczność.

DEMBA, ojciec Omara, pochodził z rodziny tkaczy. W 1962 roku wyemigrował do Francji z Senegalu. Zamierzał zarobić dwa tysiące franków, wrócić do domu i otworzyć sklepik w swojej wsi Bakel, znalazł jednak dobre płatną posadę w fabryce części samochodowych i zdecydował się zostać. Po kilkunastu latach, w 1974 roku, ściągnął żonę, Diaratou, która pochodziła z drugiego końca wioski, leżącego na terytorium Mauretanii. „Mieszkający tam wówczas ludzie nie mieli żadnego wpływu na przebieg granic – tłumaczył kiedyś Sy. – Tak wyglądała kolonizacja”.

Diaratou i Demba wprowadzili się na nowo wybudowane osiedle domów komunalnych w Trappes, na zachodnim przedmieściu Paryża. On podjął pracę w magazynie, gdzie zajmował się logistyką, ona sprzątała biura. W latach 1968–1975 odsetek imigrantów w Trappes zwiększył się trzykrotnie. Francuskie rodziny zaczęły się stamtąd wyprowadzać, ich śladem poszli „starzy” imigranci, czyli Włosi i Portugalczycy. Zastąpili ich przybysze z Afryki Subsaharyjskiej i Maghrebu. Trappes, gdzie od 1944 roku sprawowali władzę komuniści, miało „atmosferę utopii”, jak pisały Raphaëlle Bacqué i Ariane Chemin w poświęconej miasteczku książce *La Communauté*. „Osiedla rozmieszczono na planie kwadratów i prostokątów, pośrodku znajdowały się niewielkie place zabaw, piaskownice z linowymi kratami do wspinania, huśtawki, kurniki, rabatki kwiatowe, nawet fontanny, w których pływały złote rybki”.

Z początku Trappes symbolizowało obietnicę dobrego życia na francuskich przedmieściach. Dziś symbolizuje ich problemy. Przyszło jedna czwarta mieszkańców to osoby ubogie, wysoki jest też wskaźnik bezrobocia. Z doniesień medialnych wynika, że ponad sześćdziesięciu ludzi żyjących w Trappes wyjechało do Iraku i Syrii, by walczyć po stronie Państwa Islamskiego. Miasteczko było „polem doświadczalnym, gdzie przeprowadzano wszelkiego rodzaju nieudane eksperymenty w zakresie zarządzania przedmieściami”, jak mówiła Bacqué.

W filmie dokumentalnym na temat dorastania w Trappes Sy opowiadał, że dorośli powtarzali jemu i jego rówieśnikom: „Nie próbujcie mierzyć zbyt wysoko, bo uderzycie

o sufit i czeka was rozczarowanie”. Słyszał nieustanny refren: „To nie dla ciebie”. Ale Trappes nie było typowym przedmieściem z wyobrażeń ludzi, którzy tam nie mieszkali. Sy, urodzony w 1978 roku, trzeci z ośmiorga rodzeństwa, wspomina świat ograniczeń, ale i obfitości. „Godzinami graliśmy w piłkę nożną na trawie, chodziliśmy do lasu, gdzie zbieraliśmy kasztany i szukaliśmy tropów dzika – opowiadał pewnego razu. – Dzieliłem sypialnię z dwójką rodzeństwa, spałem na dolnej pryczy łóżka piętrowego. Nauczyło mnie to cierpliwości. I uznawania granic”.

Co drugie lato rodzina wybierała się do Senegalu, w domu mówiono w języku pulaar. Rodzice Omara Sy byli konserwatywni; mówiąc ściślej, chcieli wpoić dzieciom tradycyjne wartości, takie jak skromność i szacunek. – Nie mówiło się człowiekowi, że się go kocha, poważa, podziwia. Należało to okazać, bo tak jest dyskretniej, a dyskrecja to cnota – tłumaczy mi Sy. – Konserwatyzm rodziców nie oznaczał jednak, że bali się zmiany. Demba i Diaratou wychowali dzieci w wierze muzułmańskiej, lecz nie oczekiwali od nich gorliwej pobożności. (Kiedy Omar poślubił Hélène, białą chrześcijankę, serdecznie przyjęli ją na łono rodziny). Dom był pełen muzyki: rozbrzmiewały tam pieśni griotów, francuskie *chansons* i amerykański *soul*.

Sy opowiada, że był nieśmiałym, ostrożnym chłopcem. – Potrafiłem żartować albo opowiadać zabawne historyjki tylko wśród ludzi, których dobrze znałem. Dopiero później uświadomiłem sobie, że to również dobry sposób na przełamywanie lodów.

Podobnie jak Assane Diop, bohater *Lupina*, Sy miał obsesję na punkcie kultury masowej (to samo zresztą dotyczyło jego przyjaciół i całego ówczesnego pokolenia). Uwielbiał mangi *Dragon Ball* i *Rycerze Zodiaku*, amerykańskie filmy w rodzaju *Rocky'ego*, *Chłopaków z sąsiedztwa* i cykl o przygodach Indiany Jonesa. Mouloud Achour, znany francuski prezenter telewizyjny, który również wychowywał się na przedmieściach Paryża, opowiadał mi: – Ilekroć Omar i ja spędzamy razem wieczór, robimy to samo co wtedy, gdy byliśmy mali: gramy w *Street Fightera*, chociaż Omar jest w tym naprawdę słaby. I zamawiamy sobie kuskus. – Zdaniem Achoura Sy zaraził się sztuką już w dzieciństwie. – Kiedy wychowujesz się

na przedmieściu, masz kilka opcji życiowych. My wybraliśmy zagłębienie się w naszej wyobraźni, żeby po prostu nie zwariować. Całe mnóstwo pomysłów chodziło nam po głowie. Omar został aktorem i teraz kręci filmy, które chciał oglądać jako dzieciak.

W 2020 roku Sy wystąpił w filmie *Nocny konwój* o trzech paryskich policjantach, którzy mają za zadanie odeskortować uchodźcę z Tadżykistanu na lotnisko, gdzie czeka go deportacja. Reżyserka Anne Fontaine, znana z psychologicznych, art-house'owych filmów, zabroniła Omarowi używania jego najsukcesyjniejszej broni: donośnego śmiechu. (Filmik zatytułowany *Omar Sy, le rire irrésistible!*, czyli *Omar Sy i jego urzekający śmiech*, ma na YouTube ponad dziewięćset tysięcy wyświetleń). Miał wręcz zakaz uśmiechania się. Aby sprostać wyzwaniu, sięgnął pamięcią do dzieciństwa. – Byliśmy bardzo twórczy, bo dysponowaliśmy skromnymi środkami – powiedział mi. – Czasami warto narzucić sobie pewne ograniczenia.



Udział w filmie wiązał się też z pierwszą w karierze Omara Sy sceną erotyczną. Bardzo się tego obawiał. – Musieliśmy ją „odratyzować” na początku zdjęć – opowiadała Fontaine, podkreślając, że oboje byli zgodni co do tego, iż scena ukazuje coś ważnego na temat postaci. – Powiedziałam Omarowi: „Po prostu zaczniemy kręcić, a ty rozedrzesz T-shirt”.

Kilka lat temu Achour przeprowadził niezwykle osobisty wywiad z Omarem Sy dla stacji *Clique TV*. Siedzieli na beżowej kanapie w pokoju utrzymanym w stonowanych barwach. Prezenter miał na sobie pomięty T-shirt, Sy ubrał się w czarny golf.

„Achour: Jak wyglądało twoje dzieciństwo?”

Sy: Było superszczśliwe. Fantastyczne. Zrozumiałem je i wszystkie związane z nim trudne sprawy dopiero jako dorosły, kiedy poznałem ludzi, którzy wychowywali się w zupełnie innych okolicznościach. Opowiadałem im rozmaite historie: «Robiliśmy to, robiliśmy tamto». A oni odpowiadali: «*Qu-ais?* To dość brutalne!».

(Achour i Sy wybuchają śmiechem).

Sy: Ale do tej pory wydawało mi się to najzupełniej normalne. Sądzę, że dzięki takiemu dzieciństwu zawdzięczamy siłę. I otwartość. Dzisiaj dużo mówi się o różnorodności i tego typu sprawach. Ja z tym dorastałem. Chodząc po sąsiadach w naszym bloku, mogłem odbywać podróż dookoła świata”.

—
PÓŹNĄ WIOSNĄ 2021 roku Sy i ja znów odbyliśmy rozmowę, tym razem przez Zooma. Był w podróży, jechał w Alpy ze swojego domu na południu Francji. – On naprawdę wie, jak żyć – stwierdził francuski agent Omara, Laurent Grégoire, i zaczął wspominać jego letnie przyjęcia z grillem na świeżym powietrzu, na których zjawiały się dziesiątki gości. Sy zatrzymał się gdzieś niedaleko Orange, żeby naładować swoją teslę. Siedział za kierownicą oświetlony promieniami wieczornego słońca. Mówił z podnieceniem o starożytnych cywilizacjach: Egipcjanach, Sumerach, Majach. Przyjaciel polecił mu niedawno dokument na ten temat i Sy wpadł w głąb króliczej nory. – Chyba powinniśmy na nowo przemyśleć nasz sposób rozumienia historii – stwierdził. Potem zaczął opowiadać o własnej przeszłości. Spytałam go o wydarzenia, które zapewne wywołałyby grymas na twarzach bardziej uprzywilejowanych ludzi.

– Pamiętam, że mieliśmy strasznie rasistowskich sąsiadów. Szczuli nas psami – opowiada Sy. – Traktowaliśmy wszystko jako zabawę, dziecko tak robi, bo jest niewinne, nie dostrzega, że dzieje się coś złego. Więc mieliśmy sporo frajdy, uciekając przed tymi psami, żeby nas nie pogryzły – wspomina. Czasami podczas zabawy w chowanego natykali się w piwnicach na broń, zużyte strzykawki lub niezbyt przyjemnych ludzi.

W drugim odcinku *Lupina* Assane czyta list, który ojciec napisał do niego w więzieniu

przed swoim rzekomym samobójstwem. List wydaje się wyznaniem winy: ojciec potwierdza, że ukradł bezcenny naszyjnik należący do rodziny Pellegrini, gdy pracował u nich jako kierowca. Prosi syna o wybaczenie. Assane zauważa jednak błędy ortograficzne, a przecież ojciec zawsze przywiązywał wielką wagę do prawidłowej pisowni. Dochodzi do wniosku, że to ukryta wskazówka. Więcej może dowiedzieć się od człowieka, z którym ojciec dzielił więzienną celę, udaje się więc do zakładu penitencjarnego i przekonuje jednego z osadzonych, by ten zamienił się z nim miejscami. Odcinek kręcono przez kilka tygodni w więzieniu w Bois-d'Arcy, zaledwie kilka kilometrów na północ od Trappes. Reżyser Louis Leterrier mówił, że aktorzy często rozmawiali z osadzonymi. Sy, jak się okazało, znał kilku z nich osobiście ze swojej starej dzielnicy. – Było dużo emocji – wspominał Leterrier. – Rzeczywistość bardzo zbliżyła się do fikcji, a fikcja do rzeczywistości.

— W LICEUM SY zamierzał zostać technikiem, zajmować się systemami ogrzewania i klimatyzacji. Dobrze się uczył, pociągała go aeronautyka, zmuszono go jednak, by podjął kształcenie zawodowe. „Kiedy masz takie dzieciństwo jak ja, musisz bardzo wcześnie zacząć zarabiać pieniądze – opowiadał dziennikarzom „Le Monde”. – Powiedziałem sobie, że jeśli zrobi się kiepsko, zawsze mogę wyjechać do pracy do Senegalu”.

Spędzał sporo czasu z Jamelem Debbouzem, starszym bratem swojego wieloletniego przyjaciela. Tworzyli zabawną parę: Debbouze, syn imigrantów z Maroka, był niski i pyskawy. W wieku czternastu lat na zawsze stracił władzę w prawej ręce po wypadku na stacji kolejowej w Trappes, miał jednak mnóstwo pewności siebie, którą dodatkowo wzmocniły warsztaty z improwizacji scenicznej, prowadzone przez lokalną grupę artystów. Podobnie jak Sy fatalnie spisywał się na boisku piłkarskim. Podczas gdy ich koledzy z zapamiętaniem biegli za piłką, oni stali z boku i rzucali dowcipami. Nakręcali się nawzajem, jeden mobilizował drugiego, żeby być jeszcze zabawniejszym, posunąć się dalej. Dziś Debbouze zalicza się do grona najsławniejszych francuskich komików.

Wspominał kiedyś: „Nawet gdyby nam się tak bardzo nie poszczęściło i tak wymiatałibyśmy w dowolnej dyscyplinie. Bylibyśmy najlepszymi astronautami, najlepszymi ministrami, nawet najlepszymi złodziejami”.

Według Debbouze’a jako nastolatek Sy był człowiekiem pełnym godności. „Zawsze nienaganny wygląd i zachowanie. Jeśli chcielibyśmy wejść gdzieś, gdzie mogliby nas nie wpuścić, chowaliśmy się za jego plecami”. Wygląd budzący zaufanie bardzo się przydawał: Sy wchodził do sklepu, jego kumple szli za nim i po kryjomu kradli słodycze. Koń trojański to po francusku *un cheval de Troie*. Jeden z przyjaciół Omara nazywał go później w żartach *le cheval de Trappes*.



W połowie lat 90. Debbouze został gospodarzem programu w alternatywnej rozgłośni Radio Nova i zaprosił Omara jako gościa. „Był zabawny, poza tym z całej naszej paki tylko on miał prawo jazdy” – wspominał kiedyś. Dołączył do nich Nicolas Anelka, inny kumpel z Trappes, który był już na drodze do kariery piłkarskiej. Na antenie Sy miał odgrywać postać senegalskiego zawodnika, który na skutek kontuzji musiał zapomnieć o futbolu i postanowił zająć się rolnictwem. – Po prostu wyświadczałem przysługę przyjacielowi. Tylko się wygłupialiśmy – opowiadał. – Program nikogo nie obchodził, więc Sy nie czuł presji i grał swoją rolę z niezwykłą swobodą. – Byliśmy trochę *en famille*. Nie myślałem o tym, że to idzie w świat, że są jacyś słuchacze. Siedziałem w studiu z dwoma kumplami i się wydurniałem.

Szefostwo Radia Nova zaprosiło Omara ponownie. W stacji spotkał Freda Testota, uprzejmego młodego komika z Korsyki.

Postanowili stworzyć duet. Kilkakrotnie wystąpili w nowym, cotygodniowym programie Debbouze’a w Canal+, który stał się inkubatorem nowego, bardziej różnorodnego pokolenia francuskich talentów. Od 2000 roku Omar i Fred regularnie pojawiali się w najpopularniejszym *talk-show* stacji. Bruno Gaston, ówczesny szef Canal+, wspominał młodego Omara, który „pozował do zdjęć z homarem i rzucił kiepskimi dowcipami. Nie dało się go nie lubić”.

W 2005 roku Omar i Fred ruszyli z cyklem skeczów, które zapewniły im sławę: *Service Après-Vente des Émissions*. Wkrótce dostali własny regularny segment w niezwykle popularnym wieczornym programie telewizyjnym *Le Grand Journal*. Wyglądało to następująco: jeden z nich, siedząc w czerwonej marynarce za biurkiem obstawionym telefonami, grał pracownika obsługi interesantów. Drugi pojawiał się w okienku w prawym górnym rogu ekranu i wcielał się w postać zwariowanego klienta (za kostium służyły z reguły kombinacje szalonych okularów słonecznych, akcesoriów z cekinami, nakryć głowy i masek). Do kultowych postaci zaliczał się grany przez Sy Doudou, nadpobudliwy piosenkarz amator, noszący na głowie chustę w lamparcie cętki i mówiący z wyraźnym afrykańskim akcentem. Testot z kolei trafił w dziesiątkę, wcielając się we François le Français, pyszałkowego hiperpatriotę ubranego w kolory francuskiej flagi narodowej. Największą popularnością cieszyły się postacie dwóch swingersów (odgrywanych na zmianę przez komików), którzy dzwonili do obsługi klienta, by językiem pełnym nieprzyzwoitych gier słownych opowiadać o swoich nocnych przygodach. Stąd właśnie wziął się ich slogan, pełne ubolewania zdanie: „Nie przychodzisz już na imprezy!”. Duet był tak sławny, że sieć fast foodów Quick nazwała swoje burgery na cześć Omara i Freda. – Stali się naszym Montym Pythonem – opowiadał mi Achour. – Głupie piosenki, głupie akcenty, a razem wszystko niesamowicie inteligentne. Moim zdaniem humor absurdalny polega na przecinaniu się dwóch krzywych: krzywej idiotyzmu i krzywej powagi. Oni robili to w doskonały sposób.

– Z dowcipów, które zapewniły nam sławę, dzisiaj przeszłoby najwyżej 10 procent.

Za pozostałe zostalibyśmy skasowani. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że nadal pokazują nasze stare programy – powiedział mi Sy. – Podczas *lockdownu* Sy odkurzył postać Doudou i wrzucił do internetu nagranie, na którym śpiewa hit sławnej francuskiej piosenkarki Ayi Nakamury. Utwór również nosił tytuł *Doudou* („Nie mogłem się powstrzymać” – wyjaśnił). Tym razem nie wszyscy byli zachwyceni. Wielu internautów, szczególnie młodszych, którzy wcześniej nie znali postaci, zobaczyło w filmiku karykaturę afrykańskiej kobiety (Sy mówi, że jego Doudou jest mężczyzną). „Tylko po to, żeby rozbawić białych” – napisał jeden z użytkowników Twittera. Sy bronił swojego prawa do „złożenia hołdu” Nakamurze i odpowiadał: „Prawdziwe życie dzieje się poza Twitterem, tam też ludzie podejmują prawdziwe działania prowadzące do zmiany”.

Zapytałam Omara Sy, czy żałuje któregoś ze swoich starych dowcipów.

– Nie, ani jednego – odparł. – Bo wiem, jakie intencje nam przyświecały. A przede wszystkim widzę, jaki miały efekt. Ludzie pozbyli się zahamowań, atmosfera stała się bardziej wyluzowana.

Sukces duetu Omar i Fred sprawił, że Sy zaczął dostawać propozycje ról filmowych. Większość z nich odrzucał. „Oferowano mi postaci gangsterów i gości z przedmieść – tłumaczył w wywiadzie dla „L’Express”. – Nie interesuje mnie eksperymentowanie z karierą filmową tylko po to, żeby umacniać stereotypy. I nie mam ochoty być *le noir à la mode*”. Postanowił jednak podjąć współpracę z Olivierem Nakache’em i Érikiem Toledano, parą młodych reżyserów, którzy w 2002 roku obsadzili go w swojej krótkometrażówce w roli opiekuna na obozie dla młodzieży. W sumie wystąpił w czterech ich filmach, stał się ich muzą. – Razem uczyliśmy się kina – mówił mi Toledano. W 2009 roku oznajmili Omarowi, że zamierzają napisać rolę specjalnie dla niego. „Nie jestem aktorem” – powiedział. „Świetnie się składa, bo my tak naprawdę nie jesteśmy reżyserami” – odparli. Tak oto Sy zagrał w *Nietykalnych*.

Nakache i Toledano są dziećmi żydowskich imigrantów z – odpowiednio – Algierii i Maroka. Mają prosty pomysł na swoje filmy: lubią tworzyć postacie o bardzo

odmiennych tożsamościach (muzułmanin i Żyd, szef i pracownik, czarny i biały), które następnie wrzucają w dziwną sytuację. Powstaje z tego sympatyczna komedia z morałem. Dobrze podsumowano to w audycji z radia publicznego France Culture: „Istotą takiego doboru bohaterów jest często walka z nierównościami. Postaci pomagają sobie nawzajem, dobrze się razem bawią, a nawet kochają się mimo różnic”.

Nagroda Cezara za Nietykalnych stała się dla Omara Sy punktem zwrotnym. – Wreszcie zrozumiałem, że jestem aktorem. Powiedzieli mi o tym inni ludzie kina, zyskałem konkretny dowód.

Nietykalni, film oparty na prawdziwej historii, został uznany przez wielu francuskich widzów za prawdziwy majstersztyk. W ciągu pierwszych szesnastu tygodni obejrzało go ponad dziewiętnaście milionów widzów, zachwyconych chemią między Cluzetem a Sy, parą nie do pary, nawet jeśli chwilami robiło się trochę cukierkowo. Ludzie płakali, kiedy ochroniarze Philippe’a ściągają Drissa w środku nocy, śmiali się w scenie, w której Driss tańczy podczas sztywnego i nadętego przyjęcia z okazji urodzin pracodawcy. Patrick Lozès, założyciel CRAN, organizacji reprezentującej Czarnych Francuzów, mówił wówczas: „Postać grana przez Sy to pierwszy tego rodzaju pozytywny bohater. Wyznacza nową epokę w kinie francuskim”.

Amerykańscy krytycy zareagowali mniej entuzjastycznie. Legendarny Roger Ebert niezbyt pochlebnie porównał *Nietykalnych* do filmu *Wózec panią Daisy*, natomiast Anthony Oliver Scott w przenikliwej recenzji dla „New York Timesa” pisał: „Karykaturalne postaci są rysowane niezwykle grubą kreską, mamy tu do czynienia z klasycznymi komediowymi archetypami, z napuszonym panem i sługą żartownisiem prosto z Molière’a. Aby to unowocześnić, dodano wątek społeczny, mnóstwo sentymentalizmu w stylu hollywoodzkim oraz wizję stosunków rasowych, którą, delikatnie mówiąc, można określić mianem infantylnej”. Aktor

Wendell Pierce chwalił grę Omara Sy, nazwał jednak Drissa wzorcowym przykładem toposu „magicznego Murzyna”. Tłumaczył gazetce „Le Monde”: Driss „nie wchodzi w żadne interakcje z osobami o kolorze skóry innym niż biały, nie jest mu dany wątek romansowy, istnieje tylko po to, żeby dowcipkować i rzucać co chwila szczyptę czarodziejskiego pyłu, bo trzeba przekonać widzów, że wszystko będzie wspaniale”. (Toledano wyrażał dawniej zdziwienie tego rodzaju głosami krytyki. Zapytałam go w mailu, czy jego perspektywa zmieniła się od 2011 roku. Nie odpowiedział, natomiast jego asystent wysłał mi link do artykułu, w którym pisano, że *Nietykalni* to jeden z dziesięciu ulubionych filmów Stevena Spielberga).

Nagroda Cezara za *Nietykalnych* stała się dla Omara Sy punktem zwrotnym. – Wreszcie zrozumiałem, że jestem aktorem. Powiedzieli mi o tym inni ludzie kina, zyskałem konkretny dowód – przyznał w rozmowie ze mną. Po ceremonii wybrał się na przyjęcie w Fouquet’s przy Polach Elizejskich, potem na bardziej kameralną imprezę w mieszkaniu przyjaciół, stamtąd zaś udał się prosto na lotnisko, żeby złapać samolot do Tajlandii. Spędził z rodziną kilka tygodni na plaży i próbował jakoś „ogarnąć cały ten szok”.

Po powrocie zaczął pracować z nauczycielką aktorstwa Julie Vilmont. – Musisz zbudować relację z postacią, którą grasz – opowiadał mi trochę nieśmiało. – Dopuszczasz postać do głosu, dyskutujesz z nią, wyobrażacie sobie różne rzeczy, dochodzicie do porozumienia. Jest w tym pewien pierwiastek duchowy – tłumaczył. Sy zdradza każdej ze swoich postaci jakąś tajemnicę na swój temat, żeby nawiązać nić zaufania. Proszę go, żeby podał mi przykład. – Nie mogę! – odpowiada. – Tajemnica to tajemnica!

Aktorstwo wymaga żmudnej pracy umysłowej, wielokrotnego czytania scenariuszy, długich dyskusji z reżyserem. Sy nauczył się zmieniać to wszystko w swobodną fizyczną ekspresję. – Cała robota intelektualna musi zostać wykonana przed wejściem na plan. Przed kamerą trzeba czuć, a nie myśleć. Tekst po prostu towarzyszy językowi ciała – wyjaśniał. Dzięki tej alchemicznej metodzie na planie Sy jest z reguły wyjątkowo pogodny. – Nie znam równie hałaśliwego aktora – mówi Louis Leterrier. – Jeśli chcesz

totalnej ciszy, nie zatrudniaj Omara. Bo Omar zawsze wnosi do pracy mnóstwo energii i w ten sposób poprawia innym nastrój.

– Hałas pozwala mi się skupić – twierdzi Sy. – Nie chcę zbyt dużo rozmyślać o następnej scenie zaraz przed jej kręceniem, więc robię raban. To mój sposób przygotowywania się, moja metoda koncentracji. No i chyba mam potrzebę rozśmieszania całej ekipy, bo boję się, że będą oceniać mnie i moją grę. Może nadal kryje się we mnie tamten nieśmiały dzieciak?

OMAR CHYBA NIGDY nie był tak udręczony, jak po ogromnym sukcesie *Nietykanych*, kiedy nagle zrobiono z niego rzecznika całego pokolenia – opowiada mi Laurent Grégoire. – Obcy ludzie chcieli go dotykać, tak jak kiedyś chorzy dotykali Ludwika XIV, żeby uleczyć skrofuły.

Sy kierował się wówczas zasadą: aktorstwo jest dla aktorów, polityka dla polityków. Kiedy prawicowy prezydent Francji Nicolas Sarkozy zaprosił twórców *Nietykanych* do Pałacu Elizejskiego, Sy dyskretnie odmówił, powołując się na inne zobowiązania. Parę lat później ponowną próbę podjął prezydent socjalista François Hollande, znów bez powodzenia. „Nie jestem przywódcą” – mówił Sy w wywiadzie dla „L’Obs” w 2014 roku. I dodawał, że musi się jeszcze „wiele nauczyć”, a poza tym woli „działać, a nie mówić”.

Mógł teraz przebierać w rolach. Zdecydował się wystąpić w filmie *Chocolat* Roschdy’ego Zema, biografii Rafaela Padilli, byłego niewolnika o afrokubańskim pochodzeniu, który zrobił karierę jako klaun. Występując pod pseudonimem Chocolat, stał się sensacją paryskiego Nowego Cyrku i jednym z pierwszych czarnoskórych artystów odnoszących ogromne sukcesy we Francji. Zarazem zmagął się z poważnym nałogiem. Akcja działa się w okresie *la belle époque*, Sy musiał zapuścić wąsy i nosić melonik. Film był wymagający pod każdym względem. Choreografia popisów cyrkowych została ułożona przez Omara Sy i Jamesa Thiérre’a, który grał postać białego klauna partnerującego Padilli (a w prawdziwym życiu jest wnukiem Charliego Chaplina). A więc mnóstwo policzowania się, kaskaderki, kontrolowanych upadków. Przede wszystkim jednak praca

nad filmem oznaczała trudne emocjonalnie analizowanie ceny, jaką czarnoskóry artysta musiał płacić za śmiech białej widowni. – Bardzo to do mnie przemawiało – mówi Sy. – Pierwszy czarnoskóry klaun jest oczywiście moim przodkiem. Otworzył nam drzwi, dzięki niemu mogliśmy wejść do środka.

Sy odkrył wówczas nowy rejestr aktorski: ograniczył nieco swoją typową żywiołowość, wprowadzając na jej miejsce świadomą gorycz. Stworzył jedną ze swoich najmocniejszych ról, ale obejrzenie ukończonego filmu okazało się dla niego ogromnym wyzwaniem. – To trudna, bolesna historia – wyjaśnia i dodaje, że odrzucała go niemal fizycznie. – Jestem jednak bardzo dumny z efektu, uważam, że pierwszy raz stałem się wówczas prawdziwym aktorem i świadomie wybrałem projekt. Praca, którą wykonałem, w ogromnym stopniu wpłynęła na wszystko, co przyszło później.

Kiedy prawicowy prezydent Francji Nicolas Sarkozy zaprosił twórców Nietykanych do Pałacu Elizejskiego, Sy dyskretnie odmówił, powołując się na inne zobowiązania. Parę lat później ponowną próbę podjął prezydent socjalista François Hollande, znów bez powodzenia.

Aktorka Aïssa Maïga wydała niedawno książkę *Noire n'est pas mon métier* (*Bycie Czarną nie jest moim zawodem*), w której analizuje „rozmyty rasizm” francuskiego przemysłu filmowego. „Często zadawałam sobie pytanie, dlaczego byłam jedną z nielicznych czarnoskórych aktorek w kraju o tak mieszanym rasowo populacji jak Francja” – pisała. Książka zawiera również eseje piętnastu innych czarnoskórych aktorek, które wspominają choćby, że wielokrotnie oczekiwano od nich zmiany fryzur, a w usta ich postaci wkładano idiotyczne kwestie. Przede wszystkim zaś role były uderzająco stereotypowe, przeważały prostytutki i afrykańskie matrony („w 65 procentach przypadków bohaterka ma na imię Fatou”).

– Niestety, w chwili obecnej wszystkie mniejszości jadą na tym samym wózku, bo

społeczeństwo opowiada bardzo niewiele naszych historii. A nawet jeśli, postaci z grup mniejszościowych zazwyczaj nie są głównymi charakterami lub też reprezentują błędne i przestarzałe stereotypy czy poglądy – powiedział mi Sy. Co prawda, nie wymienił żadnego tytułu, ale dodał: – W niektórych filmach przedmieścia nadal ukazują się tak samo jak dwadzieścia lat temu. Bardzo mnie to boli, bo przecież tam jest mnóstwo historii do opowiedzenia. Jeśli chcemy przedstawiać ten świat, róbmy to porządnie, prawdziwie.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy wspomniałam pewien artykuł, w którym przeczytałam, że jako nastolatek Sy został uderzony młotkiem i pozostała mu po tym blizna na potylicy. – Nie, to nieprawda – powiedział i szybko zmienił temat. Teraz ponownie podjął wątek wydarzeń ze swojego dzieciństwa, które, gdy opowiadano je na nowo, brzmiały o wiele mniej zabawnie. – Młotek to jedna z takich historii. Naprawdę zostałem nim walnięty – przyznał. Poprosił, żebym nie wspominała tego w artykule, ale potem zmienił zdanie. Uznał, że będzie to świetna ilustracja skomplikowanego położenia, w którym czasami się znajduje. Z jednej strony Sy chce mówić prawdę, z drugiej – pragnie przyczynić się do budowania pozytywnego wizerunku osób czarnoskórych. – Wiadomo, że na przedmieściach jest przemoc – stwierdził. – Zależy mi jednak na tym, żeby ukazywać również ich inne oblicza.

W 2016 roku uznał, że pora zabrać głos, a nie tylko działać. – Mam pewną zasadę: próbuję trzymać gębę na kłódkę, aż wreszcie się we mnie przelewa – powiedział mi. 19 lipca tamtego roku Adama Traoré, Francuz malijskiego pochodzenia, zginął na terenie posterunku żandarmerii w miasteczku Persan na północ od Paryża, w dniu swoich dwudziestych czwartych urodzin. Sy był jednym z pierwszych znanych Francuzów, którzy zabrali głos w jego obronie. Krótko po zabójstwie zatweetował: „Modlę się za Adame Traoré, jego bliscy są w moich myślach. Niech na jego pamiątkę zostanie uczyniona sprawiedliwość. I niech spoczywa w pokoju”. Kiedy rodzina Adamy, zwłaszcza jego siostra Assa, próbowali ustalić, co wydarzyło się na posterunku, natrafili na mur milczenia i kłamstw. Władze ukrywały przed nimi prawdę, politycy i media publicznie ich

DANIEL TAMMET

*Słowa, niezależnie
od pochodzenia,
mają tylko taki sens,
jaki im nadamy.
To my jesteśmy
nauczycielami,
a nie one.*

oczerniali. Sprawa nabrała rozgłosu, gdyż we Francji już od pewnego czasu nasilały się niepokoje związane z brutalnością policji i strukturalnym rasizmem, mimo to Sy był jednym z nielicznych ludzi, którzy zdecydowali się stanąć po stronie rodziny. – Bo to mogła być moja siostra. Bo to mogłem być ja albo jeden z moich braci – powiedział mi. Poruszyła go samotność Assy i to, że musiała szukać prawdy w pojedynkę. – Ze względu na moją pozycję nie miałem wyboru. Musiałem powiedzieć: „Jestem z tobą”.

Jego aktywizm ma szczególnie dużą siłę oddziaływania, bo Sy od zawsze słowem i czynkiem opowiadał się za wizją zjednoczonej, wielokulturowej Francji. – Urodził się w świecie problemów, ale uosabia rozwiązanie – mówi Achour. W noc ataku na klub Bataclan w listopadzie 2015 roku Sy był w Paryżu, ale dopiero kilka godzin później dowiedział się, co się stało, bo spędzał wieczór na kolacji szabatowej u przyjaciół i miał wyłączony telefon. Podczas wyborów prezydenckich w 2017 roku zaapelował do wszystkich obywateli, żeby nie dopuścili do powierzenia prezydentury Marine Le Pen, kandydatce skrajnej prawicy. „To nie kwestia polityki, to kwestia człowieczeństwa” – podkreślał.

Późną wiosną 2020 roku uczestniczył w demonstracji w Los Angeles po zabójstwie George’a Floyda; niósł transparent z napisem: „Nie mogę oddychać”. – Poszedłem tam jako ojciec, który wychowuje w Ameryce czarnoskóre dzieci – wyjaśnił mi. W czerwcu tamtego roku opublikował w „L’Obs” list otwarty, potępiając przemoc policyjną w Stanach Zjednoczonych i we Francji. (Część lewicy zarzuciła mu hipokryzję, bo kilkakrotnie wcielał się w role policjantów, część prawicy oznajmiła natomiast, że jest niegodny przywdziewać mundur, choćby na ekranie). Wziął na siebie trochę z ciężaru, który Assa Traoré nosiła od lat. Dziennikarka Elsa Vigoureux, autorka książki napisanej wspólnie z Assą, powiedziała mi: – Kwestia przemocy policyjnej była we Francji ogromnym tabu. Weszła do głównego nurtu debaty dzięki Omarowi Sy.

numer 1 z Los Angeles, Omar Sy jedzie zobaczyć sekwoje. – Bombowa sprawa – mówi. W swojej kolekcji motocykli ma między innymi harleya davidsona street glide, hondę gold wing i przerobionego starego triumpha bonneville. – Zawsze lubiłem motory. Kocham ten stan, kocham to poczucie wolności.

Każdy, kto zna Omara Sy, podkreśla, że jest człowiekiem nieustraszoną. – Ma w oczach ogień, zawsze jest pełen energii, bo rozpiera go rzadko spotykana, nienasycona ciekawość świata i innych ludzi – opowiada Virginie Efra, która grała z nim w *Nocnym konwoju*. Colin Trevorrow, reżyser *Jurassic World*, ujął rzecz inaczej: – Omar i ja lubimy wygrzebywać się z kłopotów, w które sami się pakujemy. Czasami mówimy, że każdy z nas raz po raz próbuje uśmiercić swoją karierę.

Apetyt Omara Sy na ryzyko jest nierozdzielnie związany z jego pragnieniem uczenia się nowych rzeczy. W 2017 roku wystąpił w filmie *Knock*, adaptacji sztuki teatralnej sprzed blisko stu lat, opowiadającej o małomiasteczkowym oszuście. Sukcesu nie było (jeden z krytyków nazwał film „niewyobrażalnym śmieciem”), ale dzięki temu doświadczeniu Sy mógł posmakować teatru. Zamarzył mu się występ na scenie. Niedawno kupił prawa do adaptacji *Bratniej duszy*, krwawej, mocnej powieści Davida Diopa o senegalskim żołnierzu na froncie pierwszej wojny światowej. Przerobił książkę na monodram i latem 2021 roku wystąpił na Festiwalu Teatralnym w Awinionie. (Nieco wcześniej powieść otrzymała Międzynarodową Nagrodę Bookera).

– Aby osiągać rzeczy wielkie, trzeba ryzykować. Ale często tak naprawdę w ogóle nie dostrzegam ryzyka. Dla mnie po prostu na tym polega moja praca. Nie mogę pozwolić sobie na wpadanie w rutynę, aktorstwo to nie chodzenie do biura każdego dnia i robienie tych samych rzeczy, które robiliśmy rok temu. Jesteśmy artystami, a nie rzemieślnikami. Rzemieślnik produkuje identyczne krzesła tydzień po tygodniu. Artysta za każdym razem tworzy coś nowego.

Pół roku po przeprowadzce do Los Angeles, kiedy był u szczytu popularności nad Sekwaną, Sy dostał rolę w filmie *X-Men: Przeszłość, która nadejdzie*. Zagrał Lucasa Bishopa, czerwonoookiego mutantu z dredami,



**SŁOWA SĄ
JAK PTAKI,
KTÓRE
UCZYMYS
ŚPIEWAĆ**

—
BRRRR! Sy dodaje gazu, wiatr wieje mu prosto w twarz. Motocykl pędzi szosą



**Copernicus
Center
PRESS**

który przybywa z przyszłości, by zapobiec tragedii. Rozmach produkcji był zachwycający, a do tego jeszcze efekty specjalne, o jakich we Francji filmowcy nie mogli nawet pomarzyć. Sy sądził, że przenosiny do Ameryki popląciły. Na premierę przywdział swój najelegantszy garnitur i dumnie wkroczył na czerwony dywan. „To najlepszy film z serii o X-menach – oznajmił reporterowi, uśmiechając się szeroko. – Nie mówię tak tylko dlatego, że w nim gram”. Światła na sali przygasły, zabrzmiała muzyka. Omar Sy rozsiadł się w fotelu, gotów cieszyć się chwilą. – Jestem przeszczeniwy, oglądam film, a tu oj, nie, oj, nie, oj, nie – wspominał pewnego razu, kręcąc głową. – Mojego bohatera nie ma na ekranie.

Okazało się, że większość scen z udziałem Lucasa Bishopa została wycięta z filmu, który dla Omara miał być trampoliną do sukcesu w Ameryce. – Wyszła z tego dobra lekcja. Nauczyłem się, jak działa Hollywood – powiedział mi. Najbardziej ubodło go, że studio nawet nie raczyło go poinformować o zmianach w filmie. – Zrobili mi brutalną niespodziankę. Z drugiej strony bardzo mnie to ubawiło.

Trevorrow mówi, że kiedy przystępowała do pracy nad *Jurassic World*, długo rozmawiali o tym, w jaki sposób, by tak rzec, „przetłumaczyć Omara Sy na amerykański”. – Chciałem odkryć, co trzeba zrobić, żeby aktor, którym jestem w Ameryce, jak najbardziej przypominał aktora, którym byłem we Francji – opowiadał Sy. Coraz lepiej szło mu w Hollywood, lecz role, choć całkiem dochodowe, nie przynosiły mu raczej satysfakcji. Zdołał świetnie opanować angielski, ale mówił z akcentem. Kwestiom, które musiał wypowiadać na ekranie, brakowało często emocjonalnego zniuansowania z powodu słabego scenariusza, ale również z powodu interpretacji aktorskiej. Moja pierwsza rozmowa z Omarem Sy odbyła się krótko po tym, gdy nie dostał anglojęzycznej roli, na której bardzo mu zależało. (Zdradził tylko, że chodziło o film z serii o superbohaterach, ale nie ujawnił żadnych dodatkowych szczegółów). Zdawało się, że ma dwie równoległe kariery. We Francji był królem kina, w Ameryce – solidnym pracownikiem najemnym. Niedawno dzielił czas między *Nocny konwój* Anne Fontaine i animację pod

tytułem *Śnieżna paczka*. (Jak mówi Wikipedia, użył głosu „Leopoldowi, wydrze z francuskim akcentem, wyznającej teorii spiskowej”).

Praca nad *Lupinem* dla Netflixu okazała się doskonałą szansą, by połączyć oba aspekty życia zawodowego Omara Sy. – Nie chcieliśmy zrobić serialu dla żadnej francuskiej telewizji, bo pewnie wyszedłby tani i po prostu nudny – tłumaczył Letierrier. Natomiast francuskojęzyczna produkcja przeznaczona dla międzynarodowej widowni mogła wreszcie odpowiednio wykorzystać talenty Omara Sy i zarazem zapewnić mu globalną rozpoznawalność. Przez kilka lat rozważano różne koncepcje: czy *Lupin* ma dziać się w epoce *fin de siècle*’u? A może w przyszłości? Gdy twórcy zdecydowali się na współpracę z Netflixem, wydarzenia nabrały tempa. Sy znalazł sposób na zostanie amerykańską supergwiazdą dzięki francuskojęzycznej roli. *Le cheval de Trappes* znów pokazał, na jakie sztuczki go stać.

Twórcom udało się również przeszmuglować w serialu ważny morał: niewidzialność bywa atutem. Prawie nikt nie docenia Assane’a. Nawet matka jego dziecka nie zdaje sobie sprawy z jego wyczynów i uważa go za nieudacznika, który nie umie zacząć się w żadnej pracy. Ludzie nabierają się na jego przebrania, od razu widzą w nim zwykłego dozorcę, więźnia, kuriera rowerowego.

Tymczasem Assane wykorzystuje tę obojętność do swoich celów.

Ekipie zależało na tym, by uczynić owo przesłanie „integralną częścią fabuły, elementem, którym będziemy się bawić”. – Nie chcieliśmy mówić tego wprost – opowiada Sy. W jednym z odcinków Assane udaje serwisanta, którego przysłano, żeby zaktualizował komputer skorumpowanego komisarza policji. Komisarz pyta go o dowód tożsamości; Assane jest zdumiony. „Serio?” – pyta. – To trochę rasistowskie”. Komisarz natychmiast się wycofuje. Assane to mistrz przebrań, dzięki którym ukrywa swoją siłę i zdolności, a zarazem ujawnia uprzedzenia swych wrogów.

Sy mówił mi, że na początku kariery czuł się jak bohater *Truman Show*. – Spodziewałem się, że pewnego dnia ktoś przyjdzie i powie: „Hej, stary, to był tylko jeden wielki kawał! Pora wracać do rzeczywistości” – przyznaje. – Nadal uważa tempo swojej kariery za coś rzadko spotykanego, patrzy na to jednak z innej perspektywy. Gdy zapytałam go, co sądzi o swoim niedawnym sukcesie, odparł z błyskiem w oku: – To największy przekręt na świecie!

Artykuł pierwotnie ukazał się w magazynie „The New Yorker” z 13 czerwca 2021 roku.
Copyright © 2021 by Lauren Collins.



JAK NAPRAWIĆ PRZYSZŁOŚĆ? 2050 ROK

Apokalipsa ekologiczna, technologie, nad którymi przestajemy panować, rosnące nierówności społeczne, cyberwojny, populści, fake newsy...

O tym, jak naprawić przyszłość w duchu filozofii „zrób to sam”, rozmawiam z ekspertami z różnych dziedzin. Namawiam ich, by weszli w buty futurologów i spróbowali opisać, jak będzie wyglądał świat w 2050 roku.

Posłuchajcie!
Barbara Sowa

Słuchaj co miesiąc na magazynpismo.pl i popularnych platformach podcastowych.

Mecenas podcastu:

POEZJA



Poezja
w „Piśmie”
powstaje przy
wspieraniu
**Instytutu
Kultury
Miejskiej**
w Gdańsku,
organizatora
festiwalu
**Europejski
Poeta Wolności.**

Warunek pamięci

LULJETA LLESHANAKU

Oto epitafium nagrobne Rzymianki

zmarłej w 135 roku p.n.e.:

Rodzice nadali jej imię Klaudia.

Kochała męża całym sercem.

Urodziła dwóch synów.

Była miła w rozmowie i cierpliwa.

Dbła o dom, przędła wełnę.

Kobiety, które znałam

można opisać równie prosto, za pomocą jednej linii:

M. szorowała miedziane naczynia piaskiem.

L. tak bardzo marzyła o synach, że została pokarana krótkim życiem.

S. robiła najlepsze marynaty.

H. nigdy nie przestała opłakiwać brata skrytobójczo zamordowanego.

F. jako pierwsza odkryła, że do białej sukni najlepiej pasują żółte róże.

D. prasowała męzowskie spodnie w idealny kant,

nawet kiedy wiedziała, że idzie do innej kobiety.

P. dogadywała się z teściową.

S. usuwała ciążę co pół roku.

T. zawsze miała oczko w pończosze i słodki uśmiech.

N. świetnie paliła kawę, jeśli ją miała.

R. potajemnie sprzedawała własną krew.

Z. wiele nocy spała na dworze wyganiana z domu przez pijanego męża,
ale trzymała język za zębami...

Tylko jedno zdanie,

oszczędne jak pożółkły telegram: dwadzieścia qindarek za sylabę,
z mnóstwem błędów

– jedyny sposób, aby je zapamiętać.

Tylko jedna ciągła linia

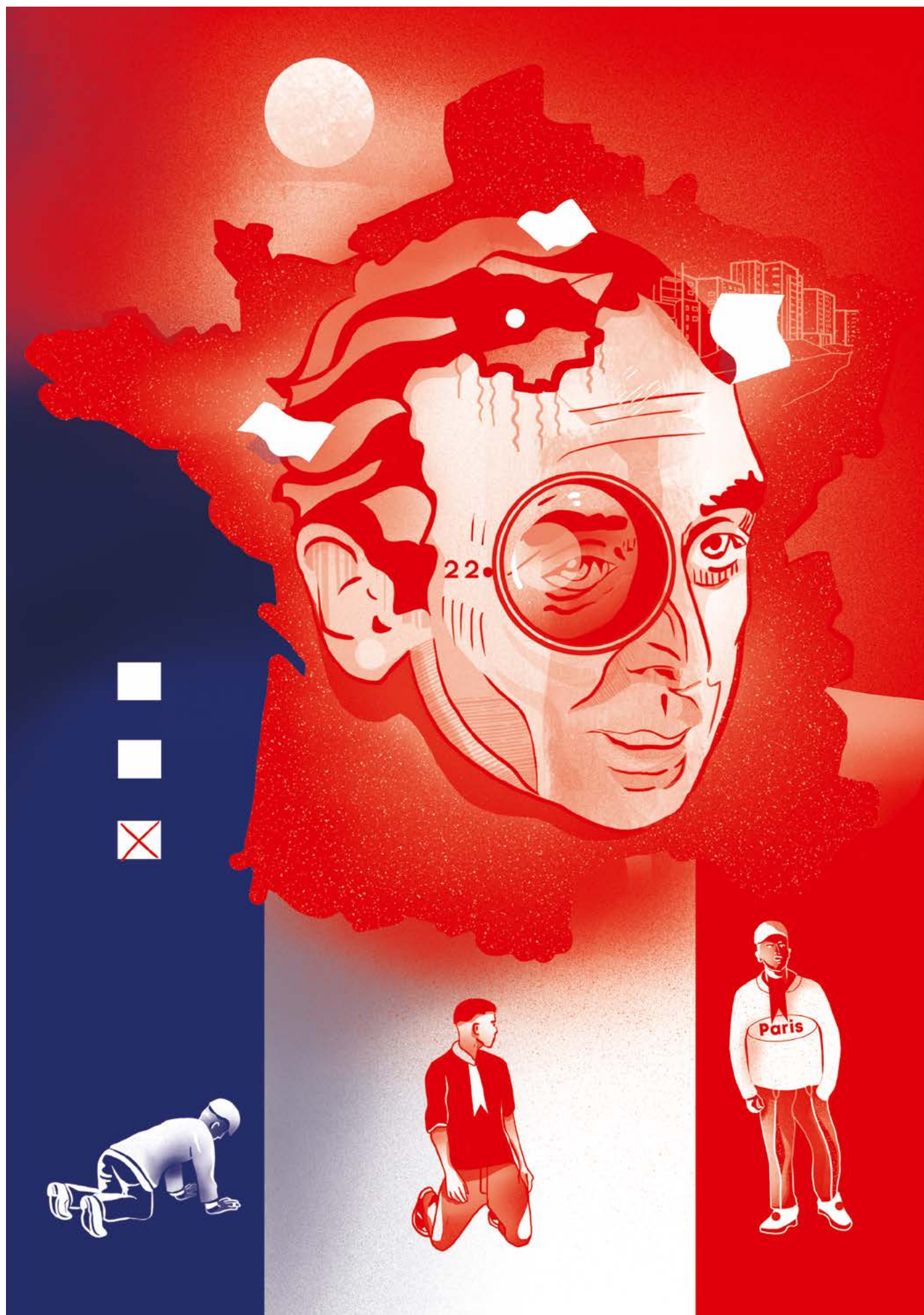
jak szkic Picassa *Gołąb i twarz...*

Myślisz, że to takie proste?

przełożyła Dorota Horodyska

LULJETA
LLESHANAKU

(ur. 1968), poetka, dziennikarka, tłumaczka, autorka scenariuszy. Ukończyła filologię albańską na Uniwersytecie w Tiranie. Od 1994 roku opublikowała osiem tomików wierszy w języku albańskim. Jej twórczość publikowana była w Austrii, Chorwacji, Francji, Hiszpanii, Polsce, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Włoszech. W ramach drugiej edycji EPW w 2011 roku ukazał się w Polsce jej zbiór *Dzieci natury* (*Femijët e natyrës*, przeł. Dorota Horodyska).



Francuzi wstają z kolan

tekst SZYMON ŁUCYK

„NIE MACIE SIĘ CZEGO WSTYDZIĆ!” – przekonuje swoich rodaków Éric Zemmour, publicysta i kandydat na prezydenta Francji. Sprawnie gra na zbiorowej nostalgii za minioną świetnością, skwapliwie upychając w szafie wypadające z niej trupy.

O pasana trójkolorową flagą trumna sunie powoli na barkach sześciu żołnierzy w stronę wejścia do Panteonu. Wojskowy orszak na oczach paryskich widzów kroczy po długim czerwonym dywanie przy dźwiękach jazzu i przedwojennych szlagierów.

Josephine Baker – zmarła w 1975 roku artystka, gwiazda musicalu, Amerykanka i Francuzka, członkini francuskiego ruchu oporu i bojownicza o prawa Afroamerykanów – wchodzi do paryskiego Panteonu, narodowego mauzoleum, miejsca spoczynku najwybitniejszych Francuzów. Pierwsza czarnoskóra kobieta pod kopułą świątyni francuskiej republiki. „Ucieleśnienie ducha francuskiego” – jak powiedział o niej prezydent Emmanuel Macron, przewodzący całej ceremonii. Dla wielu Francuzów Baker symbolizuje *la France métissée*, czyli Francję wielu kolorów skóry, wielokulturową i wieloetniczną.

Uroczystość symbolicznego pochówku w Panteonie odbyła się 30 listopada 2021 roku. Tego samego dnia najgłośniejszy dziś francuski publicysta Éric Zemmour, szowinista, mizogin i historyczny rewizjonista, ogłosił oficjalnie start w wyborach prezydenckich.

Te dwa wydarzenia, z pozoru odległe – Josephine Baker w Panteonie i wyborcza deklaracja Érica Zemmoura – łączy o wiele więcej niż tylko wspólna data.

PARYŻ, KONIEC LISTOPADA 2018 roku. Mała Księgarnia Francuska (tak się po prostu nazywa) w burżujskiej XV dzielnicy, nieopodal wieży Eiffla.

Księgarnia, a może gabinet osobliwości? Na ścianach królewskie lilie, symbol francuskich rojalistów. Kupicie tu krawaty z monarchistycznymi emblematami, spinki do mankietów z logo „tradycyjnej” rodziny z dziećmi (używane przez przeciwników małżeństw jedнопłciowych), gadżety z podobiznami marszałka Philippe’a Pétaina, przywódcy kolaborującego z Hitlerem państwa Vichy. Wśród masy książek sąsiadują ze sobą pozycje ultrapravicowych publicystów, dziełka o masonach, spisku światowym elit, biografie mistyków chrześcijańskich, literatura katolicka z nurtu integralizmu.

Stoję w kolejce po autograf Érica Zemmoura, autora wydanego właśnie dzieła *Destin français* (*Francuski los*). Autor się spóźnia, ogonek rośnie, kilkadziesiąt osób, prawie wyłącznie białych mężczyzn, ledwo się mieści w ciasnym wnętrzu między regałami. Większych tłumów tu nie ma, bo miejsce jest niszowe.

Starszy inżynier z przedmieść Paryża: – Zemmour to przykład Francuza i Żyda w jednym. Religijnego żyda i francuskiego nacjonalisty – nie ma w tym żadnej sprzeczności.

W księgarni dostrzegam czarnoskórego mężczyznę. Urodził się we Francji, ale jego rodzice przyjechali

z Mali. – Zemmour głosi rzeczy niepoprawne politycznie. Na przykład to, że imigranci spoza Europy nie chcą się integrować. Nie są, jak dawni imigranci, dumni z bycia Francuzami. Kiedy mówię znajomym, że blisko mi do poglądów Zemmoura, odpowiadają mi: „Masz szczęście, że jesteś czarnoskóry, bo inaczej uznano by cię za rasistę”. Polacy są dumni z bycia Polakami, Hiszpanie i Algierczycy też, a Francuzi – nie. Więc jak imigranci mają nas szanować?

Obok stoi Serge, emeryt, zdeklarowany rojalista: – Kiedyś byliśmy pierwszą potęgą światową. Ale niestety porzuciliśmy katolicyzm. Imigracja dziś nas zalewa, a nasz rząd nic nie robi. Rządzący chcą jednego światowego państwa, a nie Francji. Idee Zemmoura mnie pociągają, bo chce on zatrzymać nasz upadek.

Pierre, młody nauczyciel tenisa, nie jest fanem Zemmoura, ale bardzo go podziwia: – Uważam, że Zemmour jest bardzo odważny. Sprzeciwia się „jedynie słusznej myśli” mediów głównego nurtu. Nie zgadzam się z nim we wszystkim, ale co do imigracji na ogół ma rację. Jestem za integracją przybyszów, on chce, żeby wszyscy się zasymilowali, nawet do tego stopnia, żeby zabraniać rodzicom nadawania obcych imion, jak Mohamed. Ale tu już idzie za daleko, tak uważam.

Jego kolega, Francisco, francuski handlowiec o hiszpańskich korzeniach, popiera Zemmoura, bo ten broni francuskiej tożsamości. – On ma rację, gdy mówi, że grożą nam imigranci spoza Europy – nie chcą się adaptować i narzucają nam swoją kulturę. A do tego lewicowi intelektualści i media przez ostatnie czterdzieści lat zniszczyli u nas wszystkie tradycyjne struktury: rodzinę, religię, autorytety. I co nam teraz zostało?

W tej męskiej kolejce znajduję wreszcie kobietę. Anne, młoda finansistka z Paryża, mówi cicho, jakby zakłopotana. Przychodzi do księgarni od czasu do czasu, bo szuka tu książek religijnych. – Cenię Zemmoura, oglądam jego programy. On myśli pod prąd, a to dla mnie ważne. Nie ufam w ogóle politykom, za to wierzę w siły ponadnaturalne, które nas wspierają. I to mi daje jeszcze nadzieję...

„ZEMMOUR NA PREZYDENTA”? Jeszcze latem 2021 roku nikt nie brał tego na serio. Po prostu boki zrywać! Burmistrzynie Paryża, socjalistka Anne Hidalgo – też kandydatka na najwyższy urząd – nazwała Zemmoura „pajacem” i „rasistą”, odmawiając podjęcia z nim publicznej debaty.

Dziś ten „pajac” może się okazać czarnym koniem wyborów prezydenckich we Francji. Minionej jesieni niektóre sondaże dawały mu nawet drugą pozycję – za faworytem, liberalnym prezydentem Emmanuelem Macronem – z poparciem na poziomie 17 procent. Tym samym

Sila Zemmoura tkwi w tym, że jest zręcznym polemistą, wystawia się jak intelektualista, zna dobrze historię Francji i potrafi nia sprytnie manipulować, kiedy jest to dla niego wygodne.

Zemmour wyprzedzał Marine Le Pen, szefową również skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego.

Jak do tego doszło, że ultrakonserwatywny publicysta, dwukrotnie prawomocnie skazany za rasistowskie i antyislamskie wypowiedzi, znalazł się z dnia na dzień w czołówce wyścigu do Pałacu Elizejskiego?

Drobny, zapalczawy, ruchliwy, wciąż gestykulujący, z pochyloną nisko głową, jak bokser na ringu. W bezpośrednim kontakcie Zemmour nie ma w sobie charyzmy, ale przed kamerą budzi się w nim coś magnetycznego. To zwierzę telewizyjne, które zapragnęło zostać zwierzęciem politycznym. Sześćdziesięcioletni Zemmour od kilkunastu lat stale gości we francuskich domach. Na początku kariery, jako reporter i publicysta dziennika „Le Figaro”, zdobył sławę dzięki telewizji. Przez kilka lat debatował co tydzień w jednym z najbardziej popularnych wieczornych talk-show kanału telewizji publicznej France 2 *On n'est pas couché* (Jeszcze nie śpimy). Po przejściu do telewizji prywatnej został stałym komentatorem codziennego wieczornego programu publicystycznego w kanale informacyjnym CNews. Za sprawą Zemmoura CNews stał się w latach 2019–2021 najchętniej oglądanym kanałem informacyjnym we Francji w *prime time* między godziną dziewiętnastą a dwudziestą.

Zemmour dał się od razu poznać jako pogromca politycznej poprawności, ultrakonserwatysta zaciekle atakujący imigrantów, muzułmanów, Unię Europejską, feministki i aktywistów LGBT+. Z biegiem czasu stawał się coraz bardziej radykalny w swoich poglądach, prześcigając w prawicowym radykalizmie nawet wspomnianą wcześniej szefową nacjonalistycznego Frontu Narodowego [obecnie Zjednoczenia Narodowego – RN] Marine Le Pen.

Paradoksalnie ów kandydat na prezydenta, znany z antyimigranckich wypowiedzi, nie jest rodowitym Francuzem. Pochodzi z rodziny żydowskiej mieszkającej od pokoleń w Algierii, która przybyła nad Sekwanę dopiero w połowie minionego wieku. Éric, syn repatriantów, urodził się na przedmieściach Paryża, ale nie kryje sentymentu do ziemi przodków (nazwisko Zemmour pochodzi z języka berberyjskiego i znaczy „drzewo oliwne”).

Zanim ogłosił swój start w nadchodzących wyborach prezydenckich, nigdy nie zajmował się czynnie polityką. Étienne Girard, autor wydanej właśnie biografii Zemmoura *Le Radicalisé* (Zradykalizowany), ujawnia, że publicysta w młodości marzył o karierze politycznej i dwukrotnie zdawał, bez sukcesu, do elitarniej Państwowej Szkoły Administracji (ENA) – skąd wywodzi się większość rządzących dziś Francją. Z tą młodzieńczą porażką ponoć

Esej w „Piśmie” powstaje przy wsparciu Fundacji Jana Michalskiego.

FONDATION
JAN MICHALSKI
POUR
L'ÉCRITURE
ET LA
LITTÉRATURE

nigdy do końca się nie pogodził. Tym właśnie faktem Girard tłumaczy niechęć Zemmoura do *establishmentu* i jego dzisiejsze ambicje polityczne, mające powetować upokorzenie z czasów studenckich.

Na politycznej szachownicy Zemmour sytuuje się na prawo od Marine Le Pen. Chętnie używa agresywnego języka wobec imigrantów, a zwłaszcza muzułmanów, podczas gdy szefowa RN w ciągu ostatniej dekady złagodziła swoją antyislamską retorykę i dziś podkreśla, że walczy z islamistami, a nie z Francuzami wyznania muzułmańskiego. Różni ich też spojrzenie na prawa kobiet – Le Pen nie omieszkła w obecnej kampanii wytknąć Zemmourowi jego ultrakonserwatywnych poglądów.

W sprawach gospodarczych byłemu publicyście jest bliżej do ochrony interesów pracodawców niż szefowej RN (Zemmour jest na przykład za stopniowym podniesieniem wieku emerytalnego z sześćdziesięciu dwóch do sześćdziesięciu czterech lat, gdy Le Pen postuluje jego obniżenie do sześćdziesięciu lat pod warunkiem płacenia składek przez czterdzieści lat).

Oboje kandydatów skrajnej prawicy łączy niewątpliwie niechęć do muzułmanów i imigrantów spoza Europy, nastawienie antyunijne, pochwała rządów silnej ręki. Pytany w 2018 roku przez dziennikarza gazety „L'Opinion” o współczesnych przywódców, którzy najlepiej bronią interesów swojego kraju, Zemmour wymieniał – podobnie jak Le Pen – Władimira Putina i Donalda Trumpa; o tym pierwszym wyraził się następująco: „Marilyn mi się francuski Putin, ale go nie ma”.

Program Zemmoura można sprowadzić do trzech słów, zaczynających się (po francusku) na „i”: *immigration, islam, identité*, czyli: imigracja, islam, tożsamość.

Na swoim pierwszym wiecu w Villepinte pod Paryżem, 5 grudnia 2021 roku, był już publicysta, ogłaszając powstanie własnej partii o nazwie Reconquête (Rekonkwista), oświadczył, że celem jego polityki jako prezydenta będzie „imigracja zero”. Także Le Pen chce raptownego zatrzymania imigracji; ogłosiła w trakcie obecnej kampanii, że po swoim zwycięstwie rozpisze narodowe referendum, aby wpisać do konstytucji zasadę całkowitej kontroli władz Francji nad imigracją, niezależnie od unijnej legislacji.

Trzeba zaznaczyć, że według oficjalnych danych do Francji przybywa legalnie co roku prawie 280 tysięcy osób (dane z 2019 roku, ostatniego przed pandemią). Imigranci stanowią dziś około 10–11 procent mieszkańców Francji. Jeśli wziąć pod uwagę także drugie pokolenie, to mniej więcej co czwarty Francuz ma obce pochodzenie.

Gdyby więc wprowadzić proponowaną przez Zemmoura „zerową imigrację”, byłoby to polityczne trzęsienie ziemi.

ZEMMOUR JEST NIE TYLKO OSOBOWOŚCIĄ medialną, ale także bardzo poczytnym eseistą i pamflicistą. Początkiem jego wielkiej popularności był bestseller *Francuskie samobójstwo* z 2014 roku. Tylko w ciągu dwóch miesięcy od ukazania się książki sprzedano czterysta tysięcy egzemplarzy.

„Francja gaśnie, Francja dogorywa, a tymczasem jej kosmopolityczne elity pluja na jej grób i pastwią się nad jeszcze świeżym trupem” – oto główna teza tego opasłego pamfletu (tłum. S.L.). Według Zemmoura od śmierci francuskiego przywódcy generała Charles’a de Gaulle’a w 1970 roku runęły wszystkie fundamenty „starej, dobrej Francji”: patriarchalny model rodziny, wartości narodowe, szacunek dla pracy.

W swoich filipikach przeciw „zgniłym” liberalnym, kosmopolitycznym elitom autor przeciwstawia je „zdrowej” większości narodu. Francuskie warstwy ludowe opisuje w sposób dość osobliwy. „Dla Zemmoura przedstawicielem «ludu» jest tylko biały mężczyzna, rdzenny Francuz, najlepiej katolik, żonaty, głowa rodziny wielodzietnej. Jeszcze lepiej, jeśli jego żona nie pracuje i wychowuje dzieci” – tak pisali, niewiele przesadzając, politycy Zielonych Noël Mamère i Patrick Farbiaz w książce *Contre Zemmour (Przeciw Zemmourowi)*.

Już we *Francuskim samobójstwie* Zemmour przedstawiał przyjazd przybyszów z innych krajów jako apokalipsę, która oznacza rychły koniec francuskiej tożsamości, zalanej przez obce jej kultury. Przede wszystkim – przez muzułmanów, którzy, jak zaznaczają we wspomnianej książce Mamère i Farbiaz, są prawdziwą obsesją prawnicowego publicysty. Tezę o rzekomej groźbie islamizacji powtarzał potem wielokrotnie. „Islam potęguje wszystkie nasze problemy, które przybrały już na sile wskutek imigracji. Spada więc na nas podwójna kara” – powiedział podczas gościnnego wystąpienia na konwencji skrajnej prawicy we wrześniu 2019 roku.

Jak wytłumaczyć fenomen popularności Zemmoura? Olivier Mazerolle, wieloletni dziennikarz polityczny wielu ważnych stacji francuskich, między innymi radia RTL i telewizji BFM i LCI, podkreśla, że Zemmour, podobnie jak Le Pen, złamał w debacie publicznej tabu krytyki masowej imigracji.

– Popularność Zemmoura jest rezultatem tego, że przez czterdzieści lat zamiatano pod dywan kwestie migracyjne. Politycy zgodzili się na masowe dołączanie do Francji rodzin pracowników spoza Europy, ale nie przygotowali instytucji na ich przyjęcie. W efekcie żyjący we własnym gronie imigranci zaczęli tłoczyć się na przedmieściach, dochodziło tam do zamieszek między młodzieżą a policją. Na podmiejskich osiedlach zaczęły prosperować gangi dilerów, a potem pojawili się tam ideolodzy islamizmu. Skutki tamtych zaniedbań



odczuwamy mocno dzisiaj i na nich zbijają kapitał Le Pen i Zemmour – wyjaśnia w rozmowie ze mną Mazerolle.

Jego zdaniem, w przeciwieństwie do większości polityków, przedstawiciele skrajnej prawicy potrafią mówić o imigracji wprost, a nawet brutalnie. Według Mazerolle'a, ten prosty język podoba się części wyborców, nawet jeśli nie zgadzają się z proponowanymi przez prawicowych radykałów rozwiązaniami. – Siła Zemmoura tkwi w tym, że jest zręcznym polemistą, wysławia się jak intelektualista, zna dobrze historię Francji i potrafi nią sprytnie manipulować, kiedy jest to dla niego wygodne. Poza tym zwykły człowiek ma wrażenie, że w przeciwieństwie do zarozumiałych polityków Zemmour traktuje go poważnie, nie jak jakiegoś „kmiotka” – dodaje dziennikarz.

Z ubiegłorocznego opracowania dotyczącego pozycji politycznej Zemmoura, opublikowanego przez Fundację Jean-Jaurès, wynika, że jego elektorat liczy zdecydowanie więcej mężczyzn niż kobiet (co po części daje się tłumaczyć mizoginią publicysty) i obejmuje niemal w równym stopniu różne grupy społeczne, bez względu na wykształcenie i miejsce zamieszkania. Marine Le Pen spotyka się natomiast z większym poparciem na terenach wiejskich niż w miastach, chociaż cieszy się dużym poparciem wśród osób uboższych, w tym robotników. „Marine Le Pen udało się już w poprzednich wyborach podbić elektorat kobiecy” – dodaje analityk Tristan Guerra z Fundacji Jean-Jaurès, cytowany na stronie informacyjnej Public Senat.

—
PRÓBĘ RZECZOWEGO SPORU z Zemmourem podjął swego czasu lewicowy francuski eseista (od 2019 roku także eurodeputowany) Raphaël Glucksmann. W ostrej debacie telewizyjnej z prawicowym publicystą w 2016 roku podkreślał on, że absolutyzowana przez Zemmoura i innych ideologów nacjonalizmu tożsamość narodowa – rozumiana jako coś trwałego, niezmiennego od wieków – w rzeczywistości nieustannie ewoluuje, ulega wpływom.

„Próbujecie nam wmówić, że każde najmniejsze mieszanie się [Francuzów z innymi] grozi śmiercią narodu” – atakował Glucksmann Zemmoura w studiu telewizyjnym. Argumentował, że Francja jest ziemią masowej imigracji od co najmniej stu pięćdziesięciu lat. Według Glucksmanna od wieków atutem francuskiej tożsamości narodowej jest właśnie otwartość na przybyszów z innych krajów, jeśli tylko akceptują oni zasady republikańskie: wolności, równości, braterstwa oraz laickości (zwanej też świeckością państwa).

„Już od czasów średniowiecza tożsamość Francji była niespokojna i różnorodna – z tego właśnie uczyniliśmy naszą siłę. (...) Dlatego dzisiejsze zawłaszczanie tożsamości narodowej przez reakcyjnych [francuskich]

W styczniu tego roku Zemmour został skazany za wypowiedź z 2020 roku, w której nazwał nieletnich imigrantów przybywających do Francji bez opieki „złodziejami”, „mordercami”, „gwałcicielami”.



myślicieli jest katastrofą dla Francji” – przekonywał Glucksmann na antenie radia France Inter w 2016 roku, czyniąc znów czytelne aluzje do Zemmoura. Wniosek, jaki możemy wysnuć z tez Glucksmanna, jest jasny: to właśnie Zemmour – a nie atakowane przez niego liberalne elity – odrzuca francuską tożsamość, gdy wyklucza z narodowej wspólnoty muzułmanów czy innych pozaeuropejskich imigrantów.

Z kolei znany francuski dziennikarz bliski centroprawicy, Franz-Olivier Giesbert, twierdził, polemizując w 2014 roku z Zemmourem na łamach tygodnika „Le Point”, że „uosabia on, jak nikt inny, tę Francję, która się boi i która marzy o tym, aby się odgradzić drutem kolczastym”. Giesbert pisał w tym samym tekście, że nad Sekwaną daje się zauważyć syndrom „paniki tożsamościowej”, czyli strachu przed końcem wartości narodowych, i że według niego Zemmour, podobnie jak Marine Le Pen, jest wyrazicielem tej tendencji. „Czy to się podoba, czy nie, Putinowi, Erdoğanowi czy Zemmourowi, przyszłość świata nie leży w zamykaniu się we własnej grupie czy narcystycznym chowaniu się w sobie” – ripostował.

Organizacje antyrasistowskie regularnie pozywają Zemmoura za jego słowne ataki na muzułmanów i pozaeuropejskich imigrantów. W większości wypadków publicysta wychodził z procesów zwycięsko, korzystając z ochrony wolności słowa. Dwa razy – jak przypomina dziennik „Le Monde” – prawomocnie skazano go jednak na wysokie grzywny. Po raz pierwszy w 2011 roku, za podburzanie do dyskryminacji rasowej, po tym jak powiedział w telewizji Canal+: „większość dilerów narkotyków to czarni i Arabowie, tak już jest”. Po raz drugi otrzymał wyrok skazujący w 2018 roku, za podburzanie do nienawiści religijnej, ponieważ oświadczył w telewizyjnym wywiadzie, że wszyscy wyznawcy islamu „uważają dżihadystów za dobrych muzułmanów”.

Już w trakcie kampanii wyborczej, 17 stycznia 2022 roku, były dziennikarz został ponownie skazany w pierwszej instancji za podburzanie do nienawiści rasowej. Powodem była wypowiedź z 2020 roku w telewizji CNews – Zemmour nazwał nieletnich imigrantów przybywających do Francji bez opieki „złodziejami”, „mordercami”, „gwałcicielami”. Jego adwokat zapowiedział apelację od wyroku.

—
„PAMIĘTAJcie TEN KRAJ – z książek i filmów – kraj Joanny d'Arc i Ludwika XIV, kraj Bonapartego i generała de Gaulle'a...?” – to jedno z pytań, jakie padają w klipie wyborczym Zemmoura.

Przed kamerą słowa te czyta z kartki sam kandydat, siedząc niemal nieruchomo (niemały wyczyn dla hiperaktywnego Zemmoura) przed radiowym mikrofonem.

Dla Francuzów znających trochę dzieje swojego kraju aluzja jest oczywista: obraz nawiązuje do historycznego przemówienia z Londynu w czerwcu 1940 roku, gdy generał de Gaulle, jako szef Wolnej Francji, na falach BBC wzywał w radiu rodaków do oporu przeciw Hitlerowi.

Wszystko zatem jasne: Zemmour to nowy de Gaulle, zbawca ojczyzny. Publicysta oświadcza: „Za późno już na reformowanie Francji. Czas ją ocalić. Dlatego zdecydowałem się kandydować na prezydenta”.

Spojrzenie Zemmoura na przeszłość kraju wpisuje się w nurt rosnący dziś w siłę nad Sekwaną. „Nigdy od dwudziestu lat tak wielu autorów nie brało do ręki pióra, żeby domagać się powrotu *roman national* [epopei narodowej – przyp. S.Ł.]” – pisze troje francuskich historyków: William Blanc, Aurore Chéry i Christophe Naudin w książce *Les historiens de garde* (*Dyżurni historii*) z 2018 roku.

Roman national to konwencja pisania o francuskiej przeszłości, sięgająca korzeniami XIX wieku. Wyróżnia się kilkoma cechami: ujmowaniem losu Francji w oderwaniu od innych krajów, dominacją w narracji roli wybitnych jednostek (na ogół tak zwanych mężów opatrznościowych), założeniami o celowości historii oraz emocjonalnym, zaangażowanym stylem.

Gatunek rozwijali konserwatywni pisarze z przełomu XIX i XX wieku, przede wszystkim Jacques Bainville i Charles Maurras, obaj związani z nacjonalistyczną Action Française (Akcją Francuską). Zemmour uważa ich za mistrzów, a swoje wywody wspiera wielokrotnie cytatai z ich dzieł.

Pewne elementy *roman national* można też dostrzec w polityce historycznej obecnego prezydenta Macrona. Choć sprzeciwia się on gloryfikowaniu dziejów swojego kraju, to jednak – jak zauważa w rozmowie ze mną profesor Georges Mink, politolog z Francuskiej Akademii Nauk (CNRS) – przedmiotem szczególnej admiracji Macrona są wybitni Francuzi i Francuzki.

Mink: – Znany historyk Pierre Nora skrytykował niedawno prezydenta, że ten rzadko celebrowa symbole mogące łączyć wszystkich Francuzów, preferując upamiętnianie postaci i miejsc związanych z poszczególnymi elementami zbiorowej pamięci. Można zatem odnieść wrażenie, że prezydent chce zadowolić poszczególne grupy w społeczeństwie, w tym także etniczne, stąd symboliczny gest umieszczenia Josephine Baker w Panteonie.

—
ÉRIC ZEMMOUR poświęcił historii – oprócz wspomnianego *Francuskiego samobójstwa* – dwa inne swoje głośne eseje: *Mélancolie française* (*Francuską melancholię*, 2010) i *Destin français* (*Francuski los*, 2018). Zgodnie z tradycją *roman national* opiewa w nich rolę wybitnych jednostek,

wielbi bezgranicznie mężów opatrznościowych francuskiej historii – przede wszystkim Napoleona i generała Charles'a de Gaulle'a.

Jak mówi profesor Mink, w wielu swoich tekstach Zemmour uprawia rewizjonizm historyczny, czyli systematyczne negowanie uznanych przez badaczy faktów historycznych. – Usuwanie z własnej historii ciemnych kart, a tym na ogół jest rewizjonizm historyczny, to zjawisko występujące obecnie nie tylko we Francji czy Polsce. Wystarczy spojrzeć na dzisiejszą Turcję, Rosję czy USA. Niektórzy politycy wykorzystują go cynicznie do zdobycia lub utrzymania władzy, podgrzewając wciąż resentymenty historyczne, żeby dzięki nim zdobyć wyborców – tłumaczy.

Przykładem tego rewizjonizmu jest obrona przez Zemmoura kolaborującego z Hitlerem francuskiego reżimu Vichy z lat 1940–1944, kierowanego przez marszałka Philippe'a Pétaina. Ten ostatni należy on do najbardziej kontrowersyjnych postaci francuskiej historii. Z jednej strony – obrońca spod Verdun w czasie pierwszej wojny światowej, współtwórca zwycięstwa ententy; z drugiej – symbol kolaboracji z Niemcami hitlerowskimi podczas drugiej wojny światowej, współodpowiedzialny za śmierć tysięcy Żydów deportowanych wówczas z Francji do Auschwitz.

Zemmour próbuje oczyścić Pétaina z prawie wszystkich zarzutów, które spotykamy w pracach historyków. Mało tego: w książce *Destin français* publicysta stawia Pétaina na piedestale na równi z generałem Charles'em de Gaulle'em, przywódcą Wolnej Francji i ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej. Według Zemmoura francuski marszałek kolaborant bronił rodaków w okupowanej Francji przed wyniszczeniem fizycznym.

Na przekór zdaniu historyków skrajnie prawicowy dziennikarz wielokrotnie powtarzał, że Pétain „ocalił francuskich Żydów”, wydając Niemcom na śmierć „tylko” cudzoziemców pochodzenia żydowskiego (czyli osoby bez francuskiego obywatelstwa). Przywódca Vichy prowadził według niego negocjacje z niemieckim okupantem, żeby ochronić Żydów – obywateli francuskich przed deportacją do obozów śmierci.

Specjaliści, jak znany francuski badacz Vichy Laurent Joly, ripostują zgodnie: dostępne dokumenty wskazują na to, że Pétain i jego najbliższy krąg, zwłaszcza premier Vichy Pierre Laval, nie tylko nie opierali się Hitlerowi, ale wykonywali – czasem nadgorliwie – jego polecenia. Przeciw twierdzeniom Zemmoura w wywiadzie dla „Le Monde” protestował najbardziej znany historyk państwa Vichy, Amerykanin Robert Paxton, autor pionierskich prac na ten temat w latach 70. Podkreślał, że reżim Pétaina rozpoczął politykę antyżydowską wymierzoną tak w obywateli francuskich, jak i w obcokrajowców już w październiku 1940 roku,



z własnej inicjatywy. Dopiero później, a szczególnie od lata 1942 roku, Niemcy zaczęli naciskać na rząd Vichy, by organizował deportację Żydów do Auschwitz. W sumie z Francji w latach 1940–1944 deportowano do obozów śmierci 76 tysięcy osób pochodzenia żydowskiego (w tym trzy czwarte stanowili cudzoziemcy, pozostali byli Francuzami), a akcje te przeprowadzili francuscy funkcjonariusze.

Dodajmy, że przez pół wieku po wojnie władze Francji odmawiały publicznego przyznania, że państwo francuskie ponosi odpowiedzialność za śmierć deportowanych Żydów. Panowała oficjalna wykładnia, że współczesna francuska republika nie powinna przeproszać za zbrodnie reżimu Pétaina. Dopiero prezydent Jacques Chirac w słynnej przełomowej mowie z 1995 roku, w rocznicę tak zwanej oblawy Vel'd'Hiv z lipca 1942 roku (największe masowe aresztowanie Żydów we Francji), podkreślił, że „zbrodnicze szaleństwo okupanta było wspierane przez państwo francuskie”.

– Argumenty Zemmoura rehabilitujące państwo Vichy opierają się na historycznym fałszu. Ale mogą przekonać tych, którzy nie znają dobrze przeszłości, nawet jeśli daleko im do skrajnej prawicy. Manipulacje te są groźne zwłaszcza dla młodego pokolenia, które często nie zna historii XX wieku albo się nią mało interesuje – dodaje profesor Georges Mink.

Sprawa Vichy to najgłośniejszy spośród wielu innych przykład metody Zemmoura: jeśli fakty nie pasują do mojej tezy, tym gorzej dla faktów. Chodzi przecież o to, żeby gloryfikować historię Francji, zamiatając pod dywan mroczne sprawy. Lub też – jak kto woli – wypychać z powrotem trupy do starej szafy.

Francuskie
społeczeństwo,
wewnętrznie
rozdarłe,
przypomina
dziś
konglomerat
słabo
skomunikowa-
nych ze sobą
wysepek.

ZATRZYMAJMY SIĘ NA CHWILĘ na innym przykładzie sporu o pamięć historyczną: wojnie algierskiej z lat 1954–1962, która do dziś jest paliwem dla konfliktów dyplomatycznych między Francją a Algierią. Wojna, w której okrucieństw dopuszczały się obie strony, przyniosła Algierii niepodległość, zmuszając zarazem setki tysięcy zamieszkających tam Francuzów (tak zwanych *pieds-noirs*) do wyjazdu nad Sekwanę. Wśród nich rodziców Érica Zemmoura.

Przez trzydzieści lat po zakończeniu wojny algierskiej – jak zauważyli polscy badacze tej kwestii Jacek Kubera i Łukasz Skoczylas w artykule naukowym *Pamięć o wojnie, wojna o pamięć* z 2012 roku) – władze francuskie prowadziły swego rodzaju „politykę niepamięci” wobec tego konfliktu. Przełom nastąpił w latach 90., kiedy kwerendy archiwalne ujawniły wiele skrzętnie skrywanych tajemnic – między innymi skalę tortur stosowanych przez francuskie wojsko w czasie wojny algierskiej, a następnie tuszowanie tego procederu przez władze.

Jeszcze jako kandydat na urząd prezydenta Emmanuel Macron w 2017 roku określił w wywiadzie dla mediów algierskich kolonizację „zbrodnią przeciw ludzkości” – co wzbudziło we Francji protesty. Już w roli głowy państwa potępił jako „zbrodnie niewybaczalną dla republiki” tak zwaną masakerę paryską z 17 października 1961 roku. Tego dnia policja francuska brutalnie stłumiła pokojową manifestację Algierczyków w Paryżu, zginęło co najmniej kilkadziesiąt osób (dokładna liczba ofiar nie jest do dziś znana, część ciał wrzucono do Sekwany i nigdy nie odnaleziono).

Dla Zemmoura tego rodzaju polityka historyczna prezydenta wobec dawnej kolonii francuskiej jest przejawem poniżania się Paryża wobec Algieru. „Dość już tej litanii wszystkich naszych prezydentów, od czasów Chiraca wciąż bijących się w piersi, w sposób skandaliczny i haniebny, w imieniu naszych przodków!” – grzmiał w 2018 roku we francuskim radiu RTL, odnosząc się do pamięci wojny algierskiej.

Polityka historyczna może być albo narzędziem pojednania, albo instrumentem skłócania narodów, jak zauważa profesor Mink. We francuskich realiach tę pierwszą reprezentuje Macron, tę drugą – Zemmour czy Le Pen.

– Żeby zrozumieć politykę historyczną Macrona, trzeba pamiętać, że jednym z jego mistrzów był filozof Paul Ricoeur, który w swojej myśli kładł nacisk na pracę pamięci, jej ciągłe konstruowanie – tłumaczy Georges Mink. – Według Ricoeura pamięć może być dobra lub zła. Czasem możemy się pojednać dzięki temu, że o czymś zapomnimy. Ale co bardzo ważne, żeby do tego doszło, trzeba najpierw ujawnić i wypowiedzieć na głos prawdy, nawet te bolesne.

PORA ZAPYTAĆ, czy w kwietniu 2022 roku skrajna prawica w osobie Zemmoura lub Le Pen ma naprawdę szansę zdobyć Pałac Elizejski? Sondaże przedwyborcze z początku lutego tego roku wskazywały, że Zemmour może liczyć na 15 procent poparcia, idąc łeb w łeb z konkurentką z umiarkowanej prawicy, Valérie Pécresse. Oboje wyprzedza nieznacznie Marine Le Pen – 17 procent (sondaż Ifop z 8 lutego). Daleko przed tą trójką jest urzędujący prezydent, Emmanuel Macron z 25 procentami poparcia. Prognozy na dwa miesiące przed wyborami wskazywały zgodnie, że to obecny prezydent wygrałby drugą turę, niezależnie od tego, z kim zmierzyłby się w decydującej rundzie.

Niezależnie od końcowego wyniku jedno jest jasne: skrajna prawica – sumując poparcie sondażowe Zemmoura i Le Pen – gromadzi we Francji niemal jedną trzecią głosów. Podkreślmy – już w pierwszej turze. To rzecz bez precedensu w powojennej historii kraju.

Nestor francuskich dziennikarzy politycznych Alain Duhamel pisał już kilka lat temu, że konserwatywny skręt francuskiej opinii publicznej nie jest tylko chwilowym kaprysem, ale długotrwałą tendencją. „Zemmour nie jest sam. Zgromadzeni wokół niego dziennikarze i felietoniści dzielą jego obsesję schyłku Francji i przekonanie o francuskiej zapaści. Zemmour jest dyrygentem, a oni chórzystami” – zauważał Duhamel w książce *Les pathologies politiques françaises (Polityczne patologie Francuzów)* wydanej w 2016 roku. W wyborach prezydenckich w 2017 roku Marine Le Pen weszła do drugiej tury, gdzie przegrała z Macronem (uzyskując jednak w decydującym pojedynku prawie 34 procent głosów).

Do „chórzystów” Zemmoura Duhamel zaliczał zarówno wpływowych dziennikarzy – jak obecną redaktorkę naczelną tygodnika opinii „Marianne” Natachę Polony, publicystę ekonomicznego *Nicolas* Baverę czy publicystę „Le Figaro” Ivana Rioufola, ale także popularnych w mediach filozofów, w tym Alaina Finkelkrauta, członka prestiżowej Akademii Francuskiej. Grono „schyłkowców”, wymienionych przez publicystę, możemy uzupełnić o najbardziej dziś znanego za granicą pisarza francuskiego Michela Houellebecqa, autora *Uległości, political fiction* z 2015 roku. Na kartach tej książki literacki skandalista snuje pesymistyczną wizję objęcia władzy przez prezydenta islamistę w ogarniętej rozkładem społecznym Francji. A miałoby się to stać w 2022 roku. Dziś ten sam pisarz w najnowszym thrillerze politycznym *Anéantir (Unicestwić)* znów snuje dość posępną opowieść, której akcja dzieje się pięć lat później. I znowu przyglądamy się wyścigowi prezydenckiemu, tyle że tym razem w roli faworyta wyborów występuje były prezenter telewizyjny.

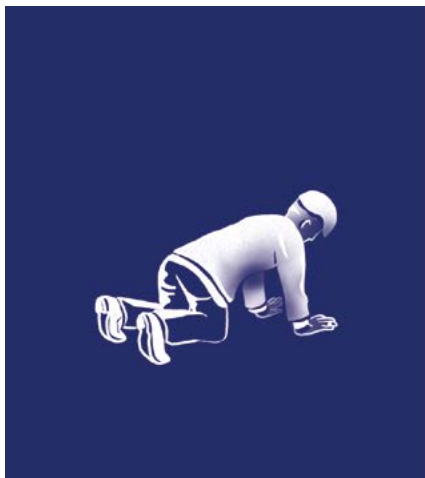
Proroctwo Houellebecqa z *Uległości* nie spełniło się. Natomiast słowa Duhamela sprzed sześciu lat wydają się dzisiaj jeszcze bardziej aktualne: to zapatrzona w przeszłość prawica nadaje teraz ton kampanii wyborczej.

Nostalgia za starą Francją, podsycana dla politycznych celów przez Zemmoura, Le Pen *et consortes* trafia dziś na podatny grunt, bo Francuzi mają realne powody do lęku: poczynając od zagrożenia atakami terrorystycznymi i gwałtownymi konfliktami społecznymi (*vide* żółte kamizelki manifestujące dziś wspólnie z antyszczepionkowcami), a na pandemii kończąc. Jak zauważył w swoim głośnym esej z 2019 roku *L'Archipel français (Francuski archipelag)* politolog Jérôme Fourquet, francuskie społeczeństwo, wewnętrznie rozdarte, przypomina dziś konglomerat słabo skomunikowanych ze sobą wysepek.

Tymi lękami żywi się nad Sekwaną znana dobrze w Polsce czasów Prawa i Sprawiedliwości retoryka „wstawania z kolan”. Paradoksalnie nad współczesnym „upadkiem Francji”, „zalaną” przez imigrantów, biada najgłośniej (choć nie wyłącznie) skrajna prawica; nie przeszkadza jej to oskarżać Anglosasów o uprawianie *French bashingu* (oczerniania Francji).

Na tle dominującego lamentu rzadkie są dziś w mediach francuskich głosy przeciwnie, jak Glucksmanna czy Duhamela. Głoszą oni, w największym skrócie, że Francja ani nie jest na kolanach, ani w ruinie, choć na pewno wymaga głębokich reform. To prawda, nie należy, jak niegdyś, do pierwszej ligi mocarstw, ale wciąż jest jednym z liderów Europy, o dużej sile ekonomicznej (siódma na liście najbogatszych krajów globu według danych Banku Światowego) i militarnej.

Oprócz broni jądrowej Francja posiada wreszcie swój tradycyjny oręż: kulturę. To za sprawą tej *soft power* przyciągała przez wieki i wciąż przyciąga licznych przybyszy. To oni, imigranci osiedleni we Francji – oskarżani dziś przez Zemmoura i jemu podobnych o całe zło – rozsławiali często imię kraju. Jak Josephine Baker i rzesza innych artystów przybyłych nad Sekwanę z zagranicy, bez których trudno sobie dziś wyobrazić francuską piosenkę.



Siunjata beskidzka

rysunki i tekst HENRYK

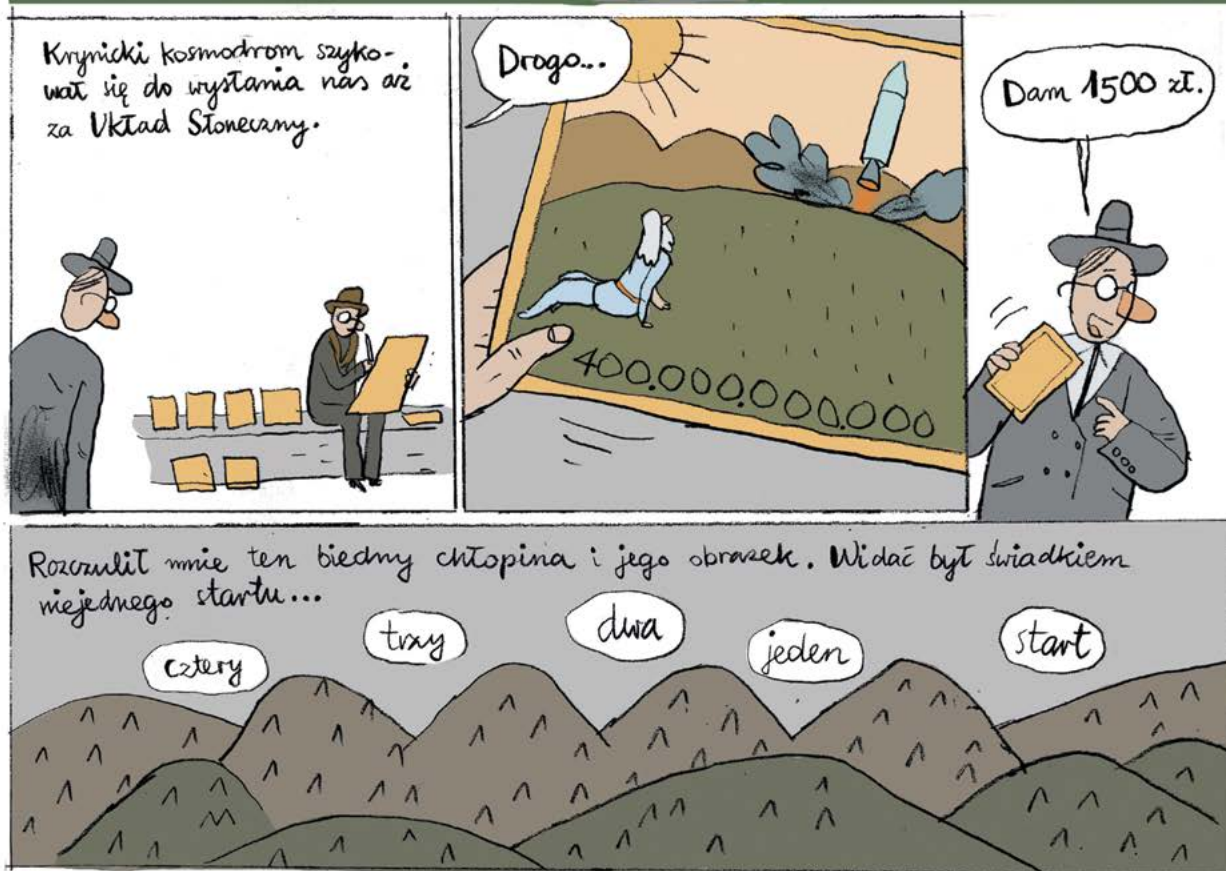
SIUNJATA
BESKIDZKA

scen. rys. henryk

Moje wspomnienie startu w kosmos
zawsze wiąże się z zapachem
konieczyny, koprzewy i tymotki.
Szumem traw.
Nie wiem dlaczego.



Pamiętam ostatni wolny dzień
przed startem. Spędziłem go na
spacerach po uzdrowisku.



„Chrobry” wystartował planowo.



Pierwszy statek napędzany silnikiem grawitacyjno-
kwantowym. Wymagano, aby załoga składała się
z matematyków.



komandor Rasiowa



porucznik Rejewski



profesor Banach

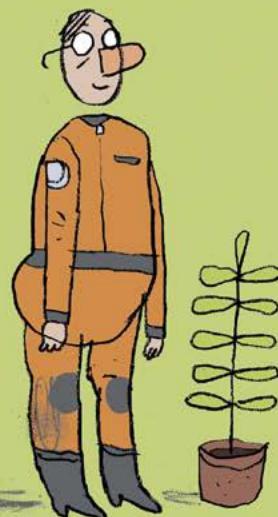


doktor Kukasiemierz



Tylko oni potrafili, tajemniczym dla
nas językiem matematyki, obsłużyć
ten nowoczesny napęd.

Rodzajnikiem wśród załogi
byłem ja – biolog.

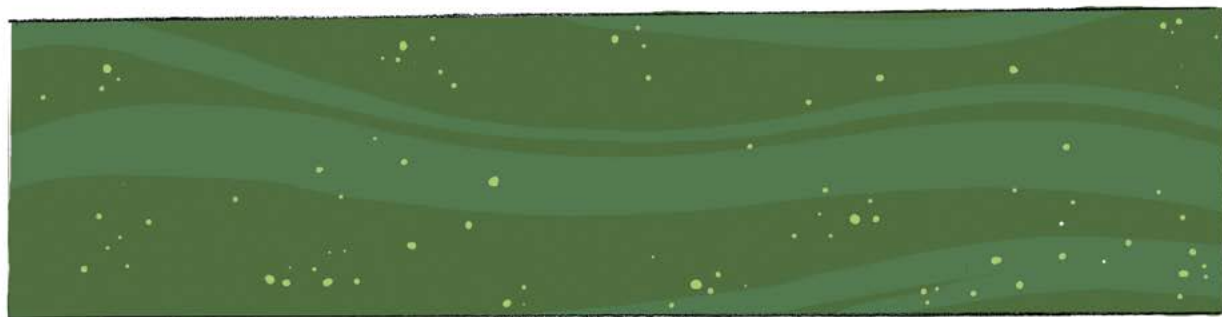


Dobre znane nam z mieszkańi monstery, grubosze, filodendrony, szeflery i fikusy miały teraz zapewnić produkcję tlenu na U-LAm dla przyszłych kolonizatorów.



I tak życie na „Chrobrym” biegło spokojnie przez kolejne 5 lat lotu.





Dryf trwa. Komandor Rasiowa, Banach, Rejewski... potem Łukasiewicz. Zostałem sam..



Wysiek wody stworzył w statku mikroklimat. Roślinność rozplełła się po wszystkich pokładach. Samowystarczalny habitat stał się moim domem. Albo trumną.



Dni przestałem liczyć po czterech latach.

Na sygnał SOS brak odpowiedzi.
Szalupa dryfuje bez kontroli.











REPORTAŻ

Dzikość

tekst ELIZABETH KOLBERT
przetłóżył JAKUB JEDLIŃSKI

WSZYSTKIE KARPIEŃCE z Devils Hole ważą około stu gramów. To trochę mniej niż kanapka *filet-o-fish* w McDonaldzie.

Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem 1849 roku William Lewis Manly wszedł na górską przełęcz i ujrzał „najwspanialszy obraz spustoszenia, jaki człowiek kiedykolwiek widział”. Manly znajdował się w miejscu, które obecnie jest południowo-wschodnią Nevadą, niedaleko Mount Sterling. Wyobraził sobie swoich rodziców w domu w Michigan z „obfitym zapasem chleba i fasoli”, błogosławiących stół, i przeciwstawił ten obrazek własnej sytuacji – „pustemu żołądkowi oraz zaschłemu gardłu”. Słońce zachodziło, kiedy wracał, a jego myśli stały się jeszcze bardziej ponure. Zaczął szlochać, ponieważ – jak później wspominał – „był przekonany, że zobaczył przyszłość, a to skłoniło go do gorzkich przemyśleń” [William L. Manly, *Death Valley in '49: The Autobiography of a Pioneer* – przyp. red.].

Manly znalazł się na pustyni w wyniku szeregu niefortunnych decyzji. Trzy miesiące wcześniej dołączył w Salt Lake City do pięciuset uczestników gorączki złota planujących razem podróż do złotej krainy w północnej Kalifornii. Dotarli oni do Salt Lake City zbyt późno, aby obrać najkrótszą drogę przez pasmo Sierra Nevada i uniknąć śniegu, dlatego skręcili na południe i poszli traktem handlowym ku Los Angeles. W ciągu kilkutygodniowej podróży spotkali kolejną grupę poszukiwaczy złota pod przywództwem nowojorskiego naciągacza, Orsona K. Smitha. Posiadał on schematyczną mapę, która – jak twierdził – pokazywała krótszą drogę na zachód. Większość członków grupy Manly'ego zdecydowała się pójść za Smithem, tylko po to, żeby parę dni później zawrócić, natknąwszy się na kanion tak głęboki, że nie byli w stanie pokonać go wozami. (Smith wkrótce też zawrócił). Jednakże Manly z kilkudziesięcioma innymi mężczyznami parł naprzód zwodniczym skrótem.

Kanion, który wkrótce odkryli, był ich najmniejszym problemem. Obejście wąwozu prowadziło przez jedne z najbardziej nieogólnych terenów na kontynencie, usiane kamiennym rumowiskiem pustkowia, którego wcześniej zapewne nie pokonał żaden biały. (Sto lat później na większości tego obszaru

będą przeprowadzane próby atomowe). Wody było jak na lekarstwo i często okazywała się zbyt słona, by nadawała się do picia. Brakowało paszy dla wołów, które stały się ospałe i wycieńczone. Gdy jednego zabito na mięso, jego kości – odnotował Manly – nie wypełniał szpik, lecz krwawa ciecz „przewodząca na myśl zgniliznę”.

Manly podróżował z przyjacielem, jego żoną i trójką małych dzieci. Był swego rodzaju zwiadowcą, który szedł przed wozami, żeby zrobić rozpoznanie. Przyniesione przez niego do obozu wieści były do tego stopnia zniechęcające, że po chwili przyjaciel poprosił go, aby łaskawie się zamknął, bo jego żona nie zdoła dłużej tego słuchać. Gdy dotarli do Doliny Śmierci – w tamtym czasie niezbadanej części pustyni – ich nastrój stał się wyjątkowo ponury. Kilka nocy później przy ognisku, kiedy Manly wybuchnął płaczem, jeden z jego towarzyszy nazwał ten region „wysypiskiem śmieci Stwórcy”, gdzie porzucił „bezwartościowe odpady po stworzeniu świata”. Inny stwierdził, że musi być to „właśnie to miejsce, gdzie żona Lota została zmieniona w słup soli”, tyle tylko, że słup „rozpadł się i rozprysnął po całej okolicy”.

Na granicy Doliny Śmierci na krótko nastroje wędrowców się poprawiły. Na kamiennym występie grupa natknęła się na jaskinię, w której znajdowała się sadzawka ciepłej, czystej wody. Kilku mężczyzn zanurzyło się w niej, a jeden z nich zapisał w swoim dzienniku, że była to „wyjątkowo odświeżająca kąpiel”. Manly przyjrzał się wodzie i zauważył dziwną rzecz. Sadzawkę otaczały kamienie i piach. Znajdowała się wiele kilometrów od innego zbiornika wody. A jednak wrowały w niej ławice ryb. Kilkadziesiąt lat później wspominał te tycie „rybki” „mające nie więcej niż cal długości”.

Jaskinia, na którą natknęli się poszukiwacze złota, jest dziś znana jako Devils Hole, a „rybki” to karpieńce diable, naukowo mówiąc *Cyprinodon diabolis*. Ryby mierzą, jak napisał Manly, około dwa i pół centymetra. Są szafirowo-niebieskie, mają intensywnie czarne oczy i dużą, jak na swój rozmiar ciało, głowę. Najłatwiej odróżnić je poprzez

brak – nie mają płetw brzusznych, występujących u innych karpieńcowatych.

W jaki sposób Devils Hole zyskała swoje karpieńce, jest – jak ujął to jeden z ekologów – „piękną zagadką”. Pieczara stanowi geologiczną osobliwość, jest bramą do obszernego, przypominającego labirynt wodonośca, który biegnie w głąb ziemi i zawiera wodę pozostałą z plejstocenu. Wydaje się mało prawdopodobne, aby przodkowie ryb przybyli do jaskini przez wodonośiec, najbardziej wiarygodną teorią ichtologów jest, że dostały się tam, gdy cały otaczający jaskinię teren był znacznie wilgotniejszy. Sadzawka długości osiemnastu metrów i szerokości dwóch i pół metra stanowi jedyne siedlisko *Cyprinodon diabolis* na świecie. Uważa się, że spośród wszystkich kręgowców karpieńce diable występują na najbardziej ograniczonym obszarze.

Po raz pierwszy o Devils Hole usłyszałam dzięki przestępstwu, do którego tam doszło. W ciepły wiosenny wieczór 2016 roku trzech mężczyzn – jak się zdaje pijani – przeszli przez siatkę otaczającą jaskinię. Jeden strzelił do kamery monitoringu, ściągnął ubranie, wskoczył do sadzawki i zostawił w wodzie swoje slipy. Drugi puścił pawia. Nazajutrz znaleziono jednego martwego karpieńca, na którym przeprowadzono sekcję. To doprowadziło do postawienia zarzutów karnych. Policja ostatecznie upowszechniła nagranie z monitoringu, które wielokrotnie obejrzałam. Widać było na nim chwiejne ujęcia mężczyzn podjeżdżających do ogrodzenia terenówką. Później kamera podwodna zarejestrowała nieostry obraz stóp idących wzdłuż występu skalnego i burzących wodę w zbiorniku.

W tej historii zaintrygowało mnie wszystko: sekcja zwłok ryby, osadzenie w okręgowym areszcie jako środek zapobiegawczy i rybki porzucone na środku pustyni Mojave. Zaczęłam zgłębiać temat i trafiłam na pamiętnik Manly'ego *Death Valley '49*. Dowiedziałam się, że pustynne ryby są liczną i różnorodną grupą. Co rok Rada do spraw Pustynnych Ryb (Desert Fishes Council) organizuje spotkanie w innym mieście północnego Meksyku lub zachodnich Stanów Zjednoczonych, a program zjazdu zwykle składa się z około czterdziestu stron. Angielska nazwa karpieńców, *pupfish* (ryby-pieski),

nawiazuje do zachowania samców, które kiedy bronią terytorium, przypominają walczące szczenięta. W samej Dolinie Śmierci występowało jedenaście gatunków i podgatunków karpieńców. Jeden wyginął, drugi uważa się za wymarły, a wszystkie pozostałe są zagrożone wyginięciem. Karpieniec diabli należy do najrzadszych ryb na świecie. Starając się zachować ten gatunek, wybudowano rybi Westworld – dokładną replikę sadzawki poniżej półki, gdzie monitoring nagrał stopy golasa. Tymczasem chmura radioaktywnej wody podpełza do jaskini z atomowego poligonu Nevada Test Site. Im więcej czytałam, tym bardziej byłam przekonana, że muszę odwiedzić Devils Hole.

KARPIENIE W DEVILS HOLE liczy się cztery razy w roku. Zajmują się tym biolodzy ze Służby Parków Narodowych, Służby Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych i Wydziału do spraw Dzikiej Przyrody stanu Nevada (National Park Service, U.S. Fish and Wildlife Service oraz Nevada Department of Wildlife) – agencji, które współpracują, aby zapewnić rybom przyszłość, a czasem się o nią kłócą. Chwilę zabrało mi zorganizowanie tej wycieczki, ponieważ był to czas letniego rachowania, a temperatura powietrza sięgała czterdziestu stopni Celsjusza.

Spotkałam się z zespołem badawczym w miasteczku leżącym najbliżej jaskini, Pah-rump w stanie Nevada. Przez Pah-rump biegnie jedna główna droga, wzdłuż której stoją sklepy z fajerkami, wielkopowierzchniowe markety i kasyna. Miejsce to dzieli od Devils Hole czterdzieści pięć minut jazdy samochodem przez pustynne zarośla i pustkowia.

W czasach Manly’ego jaskinię trudno było dostrzec niemalże do momentu, aż się do niej wpadło. Obecnie nie sposób jej przeoczyć dzięki trzymetrowemu, zwieńczonemu drutem kolczastym ogrodzeniu z siatki. Jeden z biologów miał klucz do bramy. Droga od furtki prowadziła ku stromej, śliskiej ścieżce. Mimo nieubłaganego słońca podnóże groty znajduje się w cieniu. Nawet w pełni lata sadzawka tylko przez kilka godzin dziennie jest wyeksponowana na światło słoneczne.

Niektórzy biolodzy taszczyli ze sobą elementy metalowego rusztowania, które

połączyli w pomost. Inni dźwigali butle z tlenem do nurkowania. Nad całą operacją czuwał ekolog ze Służby Parków Narodowych, Kevin Wilson. Większość dorosłego życia Wilson spędził na badaniu *Cyprinodon diabolis* i jest traktowany jak swego rodzaju diabełkan Devils Hole. (Choć grota nie znajduje się w Dolinie Śmierci, lecz należy do pasma Funeral w dolinie Amargosa, ze względów administracyjnych została włączona do Parku Narodowego Doliny Śmierci). Tuż przed moim przyjazdem Wilson został przedstawiony w artykule w „High Country News”, poświęconym następstwom włamania. Dzięki jego staraniom pływak-golasa trafił do więzienia. (Hodowca pawi dostał wyrok w zawieszeniu). Dziennikarka wykreowała Wilsona na bohatera – zawziętego pustynnego Colombo – choć w czasie procesu opisywała go jako surowego brzuchacza. Wilson nadal rozpamiętuje ten opis. W pewnym momencie odwrócił się w taki sposób, że bym mogła zobaczyć jego brzuch z profilu.

– Czy mam aż tak duże brzuszysko? – zapytał.

Odparłam, że trafniejsze byłoby słowo „brzuszek”. Zwykle Wilson należał do nurków, ale ostatnio oblał test sprawnościowy. To ściągnęło na niego kolejne żarty.

Gdy zniesiono i złożono wszystkie urządzenia, inny biolog z parku narodowego. Jeff Goldstein, wygłosił wykład na temat zasad bezpieczeństwa. Każdy, kto zrobi sobie krzywdę, miał zostać przetransportowany do szpitala helikopterem, któremu dotarcie do poszkodowanego zajmie czterdzieści pięć minut.

„Więc uważajcie na siebie”.

Potem przeprowadził ankietę na temat liczby karpieńców w sadzawce.

„Stawiam, że sto czterdzieści osiem” – rzucił Wilson.

Ambre Chaudoin, również pracownica parku, zaproponowała sto czterdzieści. Olin Feuerbacher i Jenny Gumm z Fish and Wildlife, odpowiednio opowiedzieli się za stu sześćdziesięcioma i stu siedemdziesięciu siedmioma. Brandon Senger ze stanu Nevada postawił na sto pięćdziesiąt pięć. Jak się dowiedziałam, Chaidoin i Feurebacher są małżeństwem. Feurebacher powiedział mi, że oświadczył się w Devils Hole. Wilson udał odruch wymiotny.

Podobnie jak miejski basen sadzawka w jaskini ma płytki i głęboki kraniec. Głęboki kraniec sadzawki jest naprawdę głęboki. Według pracowników parku ma ponad 150 metrów głębokości. Jak bardzo ponad pozostaje kwestią spekulacji, ponieważ nikomu jeszcze nie udało się zejść na dno i przeżyć. W 1965 roku dwóch młodych nurków postanowiło zbadać głębokość zbiornika, ale nigdy nie wypłynęli na powierzchnię. Ich szczątki prawdopodobnie nadal leżą gdzieś na dnie. W zaciemionym krańcu sadzawki, około 30 centymetrów pod wodą znajduje się pochyla wapienna półka, nazywana „szelfem”. To na tym występie ryby zazwyczaj składają ikrę i tam też znajdują najczęściej pożywienia.

Goldstein i Senger wyposażeni w maski, butle tlenowe, w szortach i T-shirtach, zanurzyli się w wodzie. W ciągu kilku sekund zniknęli w mroku. Tymczasem Chaudoin, Feuerbacher i Gumm na czworakach weszli na pomost, żeby policzyć ryby na szelfie. Podawali na głos liczby, a Wilson wpisywał je do wcześniej przygotowanych formularzy.

Po zakończeniu spisu wszyscy zgromadzili się w zaciemionej części groty w oczekiwaniu na wypłynięcie nurków. Zaskrzeczała ukryta w szczelinie sówka. Słońce powoli kryło się za horyzontem po zachodniej stronie pieczary.

„Trzeba się nawadniać” – stwierdził Wilson.

Zauważyłam pierścien w kształcie wann wokół sadzawki i zapytałam o to Chaudoin. Wyjaśniła mi, że to przyciąganie księżyca, zbiornik wodny pod nami był tak duży, że pojawiały się na nim pływy.

Chociaż karpieńce zamieszkują tylko górne warstwy sadzawki – rzadko widuje się je na głębokości większej niż dwadzieścia trzy metry – bezmiar zbiornika je ukształtował. Na pustyni występują ogromne amplitudy temperatur między dniem a nocą. Podgrzewana geotermicznie woda w jaskini przez cały rok utrzymuje temperaturę 33,8 stopni Celsjusza i zawiera bardzo niewiele tlenu. Wysoka temperatura w połączeniu ze słabym nasyceniem tlenem miewa fatalne skutki. Jednakże karpieńce diable jakimś cudem, dzięki ewolucji, zdołały poradzić sobie w tym środowisku, i – co równie ważne – sztuka ta udała się tylko im. Uważa się, że to właśnie trudne warunki życia doprowadziły

do zaniku płetw brzusznych, wytwarzanie dodatkowych narządów było zwyczajnie niepotrzebną stratą energii.

W końcu pojawiły się światła latarek czołowych nurków, przecinające wodę niczym wiązki reflektorów poszukiwawczych. Goldstein i Senger wyszli z wody. Senger trzymał w ręku pokryty kolumnami liczb notatnik podwodny.

– Ten notatnik to klucz do wszechświata – oznajmił Wilson.

Wszyscy zeszli skalistą ścieżką, przeszli przez bramę i udali się na parking. Senger odczytywał liczby z notatnika. Wilson dodał je do tych z szelfu, otrzymując wynik sto dziewięćdziesiąt pięć. Od ostatniego spisu przybyło sześćdziesiąt karpieńców, było ich więcej, niż ktokolwiek ośmielił się pomyśleć. Zaczęliśmy przybijać sobie piątki. Goldstein wykonał – by posłużyć się jego słowami – „krótki taniec szczęścia”.

– Skoro jest tak dużo ryb, wszyscy wygraliśmy – zauważył.

Później zrobiłam obliczenia. Wszystkie karpieńce z Devils Hole ważą około stu gramów. To trochę mniej niż kanapka *filet-o-fish* w McDonalddie.

W czasach gdy Argonauci wyruszyli na poszukiwanie złotonośnych terenów, zakładano, że mężczyzna z pewnym okiem nigdy nie będzie głodował. Manly po raz pierwszy trzymał w rękach strzelbę w wieku czternastu lat, a jego ojciec uroczyście stwierdził, że „gotów jest już do użycia każdej broni na naboje lub śrut”.

Wkrótce stał się biegły w zabijaniu i gołębie, indyki oraz jelenie, które przynosił, były pożądanym uzupełnieniem jadłospisu rodziny. Dwudziestoletni Manly urządził sobie polowanie w drodze do Wisconsin. W ciągu trzech dni zabił cztery niedźwiedzie. Zjadł tak dużo niedźwiedziego mięsa, że całą dobę spędził na wymiotowaniu. „Dopóki miałem broń i amunicję, dopóty byłem w stanie zabić wystarczająco dużo zwierzyny, żeby przeżyć” – miał później napisać. W 1849 roku on i jego towarzysze polowali w drodze do Salt Lake City. Łoś, którego powalił Manly, ważył blisko dwieście trzydzieści kilogramów i dostarczył „najwspanialszego mięsa, odpowiedniego dla każdego smakosza”.

Żadna spiżarnia nie jest bez dna, a Manly, przemierzając kontynent i żyjąc w podróży

z polowania, przyczyniał się do tego, by nie można było powtórzyć jego wyczynu. W latach 50. XIX wieku Thoreau opłakiwał wyćpienie w Nowej Anglii łosi, pum, bobrów i rosomaków. „Czyż natura, z którą rozmawiam, nie jest okaleczona i niedoskonała?” [Henry David Thoreau, *Thoreau's Journals*, tom 20 – przyp. red.]. Lasy niegdyś obfitujące w dzikie indyki, w latach 60. XIX wieku niemal opustoszały. Wapiti wcześniej liczne na obszarze od Atlantyku do Missisipi w latach 70. tego stulecia zniknęły. Mniej więcej w tym samym czasie wyćpiono gołębie wędrowne, których ogromne stada niegdyś przesłaniały słońce; ostatnie wielkie łęgowsko – zmienione w wielką rzeź – miało miejsce w 1882 roku.



Devils Hole

„Policzenie liści w lesie byłoby równie łatwe jak określenie liczby bizonów żyjących w dowolnym okresie historii gatunku przed 1870 rokiem” – napisał William Hornaday, główny preparator zwierząt w Smithsonian, a później dyrektor Bronx Zoo [William T. Hornaday, *The Extinction of the American Bison with a Sketch of Its Discovery and Life History* – przyp. red.]. W 1889 roku Hornaday stwierdził, że liczba „dzikich i niechronionych bizonów” sięga niespełna sześciuset pięćdziesięciu sztuk. Przewidywał, że w ciągu kilku lat „tylko kości na ziemi zostaną

po tym jednym z najliczniejszych – wedle naszej wiedzy – ssaków, jaki kiedykolwiek istniał”.

Już w paleolicie ludzie przyczynili się do zagłady wielu zwierząt – nosorożce włochate, mastodonty, glyptodony i camelopsy – odeszły w niepamięć. Później, gdy Polinezyjczycy osiedli na wyspach Pacyfiku, wybili ptaki moa i moa-nalo (nielotne kaczki zamieszkujące Hawaje). Kiedy Europejczycy dotarli do wysp Oceanu Indyjskiego, wyćpili między innymi ptaki dodo, chruścielowce rdzawe, łyski maskerańskie, dronty samotne i ibisy reunionińskie.

W XIX wieku rozbój przyspieszył. Wcześniej straty postępowały stopniowo, tak że nawet uczestnicy nie byli ich świadomi – jednakże pojawienie się takich wynalazków technicznych jak kolej i karabin powtarzalny zmieniły wymieranie w łatwe do zaobserwowania zjawisko. W Stanach i na całym świecie można było w czasie rzeczywistym śledzić wymieranie zwierząt. „To, że jeden gatunek opłakuje zgon innego, jest czymś zupełnie nowym pod słońcem” – zauważył Aldo Leopold w eseju upamiętniającym odejście gołębi wędrownych.

W XX wieku kryzys bioróżnorodności, jak w końcu zaczęto nazywać to zjawisko – przyspieszył jeszcze bardziej. Tempo wymierania jest obecnie setki – być może tysiące – razy wyższe niż tak zwane tło wymierania, do którego dochodziło w większości epok geologicznych. Straty objęły wszystkie kontynenty, wszystkie oceany i wszystkie rodzaje organizmów. Obok gatunków formalnie uznanych za zagrożone niezliczone podążają w tym samym kierunku. Amerykańscy ornitolodzy zrobili spis „gwałtownie wymierających pospolitych ptaków”, zawiera on tak powszechne gatunki jak kominiarczyk amerykański, wróbel śródpolny i mewa srebrzysta. Nawet liczba owadów, gromady przez długi czas uznawanej za odporną na wymieranie, gwałtownie spada. Zagrożone są całe ekosystemy, a straty zaczęły wzajemnie stanowić dla siebie pożywkę.

—
w LINII PROSTEJ imitacja Devils Hols znajduje się w odległości około półtora kilometra od prawdziwej. Ukryta jest w nieoznaczonym, przypominającym hangar budynku

z dwoma tablicami po każdej stronie wejścia. Na jednej widnieje napis: UWAGA! WYMAGANE ŚRODKI OCHRONY INDYWIDUALNEJ, a na drugiej: UWAGA! MONOTLENEK DIWODORU: ZACHOWAJ NAJWYŻSZĄ OSTROŻNOŚĆ.

Przy okazji pierwszej wizyty w stacji zapytałam o te tablice. Powiedziano mi, że postawiono je, żeby odstraszyć politycznie zaangażowanych, lecz niemających pojęcia o chemii protestujących od włamywania się i demolowania miejsca. (Monotlenek diwodoru to żarłokliwa nazwa wody). Zanim pozwolono mi wejść, musiałam włożyć nogi do pojemnika z płynem, który wyglądał jak mocz, ale okazał się środkiem dezynfekującym.

Wewnątrz, wzdłuż ścian, biegły stalowe dźwigary, plastikowe rury i przewody elektryczne. Ścieżka z lanego betonu obiegała niewielką, również betonową, sadzawkę. Miejsce to było mniej więcej równie malownicze jak fabryczna podłoga. Przypominało składowiska wypalonego paliwa jądrowego, które widziałam przy okazji wizyty w elektrowni atomowej. Imitację grotu zaprojektowano, by „mamiła nieszczęsne rybnie oczy” – nie moje.

Utworzenie dokładnej repliki sadzawki, której dna nigdy nie osiągnięto, jest rzecz jasna niemożliwe, w głębszym krańcu zbiornik ma więc zaledwie sześć i pół metra głębokości. Pod każdym innym względem odpowiada jednak ściśle oryginałowi. Ponieważ w Devils Hole niemal zawsze panuje półmrok, kopia wyposażona została w osłonięty żaluzjami dach, które otwiera się ściśle wedle pory roku. Woda w jaskini ma stałą temperaturę 33,8 stopnia Celsjusza, więc w replice zainstalowano wspomagający system podgrzewający. W zacienionej części rybnemu zapewniono identyczny szelf, tyle że wykonany ze styropianu pokrytego włóknem szklanym. (Do wykonania repliki wykorzystano lasero-we zdjęcia oryginalnej półki skalnej).

Do kopii jaskini przeniesiono nie tylko karpieńce, lecz także większość organizmów tworzących łańcuch pokarmowy w Devils Hole. Nad styropianowym szelfem unoszą się takie same jaskrawozielone glony, jakie porastają wapienny oryginał. W wodzie pływają takie same gatunki małych bezkręgowców: ślimaki z rodzaju *Tryonia*; takie same małe skorupiaki: widłonogi i małżoraczki oraz kilka gatunków żuków.

Warunki panujące w zbiorniku są stale monitorowane. Członkowie zespołu otrzymują elektroniczne powiadomienie, jeśli, powiedzmy, pH albo poziom wody zaczynają spadać. W przypadku poważniejszych zmian system dzwoni do pracowników. Feuerbacher, badaczka należąca do zespołu odpowiedzialnego za konserwację sadzawki, nie raz musiała w środku nocy jechać z domu w Pahrump do stacji.

Powstanie symulakrum zaczęto planować w 2006 roku. Ówczesna wiosna okazała się ponura dla karpieńców, spis wskazał na ich rekordowo niską liczbę – trzydzieści osiem ryb.



Symulakrum

– Mało kto się tym jakoś specjalnie przejął – wspominała Feuerbacher.

W czasie powstawania obiektu za sumę czterech i pół miliona dolarów liczba karpieńców nieco wzrosła. W 2013 doszło jednak do kolejnego kryzysu. Wiosenny spis wskazał na istnienie zaledwie trzydziestu pięciu ryb, dlatego prace nad imitacją grotu przyspieszyły.

– Dostaliśmy telefon od zwierzchników: „Co można zrobić, żebyście byli gotowi za trzy miesiące?” – wspominała Feuerbacher.

W jaskini karpieńce żyją około roku, w sztucznej sadzawce mogą żyć nawet dwa razy dłużej. Podczas mojej wizyty Devils

Hole Junior działała już od sześciu lat. Imitację zamieszkiwało około pięćdziesięciu dorosłych ryb. W zależności od spojrzenia to dużo – o piętnaście więcej niż cała światowa populacja karpieńców diabolicznych w 2013 roku – lub nie tak znów wiele. Poza Feuerbacher w stacji na pełen etat pracują jeszcze trzy osoby, czyli jeden opiekun przypada na trzysta ryb. Liczba ta jest z pewnością niższa niż spodziewała się Służba Połowu i Dzikiej Przyrody. Feuerbacher sądzi, że może za tym stać pewien żuczek.

Żuk z rodzaju *Neoclypeodytes* został przeniesiony z Devils Hole razem z innymi bezkręgowcami i aż za dobrze zadomowił się w betonowej wersji grotu. Rozmnażał się znacznie szybciej niż w warunkach naturalnych i w pewnym momencie rozsmakował się w młodych karpieńcach. Któregoś dnia Feuerbacher przeglądała nagrania ze specjalnej kamery działającej w podczerwieni wykorzystywanej do filmowania narybku karpieńca i zobaczyła, że jeden z żuczków, które są mniej więcej wielkości ziarnka maku, przeszedł do ataku.

– Scena ta skojarzyła mi się z widokiem psa łapiącego trop – opowiadała. – Żuk zaczął robić coraz mniejsze kręgi wokół młodej ryby, a w końcu rzucił się na nią i rozerwał na pół. (Trzymając się porównania z psem, to jakby spaniel ruszył na łosia).

W celu ograniczenia liczby żuków pracownicy stacji zaczęli zastawiać na nie pułapki. Opróżnianie „wnyków” polega na przece-dzaniu ich zawartości przez sitko o drobnych oczkach, a następnie wybieraniu każdego małego owada pincetą albo pipetką. Mniej więcej przez godzinę obserwowałam dwoje pracowników ślęczących nad tym powtarzanym codziennie zadaniem. Uderzyło mnie, i to nie po raz pierwszy, o ile łatwiej jest zniszczyć ekosystem niż nim zarządzać.

Fragment pochodzi z książki

Elizabeth Kolbert *Pod białym niebem*.

Natura przyszłości, która ukaże się 23 marca 2022 roku nakładem Wydawnictwa Filtry.

APTECZKA Zestaw obowiązkowy złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt. Może być stały lub zmieniać swoją zawartość. Różny u każdego, niepowtarzalny. To niezbędny, do którego sięgamy, gdy zawodzą tabletki i maści. Z czego składa się kulturalna apteczka artysty wizualnego JANA MOŹDŻYŃSKIEGO?



JAN MOŹDŻYŃSKI (ur. 1986), artysta wizualny, malarz i aktywista. Ukończył Wydział Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W swojej twórczości skupia się na tematach związanych z feminizmem, kulturą queer, praktykami BDSM oraz różnymi wymiarami seksualności. Trenuje boks. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Prasować szkice, chybiać lepiej

Kiedy myślę o tym, co mnie twórczo napędza, przed oczami mam raczej zestaw różnorodnych praktyk niż konkretnych przedmiotów. To właśnie te moje małe rytuały są dla mnie najważniejsze w realizacji każdego projektu. Pozwalają uporządkować myśli i zachować rodzaj wewnętrznej harmonii.

Zwracam uwagę na to, co i kiedy jem. Wszystkie posiłki spożywam w ciągu wyznaczonych ośmiu godzin. Zaczynam malować rano, gdy wciąż jestem na czczo – tak łatwiej się skupiam. Ważny jest dla mnie również sposób ułożenia przyborów, z których korzystam, oraz przestrzeń, w jakiej się aktualnie znajduję. Do niedawna moja pracownia mieściła się w pobliżu Pałacu Kultury i Nauki, dlatego obrazy, które wtedy malowałem, nawiązywały czasem do fallicznego kształtu budynku obserwowanego codziennie za oknem.

Maluję na podstawie szkiców, które tworzę markerem. Każde jego pociągnięcie jest nieodwracalne, dzięki czemu rysunki powstają spontanicznie. Albo jestem z nich zadowolony i przenoszę je na płótno, albo wyrzucam je do kosza. Przypuszczam jednak, że kilka razy zdarzyło mi się żałować podjętej decyzji i prasować wygniecione kartki.

Inspiracje wizualne pozyskuję na bieżąco, niezależnie od tego, nad czym akurat pracuję. W tym celu przeglądam Instagram i strony poświęcone sztuce. W smartfonie mam zapisanych mnóstwo zdjęć – są tam zarówno przedziwne stworzenia z głębin oceanów, potwory z filmów *science fiction*, przykłady architektury brutalistycznej oraz dizajnu lat 60. i 70., ale też pokemony, bohaterowie mang i animacji z serii *Mazinger* czy figurki ze świata Warhammer, które zresztą od wielu lat kolekcjonuję. Ostatnio stały się one inspiracją do tego, by wspólnie ze znajomym artystą pracującym z grafiką 3D, Sebulcem, stworzyć wystawę *Lovehammer*, którą do końca marca można oglądać w Krupa Gallery we Wrocławiu. Zależało nam na tym, by odwrócić znaczenia pierwotnie przypisywane tej kultowej grze bitewnej – stereotypową męskość ukazać w sposób queerowy, zamieniając bitewny zgiełk w miłosny splot obu armii.

Wymyślając tytuły swoich prac, zawsze staram się nawiązywać do szeroko pojętej kultury – wskazywać na ich przeróżne konteksty, które mogą skłonić do własnych intelektualnych poszukiwań. Wtedy korzystam z literatury. Wracam do publikacji feministek – Julii Kristevej, Luce Irigaray oraz Rebeki Solnit. Dla przyjemności sięgam po poezję, która jak malarstwo sprawnie posługuje się metaforą. Najczęściej czytam tomiki Elizabeth Bishop, Emily Dickinson, Sylvi Plath lub Oceana Vuonga. Co jakiś czas sam także mam potrzebę, żeby wypowiedzieć się za pomocą wierszy.

Na teksty zwracam uwagę również w muzyce, której słucham – przede wszystkim w folkowych utworach Boba Dylana, ale i w mocniejszych kawałkach ulubionych zespołów, takich jak Black Sabbath, Uriah Heep, Guns N' Roses, Deep Purple czy Dio. Szczególnie bliskie są mi teksty nawiązujące do religii i czarów. Muzyka była też dla mnie ważna przy tworzeniu wystawy *London Calling*, którą zaprezentuję w tym roku w Londynie. Hardrockowe brzmienia wprowadzają mnie w pewien rodzaj transu, podbijają agresję i napełniają energią, której dają upust, malując, grając na gitarze i ćwicząc. Gdy byłem młodszy, nie potrafiłem radzić sobie ze złością. Pomógł mi wtedy boks, który wciąż regularnie trenuję. Nawiązuję do niego także w swoich artystycznych realizacjach. W kwietniu w Gorzowie Wielkopolskim odbędzie się wystawa, którą poświęciłem (nie)umiejętności radzenia sobie z przegraną – w sporcie i życiu w ogóle. Cytując Samuela Becketta, poprzez moje prace będę starał się pokazać, jak „chybiać lepiej”. Sama porażka nie musi być przecież czymś złym. Moglibyśmy nauczyć się akceptować ją jako nieodłączny element wkradający się do naszej uporządkowanej codzienności, a może i kolejne źródło inspiracji. Silniejsze niż niejeden praktykowany rytuał.

Rozmawiał Mateusz Roesler



MATEUSZ ROESLER (ur. 1996), kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Redaktor treści cyfrowych i audio „Pisma” i kierownik produkcji „Śledztwa Pisma”. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem.



Bałwan cytatów

OSKAR DAWICKI

instalacja, 2008

Kolekcja Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Praca zakupiona dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Albo tu żyjesz i już się do życia przyzwyczaiłeś, albo sam się wynosisz na tamten świat i tego chciałeś; albo umierasz i służbę swą odbyłeś. Poza tym nic. Bądź więc dobrej myśli.

Marek Aureliusz

Teoria, jakoby ciało Walta Disneya w chwili śmierci zostało zamrożone i było przetrzymywane w specjalnej lodówce w oczekiwaniu na postęp medycyny, który pozwoli przywrócić go do życia, jest jedną z najbardziej rozpowszechnionych miejskich legend w historii. Mówi się, że to Disney Company wypuściło taką plotkę, by ulżyć smutkowi małych wielbicieli bajek na całym świecie. Trwałość tego mitu pokazuje, jak bardzo marzenie o nieśmiertelności napędza masową wyobraźnię. Artysta Oskar Dawicki (którego życie także stało się pożywką dla fikcji – jest bohaterem powieści *W połowie puste* i filmu fabularnego *Performer*) bierze to zbiorowe wyparcie na warsztat. Motyw śmierci i przemijania jest wszechobecny w jego skądinąd rozbrajająco zabawnej pracy. *Bałwan cytatów* to nietrwała rzeźba ze śniegu, która znika po każdej wystawie. Jedynym stałym elementem są grawerowane guziki, na których artysta umieścił cytaty z pism stoickiego filozofa, cesarza Marka Aureliusza. Przechowywany w spożywczej lodówce bałwan jest symbolem kruchości istnienia, które musi być cały czas podtrzymywane, a nawet drobna awaria może obrócić je w nicłość.

Odwiedzające muzeum dzieci uwielbiają instalację Dawickiego – w końcu bałwan jest formą rzeźbiarską, którą same uprawiają, gdy tylko spadnie pierwszy śnieg. Czyżby nie wiedziały, że to symbol *vanitas*? Wydaje się, że to właśnie dzieci są świadome powagi sytuacji, gdy na ich oczach śniegowe ludki zamieniają się w kałużę wody. Ich smutek jest głębokim doświadczeniem egzystencjalnym, którego nie pozbywamy się do końca życia. Zdjęcie autorstwa Rafała Milacha (Magnum Photos) zostało zrobione na miejscu budowy nowego gmachu Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie przy placu Defilad, w przestrzeni, w której w przyszłości pokazywana będzie kolekcja. Przypomina ono, że instalacja Dawickiego to także ironiczny komentarz na temat funkcji muzeum – sensu konserwowania i utrzymywania, często z wielkim wysiłkiem, przy życiu dzieł sztuki, zamrożonych relikwów artystycznej ekspresji. *Vita brevis, ars longa?*

tekst ZOFIA CZARTORYSKA

Lady Potwór

tekst PATRYCJA PUSTKOWIAK

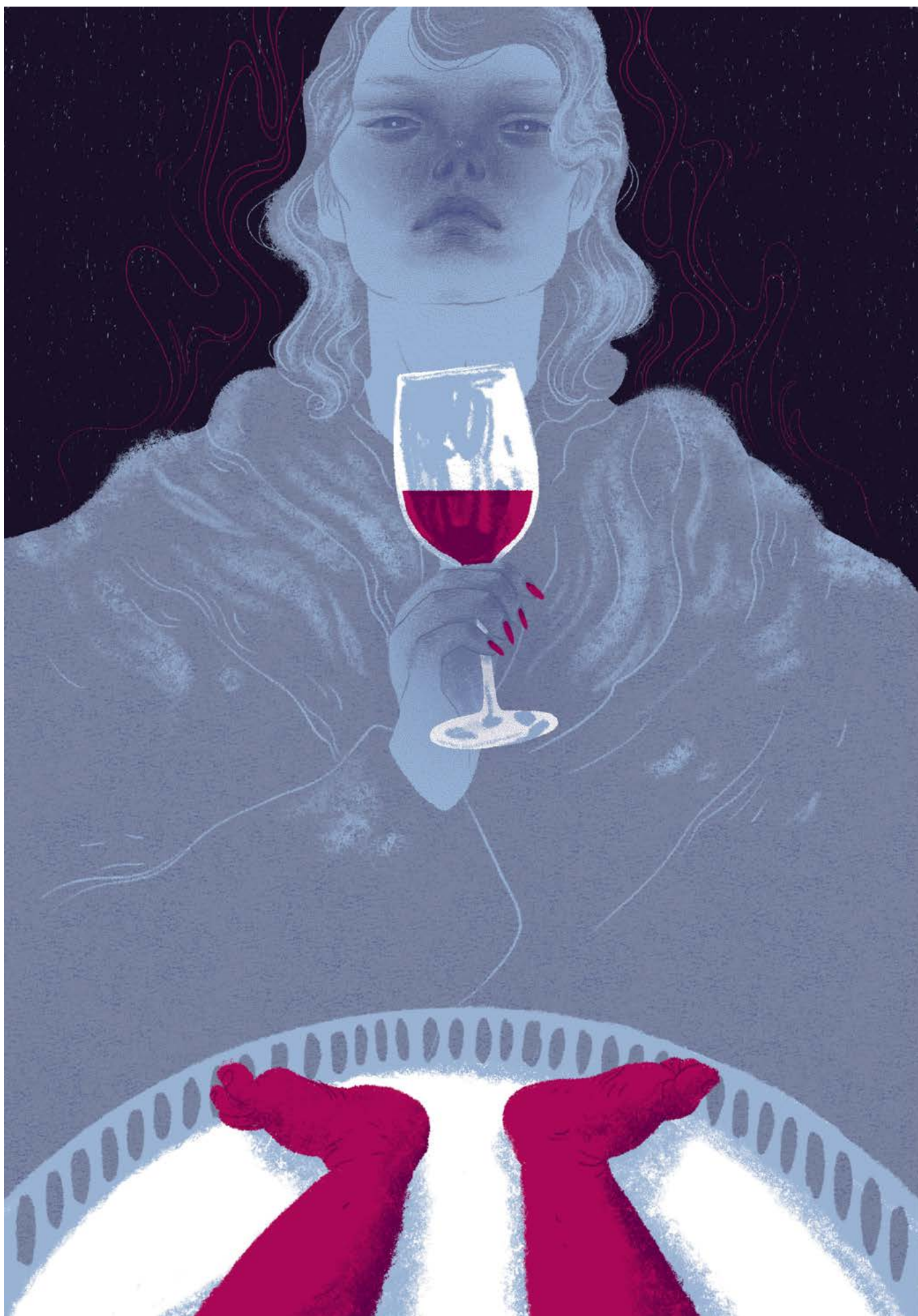
Kiedy pierwszy raz zostawiła ją samą w domu, żeby wyjść na miasto, jej trzyletnia córka Nina spała tak cicho, jakby w zasadzie umarła. Leżała w łóżeczku ustawionym pod oknem, jej twarz była nieruchoma, jak gdyby dawno temu odlano ją z wosku, a włosy, oświetlone wpadającym do środka sinym światłem księżyca, wydawały się matowe i sztuczne jak u starej lalki, i jeśli otaczały jej głowę tak, że przypominały aureolę, musiała to być aureola niskich lotów, zgubiona przez jakiegoś lewego anioła. Ada na razie stała jeszcze nad łóżeczkiem córki, ubrana już w kremowe futro, wprowadzicie sztuczne, ale bardzo przypominające naturalne; noc oraz jej sprzymierzeniec, sztuczne światło, wyostrzały jej rysy, więc wyglądała coraz bardziej jak lis polarny szykujący się na polowanie. Pociągając ostatnie łyki czerwonego wina z kieliszka od kompletu, który dawno się zdekompletował, wyszczerbił i wysłużył, podobnie jak jej życie, słuchała miarowego oddechu Niny i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że brzmi on co najmniej dziwnie, jak – długo szukała porównania – tajna mowa niezidentyfikowanych nocnych stworzeń.

Często myślała tak o śpiących. Zastanawiała się, czy niby to śpiąc, w istocie nie spiskują, nie kierują zaszyfrowanych rozkazów do mieszkańców podziemnych królestw umieszczonych pod prześcieradłami, materacami, leżących głęboko pod podłogą, istot, które teraz, pod osłoną nocy, budziły się do życia, zwierzały szyki, wytaczały broń zrobioną z zapalek, żołądź, orzechów i knuły przeciwko nam, chciały nam zagrozić. Zakwestionować to życie u góry, jedyne słuszne, przekonane o swojej wadze i wyjątkowości, niemające pojęcia o rozległych państwach, których stolice leżą tuż pod dywanami i dębowymi deskami, ani o władających nimi jednookich królach, o tamtejszych szarach, puczach, miłościach i nienawiściach, o rzeczywistości alternatywnej wobec naszej, zamieszkaney przez tych, którzy, jak niegdyś my, planują „uczynić sobie Ziemię poddaną” i zarazem wziąć na nas odwet.

Gdy stała tak nad łóżeczkiem Niny i zastanawiała się nad swoim kolejnym ruchem, na jednej ze ścian pokoju dostrzegła dziwną, niepokojącą plamę światła. Przez chwilę wydała jej się ukrytą możliwością, dziuplą albo wręcz drzwiami, przez które mogłaby

się precyzować, by przejść do innego świata czy wymiaru. Wymknąć się życiu, które zakleszczyło się na niej, nie pytając o zgodę, jakby było wnykami, a ona naiwną sarną. Tym, od czego przede wszystkim chciała uciec, było dziecko, na które właśnie patrzyła – będące zarazem kimś należącym do niej, jak i zupełnie obcym. Dziecko, które spychało ją w ciemność.

Im dłużej przypatrywała się córce, tym bardziej ta wydawała jej się leśnym zwierzęciem, małym gryzoniem złożonym w tym łóżku jak na posłaniu z fragmentu leśnego poszycia, przyniesionym tutaj przez jakiegoś pana lasu, władcę drzew i wszystkich stworzeń. „Dlaczego przysłał ją właśnie do mnie, skoro byłam ostatnią, która mogła zrobić z nią to, co należało?” – pytała w myślach. „Gdybym mogła, oddaliłabym się od niej tuż po porodzie, jak zdarza się to czasem zwierzętom. Niektóre wręcz zabijają swoje młode. Tylko ludzie nie mają w tej sytuacji niemal żadnego wyjścia. Jak więc wybrnąć z braku miłości do własnego dziecka? Jak zarządzić niechęcią do niego? Ludzki świat nie zna na to odpowiedzi, zresztą zazwyczaj jego odpowiedzią na wszystko jest milczenie”.



Dla niej samej było to bardzo dziwne – jak istota, która wyszła z jej ciała, mogła być jej równie odległa, co rośliny na dnie morza albo planety w nierozpoznanym jeszcze regionie Układu Słonecznego? Kiedy patrzyła tak na nią, śpiącą, i słyszała jej miarowy oddech, przyszło jej do głowy, żeby przytknąć córce do twarzy poduszkę i udusić ją.

Z tej pierwszej nocy, gdy zdecydowała się zostawić Ninę i rozsiać się po mieście jak tajemnicza roślina, rozspunka zsyłająca na ludzi, a przede wszystkim na siebie samą, nie szczęście, pamiętała też odgłos gałęzi drzew uderzających w ciemne okno i to, że w oddali przejechał pociąg. Mieszkała bowiem bardzo blisko dworca, tak blisko, że przejeżdżające pociągi mijały ze świstem jej kamienicę, a zarazem jej życie, budząc w niej żal, że w żadnym z nich nie siedzi. Prawda była taka, że marzyła tylko o tym, by jej rybi ogon wystawał z któregoś z przedziałów tego pociągu mknącego donikąd, by z każdym kilometrem gubić kolejne łuski, tak długo, aż nic z niej nie zostanie, oprócz nagiego szkieletu rzuconego ostatecznie do rzeki ręką anonimowego współpasażera.

Na razie pozostawała jej myśl o mieście, o tym, żeby wyjść, rozsiać się tam jak pył, roznieść po każdym jego zakamarku, wnikać w nie, złączyć się z każdym obszczanym murkiem, martwiejącą kamienicą, chylącym się ku upadkowi pomnikiem, osuwającą w nicość kolumną czy, jak ona, pograżonym w mroku barem, w którym zewsząd lypią oczy osadzone w ciemnych twarzach przypominających oblicza biegłych w sądzie, prawdopodobnie ostatecznym; zrobić wszystko, co trzeba, żeby już nigdy nie wracać do świata, którego nienawidziła.

Miasto, tylko ono czekało na nią każdej nocy, było jak korzeń – miała wrażenie, że rozrasta się z każdą minutą; w każdej chwili, w której nie było jej tam, w tej podziemnej płataninie kłaczy, czuła, że coś traci, że obumiera. Jakby komuś innemu przypadały w udziale wszystkie życiodajne soki. Też chciała tam być i czerpać z tego podziemnego źródła jak nornica; gdyby mogła, to by tam zamieszkała, zbudowała swój system korytarzy w mroku, w ciemności, z dala od ludzi, aut, cywilizacji, która oznacza zawsze przymus, i krążyłaby tam bezszelestnie, czasem tylko, w wybranych przez siebie

chwilach, wychodząc na powierzchnię, by się po niej ślizgać na własnych zasadach, przesuwając cielistym ogonem po wiekowych chodnikach i pozwalając, by jej nagle wyrosłe w nocy wąsy laskotały w twarz wszystkich mężczyzn, którzy usiłowałiby ją pocałować.

I może wreszcie nadszedłby czas na to, by już nigdy nie wrócić na powierzchnię, ponieważ nienawidziła powierzchni. Nienawidziła jej zasad, jej natrętnego światła uderzającego w twarz jak na przesłuchaniu, wydzierania tajemnic i braku przyzwolenia na szaleństwo. Coraz bardziej chciała po prostu tkwić w swojej norze, gdzie trwał wieczny karnawał; raz byłeś królem, a raz błaznem, ale nikim na pewno i nieodwołalnie. Tego właśnie najbardziej nie cierpiała – konieczności bycia kimś, kim miała być, porządną kobietą, a przede wszystkim matką, mimo że nie miała z tym nic wspólnego.

Przeszkadzało jej w tym dziecko, śpiące teraz w świetle sinego księżycy. Wyglądało jak jedyny okaz ze ślepego, nagiego miotu, ocalenie, któremu udało się przetrwać jakiegoś katastrofalne w skutkach starcie z ciemnymi siłami przyrody. Zastanawiała się, czy istnieje szansa, by przez jakąś szczelinę w ścianie przedostał się tu czarny kocur. Widywała takie na podwórku – czarne, jednookie kocury polujące na myszy, umiające zjeść je w całości. Pomyślała, że wydzie na zewnątrz i znajdzie jednego, wpuści go do domu, żeby zrobił, co trzeba, a kiedy tu wróci, będzie tak jak w zakończeniach bajek – ład zostanie zaprowadzony, spokój w magiczny sposób przywrócony.

Rzuciła jeszcze raz okiem na Ninę, pograżoną we śnie i przytuloną do swojej

pluszowej zabawki, obie nagle wydały jej się zarazem przestraszone i przeżywające chwilę naglej ulgi jak laboratoryjne zwierzęta między jednym a drugim bolesnym eksperymentem.

Odwróciła wzrok i cicho wyszła z domu, zamykając drzwi na cztery spusty.

W barze usiadła przy samej ladzie, patrząc na twarze towarzyszy niedoli, smętne, unurzane w życiu po szyję jak wydający ostatnie tchnienie topielcy. Zamówiła whisky i piła tak łapczywie, jak gdyby każdy kolejny łyk przybliżał ją do ostatecznego rozwiązania, o którym skrycie marzyła. Każdy łyk whisky był jak pętla ściślej zaciskająca się na jej chętnym gardle.

Wtedy zobaczyła faceta. Czał się na nią jak myśliwy na ofiarę. Nie była mu dłużna, też wyszła na polowanie. Piła kolejne drinki, paliła i patrzyła na niego tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że kiedy tylko się zbliży, wydłubie mu oczy i utopi je w szklance. Będą robić za oliwki do jej drinka. Innymi częściami jego ciała przystroi brzeg szklanki; potem zliże je tak, jak zlizuje się sól w margarinie. Może to ją ożywi, myślała, choć śmiała w to wątpić. Była martwa od dawna, może nawet od zawsze, martwa fabrycznie.

Księżyc topił się w jej drinku, a ona zatapiała wzrok w tym nieszczęśniku. Wydawało jej się, że wygląda jak mysz trzymana za ogon i wielokrotnie nurzana w wódce. Miał liche wąsy i niezbyt inteligentny wyraz twarzy. Podniosła do ust drinka, wypila go duszkiem i oblizwała wargi.

– Wchodzisz w to? – zapytała.

Wyszli razem z baru. Przyjrzała mu się kątem oka. Teraz już miała pewność – był



przystojny *à rebours*. Wyglądał jak niedojrzały owoc zerwany z drzewa, naprędce przetruty, jednak ostatecznie niezjedzony, tylko porzucony pod nogami. Jak rozjechana kura, którą widziała kiedyś na drodze, na wakacjach u babci. Wyobrażała sobie, że odkręca mu głowę i robi z niej przycisk do papierów na biurko. W końcu zawsze lubiła kolekcjonować turpistyczne dziwactwa.

Kiedy tylko dotarli do jego domu, okazał się perfekcyjnym dzieckiem współczesności, to znaczy od razu się rozebrał, obnażył i zaprezentował jej swoją ofertę, która dyndała teraz przed nią jak szynka na haku. Noc złożyła w nich lepkie jaja, z których nic już nie mogło się wykluć. Byli gadami, które niedawno zrzuciły skórę i teraz pełzły ku swoim gniazdom, nagie i śliskie, pozbawione osłon, ostantacyjne w swoim niczym, które chciało choć na chwilę przywrzeć do czegoś żywego.

– Masz jeszcze siłę? – zapytał po wszystkim.

– Nie – odpowiedziała.

Siedziała tam naga, oświetlona blaskiem księżycy, czuła się bardzo brzydka i ledwo żywa, jak syrena, której odcięto ogon. Jej piersi wydały jej się nagle dwoma obwisłymi workami treningowymi. Nie rozumiała, jak kiedykolwiek mogły wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Zastanawiała się też, czy jej fryzura intymna nie pozostawia sporo do życzenia, bo nie chciało jej się tym zajmować przed wyjściem, a teraz było już za późno. Pocieszała się, że może był pijany i niczego podejrzanego nie zauważył.

Przez chwilę pomyślała o Ninie, czy nadal śpi w mieszkaniu pośrodku miasta, oddalonym teraz od niej samej jak obca galaktyka, a może obudziła się i płacze, wbijając wzrok w okno, za którym rośnie stuletnia wierzba, staruszka wlepiająca w nią żółte ślepie. Przez chwilę zamarzyła, by to drzewo ożyło, okazało się złą królową i zesłało na nią, Adę, karę, napuściło na nią stado kruków, które wydziobałyby jej oczy.

Tyle że nie żyła w baśni, a w świecie. Świecie, w którym nie dochodziło do takich wydarzeń, w którym w zasadzie próżno było szukać nie tylko sprawiedliwości, ale nawet prostych uniesień czy namiętności. Wszystko było jałowe i pozbawione mocy. Ludzie tylko krążyli wokół siebie i podejmowali rutynowe czynności, do których zobowiązywała

ich noc, a potem znikali, rozplływali się w porannej mgle jak zjawy, aż wreszcie całkiem przepadali, ustępując miejsca swoim wirtualnym wrakom.

– Zrobisz herbaty? – zapytała Ada swojego nocnego towarzysza.

– E, może lepiej rozchodniaczka? – zażartował, choć nie był chyba do końca w nastroju do konwersacji.

Wszedł w noc jak żądny przygód, rośły mężczyzna wchodzi w wyjątkowo długie przejście podziemne – miał chyba nadzieję, że wychodząc po drugiej stronie będzie nieś na plecach przynajmniej jednego trupa; tymczasem wyszedł z tunelu całkowicie niezbrukany, niezadowolony i wściekłym spojrzeniem szukał ofiar, które mógłby zerwać na strzępy.

– No, to zależy, co masz.

– Cytrynówkę.

Skinęła głową.

– Super – powiedział.

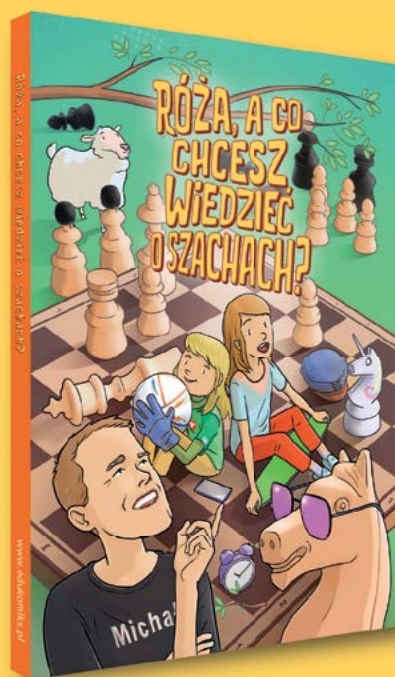
Polał im do małych kieliszków, przypomniały jej te, które dostała od matki. „Na nowe życie” – jak to się mówi, bo tym miało ono być, życie z ojcem Niny, które wiodła jedynie przez dwa lata, po nich stało się na powrót tym, czym zawsze było, czyli starym życiem, pozbawionym sensu.

Efekt tego związku, Nina, jego ponura konsekwencja, nie powinna nigdy się wydarzyć. A jednak zaistniała, spała gdzieś tam w pokoju, pośrodku miasta, sprawiając, że wszystko stawało się jeszcze bardziej niezrozumiałe i ciemne.

Potem wyszła od niego i wróciła do swojego domu, choć gdyby coś miało się zmienić, musiałaby umieć wrócić do siebie, a to było już niemożliwe. Weszła do pokoju Niny, która spała twardym, dziecięcym snem, a lewa aureola dalej mocno tkwiła na jej głowie, nawet nieprzekrzywiona.

Ada zagrzała córce mleko na rano, które w zasadzie już nadeszło, nocne mgły opadły z miasta jak drogie futro z ramion skazanej na rozstrzelanie i tuż przed egzekucją rozsądnie rozebranej osoby. Potem podeszła do drzwi balkonowych, otworzyła je na oścież, rozpostarła swój rybi ogon, mętne płetwy i gdy tylko usłyszała świst pierwszego, porannego pociągu, skoczyła w dół, żeby na zawsze zająć miejsce w pustym, cichym, czekającym na nią przedziale.

**Dzięki tej książce
Twoje dziecko
nauczy się grać
i pokocha szachy!**



**Co znajdziesz
w środku?**

**Zasady i ćwiczenia
Wywiady**

Zrozumiały tekst

Dużo ilustracji

**Ciekawostki i wiedzę
Miłość do szachów ;)**



**Książkę
zamówisz
tylko na
edukomiks.pl**

À propos niczego

tekst ZUZANNA KOWALCZYK



ZUZANNA KOWALCZYK
(ur. 1994), szefowa
Działu Ekonomia
i Technologie
w „Piśmie”, autorka
esejów i podcastów,
kulturoznawczyni.

—
Od jakiegoś czasu uczę się... niczego. Zastynam na podłodze i trwam w nicnierobieniu. Śledzę oddech, odpycham myśli, obserwuję to, jak się czuję i co mi to robi w ciele. Brzmi prosto, a jednak jest niczym jedynie pozorem. Aby wytrwać tak kwadrans, potrzeba regularnej praktyki. W świecie przeładowanym bodźcami doświadczenie ciszy, zawieszenia walki z tym, co wypierane, i trwania w danej chwili z uważnością okazuje się wyzwaniem. A zdaniem niektórych, zwłaszcza tych praktykujących „nic” najdłużej, warunkiem przetrwania w jako takim psychicznym komforcie.

—
W KOŃCU WSZYSCY znamy teorię wielkiego wybuchu. „Nic” warunkuje istnienie czegokolwiek. Jak przekonuje w *Książce o Niczym* kosmolog, matematyk i fizyk teoretyczny na Uniwersytecie Cambridge John D. Barrow, pojęcie „niczego” jest osią wszelkiej wiedzy o świecie. Bez zrozumienia, czym jest próżnia, nie sposób zrozumieć budowy wszechświata. Bez uświadomienia sobie, czym jest zero, nie da się zrozumieć matematyki. A bez zadania sobie podstawowych pytań o pustkę i brak nie byłoby prawdopodobnie filozofii. Dlatego Barrow podejmuje wysiłek odtworzenia dziejów pojęcia „niczego” w perspektywie historii idei oraz nauki, z naciskiem na kosmologię i teorię kwantową.

—
PODOBNO NIGDZIE NA ZIEMI nie da się doświadczyć takiej ciszy jak w kosmosie. O tym, co ciska z nami robi, do czego jest nam potrzebna oraz jaką pozycję zajmuje w sztuce i życiu społecznym, piszą z kolei Małgorzata Wójcik i Rafał Zak. W książce *Cisza*, na którą składają się krótkie teksty o różnych ujęciach, rodzajach i wymiarach ciszy, autorzy podkreślają, jak często „od niej uciekamy. Uciekamy, bo «dzwoni nam w uszach», bo w niej widać bardziej, jaśniej i wyraźniej, kim jesteśmy i jacy bywamy. (...) Ale też jej poszukujemy. (...) Wydaje się, że cenimy ciszę tak bardzo, a paradoksalnie jest jej naokoło nas tak mało”. Jeśli więc chcecie odrobić lekcję z ciszy i zrobić dla

niej przestrzeń, polecam tę książkę. Oczywiście do czytania w milczeniu.

—
CISZA TO BOWIEM nie tylko brak dźwięków, a brak to nie tylko deficyt. O pojęciu „nieobecności” pisze w swoim wyróżnionym Nagrodą Nike zbiorze reportaży *Nie ma* Mariusz Szczygieł. Jestem przekonana, że nikt inny nie znalazłby wspólnej ramy dla opowieści o korekcie płci, opiekunkach braci Kaczyńskich, Willi Müllerów w Pradze i sklepie z pamiątkami po zmarłych. Siłą *Nie ma* jest właśnie mozaikowość w próbie opisanego tego, co to właściwie znaczy, że czegoś lub kogoś nie ma – bo za każdym razem znaczy to trochę co innego. Zachęcam więc, aby uzupełnić tę lekturę jeszcze reportażem Katarzyny Boni *Ganbare! Warsztaty umierania* oraz esejem *Wszystko dla naszych zmarłych. Opowieści tych, co zostają* Vinciane Despret. Obie książki na swój własny, szczególny sposób podejmują temat nieobecności, straty i przemijania. Boni prowadzi nas przez meandry japońskiej kultury, w której śmierć wkroczyła w codzienność tak obcesowo, że aż przestała być tabu. Despret zaś zaprasza do refleksji nad tym, w jaki sposób istnieją dla nas zmarli i jak ludzie radzą sobie ze stratą. Obie książki uczą przede wszystkim przechodzenia żałoby i godzenia się z kruchością tego, co najcenniejsze.

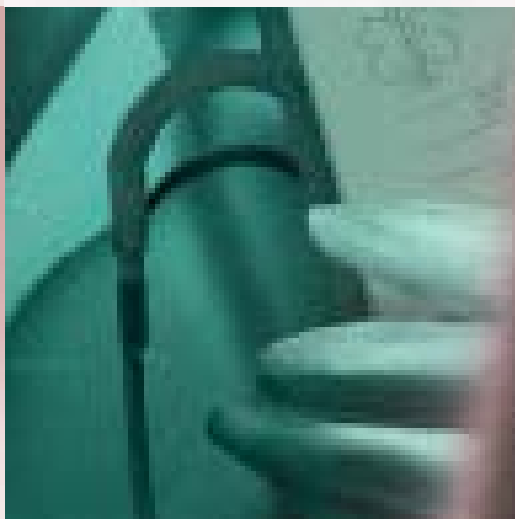
—
NAJBARDZIEJ NIECODZIENNEJ lekcji z odchodzenia udziela nam jednak Filip Springer w swoim reportażu *Miedzianka. Historia znikania*. Z losów niewielkiego miasteczka na Dolnym Śląsku, niegdyś ośrodka górnictwa rud miedzi, srebra, cynku i uranu, można wyczytać opowieść o kruchości naszej rzeczywistości. Oto miejsce, które zniknęło. Było i jakby go nie ma, a jednak – dzięki opowieści Springera – w jakimś sensie jest. Tym, co ma siłę przezwyćzania „nie ma”, jest właśnie opowieść. To ona uobecnia nieobecność. Jednocześnie tym, co pozwala doświadczyć naprawdę niczego, a zarazem wszystkiego naraz, jest porzucenie opowieści. Choć na kwadrans. To niewygodne i trudne. Ale jednak, o dziwo, najsilniej uobecniające.

Więcej inspiracji
w podcaście **À propos**
na magazynpismo.pl



Śledztwo
Pisma

SEZON 3



Intymne problemy Polaków.

Wątpliwe terapie. Głośne sprawy kryminalne.

I on – autorytet polskiej seksuologii. Dobry czy zły doktor?

Wszystkie odcinki trzeciego sezonu Śledztwa Pisma od 19 stycznia dostępne za darmo na magazynpismo.pl i sledztwopisma.pl oraz w kanałach Śledztwa Pisma na popularnych platformach streamingowych i podcastowych.

Partner strategiczny:





REŻYSERIA
RYŪSUKÉ HAMAGUCHI
AUTOR OPOWIADANIA „DRIVE MY CAR”
HARUKI MURAKAMI

REŻYSERIA

RYŪSUKE HAMAGUCHI

AUTOR OPOWIADANIA „DRIVE MY CAR”

HARUKI MURAKAMI

HIDETOSHI TÔKO MASAKI REIKA
NISHIJIMA MIURA OKADA KIRISHIMA

W KINACH

[illegible]

Call us 800-888-8888 or visit us online at www.oxfordjournals.org.

GF
OUTEX
1994

wyboreza.pl FILMWEB KING POLITYKA lubimyczytać.pl K MAG